

KRISTEN LIPPERT-MARTIN

TABULA RASA



Kristen
Lippert-Martin

TABULA RASA

Przełożyła Dorota Konowrocka-Sawa



Dla Philipa. Oczywiście.

Rozdział 1.

– Siadaj – mówi, wskazując krzesło.

Nie chcę siadać. Metalowe krzesło jest zimne jak lód, a ja mam na sobie tylko szpitalną koszulę bez pleców. Stoję więc i wpatruję się w nie bez słowa, aż wreszcie siostra Jenner odchrząkuje.

– Daj spokój, Saro. Nie możemy kazać doktorowi czekać.

Kiedy zobaczyłam to krzesło po raz pierwszy, uznałam je za krzesło elektryczne. Sądziłam, że mnie zabiją.

Ale nie. Wiem, że nie. Kolejny raz sobie o tym przypominam.

Krzesło utrzymuje mnie w pozycji wyprostowanej, by mogli zyskać dostęp do dowolnej części mojej czaszki – przodu, tyłu czy boku. Wspomnienia z pamięci długotrwałej rozproszone są w górnej części mózgu i w zasadzie niemożliwe jest dostanie się do tych właściwych, by można było je zneutralizować. Ale po to dziś właśnie tu jesteśmy. Faza szósta tego, co prawie niemożliwe.

– Sądziłam, że wyznaczono mi termin na przyszły tydzień – protestuję słabo.

– Terminy się zmieniają. Powinnaś być wdzięczna. Przecież to cię znacznie przybliżyło do rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

Ma rację.

Więc siadam.

Siostra Jenner zakłada mi obejmy: najpierw na szyję, potem klamry na kostki i nadgarstki, w końcu pas wokół piersi. Zapina je wszystkie nieco zbyt ciasno, a potem poklepuje mnie dwukrotnie po ramieniu.

– Spróbuj się rozluźnić. Pamiętaj, że to nie twój pierwszy występ na tym rodeo.

Wiem, co teraz będzie się działo, i nienawidzę tego z całego serca. Zablokuje mi głowę w aureoli. To ta metalowa, przypominająca klatkę dla ptaków konstrukcja, która utrzymuje mi głowę w bezruchu, kiedy lekarze robią swoje. Mam w czaszce cztery metalowe gniazda – na czole, na potylicy i nad uszami – w które wskakują sworznie aureoli. Czuję poprzez kości czaszki ciche klik, klik, klik, gdy kończy wpinać wszystkie bolce.

– Co się dzisiaj z tobą dzieje? Cała drżysz.

– Trochę mi zimno.

– Sama rozumiesz, że nie powinnaś się w ogóle ruszać.

– Tak, proszę pani.

Wzdycha ciężko i pospiesznie wychodzi. Chwilę później wraca i owija mi gołe nogi drapiącym kocem. Mierzy mi jeszcze ciśnienie krwi, po czym unosi kciuk w górę, patrząc w kierunku kabiny lekarskiej znajdującej się powyżej sali operacyjnej. Wychodzi. Słyszę zatraskujące się za nią drzwi.

No to możemy zaczynać.

Jasne światło reflektora pada na czubek mojej łysej głowy. Kiedy już przestaną mi się ciągle wkuwać, włosy odrosną, ale teraz przechodzę chemioterapię, która całkowicie mnie ich pozbawiła. Inaczej musieliby mi golić głowę przy każdym zabiegu modyfikacji pamięci. Gdy jestem łysa, jest im łatwiej, a dla mnie nie ma to w gruncie rzeczy znaczenia, bo i tak nie widzę, jak wyglądam. W tym miejscu nie ma ani luster, ani żadnych innych powierzchni odbijających.

W każdym razie nie ma ich zbyt wiele.

Na zewnętrznym spacerniaku jest niewielki staw ze złotymi rybkami i liliami wodnymi. Miłe miejsce, by się odprężyć. A raczej było to miłe miejsce, dopóki jakaś dziewczyna nie

wpadła do niego i nie utonęła. Sanitariusz znalazł jej unoszące się na powierzchni wody ciało obrócone twarzą w dół. Poły szpitalnej koszuli rozpostarły się po bokach niczym skrzydła. Siostra Jenner powiedziała później: „Założę się, że wpadła, bo chciała zobaczyć swoje odbicie”. Zrozumiałam, co chciała powiedzieć: oto, co się dzieje z tymi, którzy nie przestrzegają zasad.

Lekarze mówią nam, że tak musi być. Przyglądanie się rzeczom z przeszłości – nawet własnej twarzy – może zahamować postępy terapii. Wkładają dużo wysiłku w to, żebyśmy pozostali nieświadomi samych siebie, ale ich przezorność nie powstrzymuje mnie od snucia domysłów. Próbowałam sobie wyobrazić swoje rysy, przesuwając dłońmi po twarzy. Robiłam to już chyba z tysiąc razy, ale nadal nie mam pewności, czy zarys, który powstał w mojej głowie, jest prawidłowy. Dziewczyna, którą widzę oczyma duszy, pozostaje mglistym, na wpół ukształtowanym obrazem.

Jedyną rzeczą, której jestem raczej pewna, jest to, że normalnie mam ciemne włosy. Moja skóra ma odcień oliwkowy, a osoby o ciemniejszej karnacji mają zazwyczaj ciemne, a nie jasne włosy. Podejrzewam, że moje włosy miałyby ciepłą, przyjemną dla oka brązową barwę, gdyby tylko mi się udało trochę powystawiać je na słońce, ale tutaj – gdziekolwiek jesteśmy – niewiele jest słońca. Ze wszystkich stron otaczają nas ostre, zwieńczone śnieżnymi czapami szczyty przypominające rzędy rekinich zębów. Nie wiem, co się za nimi kryje. Może po pokonaniu łańcucha górskiego dochodzisz do punktu, w którym świat się po prostu urywa.

Podobnie jak nasze wspomnienia.

Lada chwila odezwie się do mnie męski głos. Należy do doktora Buckleya. Spotkałam tego człowieka tylko raz, na korytarzu przed gabinetem dyrektora na parterze. Wygląda jak Święty Mikołaj w średnim wieku: brązowa broda upstrzona siwizną, rumiane policzki i iskierki w błękitnych oczach. Teraz znajduje się w kabinie chirurgów za błękitnoszarymi szybami, skąd steruje za pomocą robotycznego ramienia igłami pozwalającymi wkluć się do mojego mózgu, co zapewnia bezwzględna precyzję.

– Jesteś gotowa, Saro?

No i mamy doktora Buckleya. Ho, ho, ho!

Jego pytanie to czysta formalność. Co mam mu odpowiedzieć? Że nie? A poza tym teraz przychodzi kolej na jedyną miłą część tego zabiegu. Teraz będę rozmawiać z Larrym, asystentem naukowym doktora Buckleya.

Larry odczytuje skany mózgu wykonane metodą tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego, po czym decyduje, gdzie należy dokonać odwiertów w kopalni mojej pamięci. Decyduje, co należy wydobyć, a co pozostawić w spokoju. Jest również specjalistą od hipnozy.

Larry rozmawia ze mną podczas całego zabiegu, w trakcie którego muszę być przytomna i czujna, aby mogli się natychmiast zorientować, czy nie naruszają jakichś ważnych struktur. Podczas gdy doktor Buckley jest zajęty nakłuwaniem mojego mózgu igłami, Larry każe mi odliczać w tył od stu siódmkami albo czyta mi wersy poezji i każe je powtarzać wspan. Czasem opowiada kiepskie dowcipy z cyklu „przychodzi baba do lekarza”, a ja muszę tylko we właściwym momencie zapytać: „Co pani jest?”. Larry zapewnia, że nie wymaga ode mnie ani nie oczekuje śmiechu po puencie. I dobrze, bo te dowcipy są naprawdę mało zabawne.

– Dzień dobry.

Wzdrygam się na dźwięk głosu Larry’ego. Wydaje się, jakby stał tuż obok mnie, ale wiem, że to nieprawda. Jest w kabinie chirurgów. Nigdy go nie widziałam, a słyszę go tylko podczas zabiegów i tylko przez głośniki.

– Dzisiaj wielki dzień – mówi.

– Naprawdę?

– Jestem pewien, że będziesz gotowa na wszystko, co cię dziś czeka.

To dziwne, wiem. Wydaje się, że rozmawiamy o niczym, a jednak mam poczucie, jakby wszystko, co Larry do mnie mówi, miało ukryte znaczenie. Może to dlatego, że już tylko jego głos powstrzymuje mnie od odpłynięcia myślami z tego miejsca. Czasami – właściwie dość często – chciałabym, żeby jedna z tych igieł zagłębiła się nieco zbyt mocno, w najgorszym możliwym miejscu. Czy to naprawdę byłoby tak źle? Na pewno są gorsze sposoby umierania. Niezliczone.

Nigdy nie powiedziałam tego głośno. Nic tak nie irytuje personelu jak stwierdzenie, że ma się to wszystko w nosie. Modyfikacje pamięci są szansą na nowe życie, a przy tym kosztują fortunę. Często wspomina się tutaj o wielkich nakładach finansowych, zwłaszcza gdy pielęgniarki zaczynają podejrzewać, że nie współpracujemy. Chyba uważają, że ze względu na ogrom zainwestowanych w nas środków, które mają nam pomóc w skierowaniu życia na właściwe tory, powinniśmy odczuwać wdzięczność. Może i powinniśmy, ale ja akurat nie czuję się specjalnie zobowiązana.

– O czym myślisz, Saro?

Sara.

Czy to moje prawdziwe imię? Powtarzam je sobie raz po raz, próbując wcisnąć ten kwadratowy kołek do okrągłej dziurki. Nijak nie pasuje.

Właśnie mam odpowiedzieć Larry'emu, gdy słyszę wysoki pisk uruchamianego wiertła. Doktor Buckley najwyraźniej się spieszy.

– Nie ruszaj się teraz. Poczujesz ostre ukłucie, a potem nacisk, jeszcze *momeencik*...

Wolałabym nie wyobrażać sobie wiertła, które za chwilę przebije mi czaszkę, nawet jeśli zabieg przeprowadza sam Święty Mikołaj. Muszę czymś zająć myśli. Wiem, że rekonwalescencja po zabiegu będzie śmiertelnie nudna. Jedyne, co wolno nam oglądać w telewizji, to stare kreskówki, a ja mam już dość oglądania *Toma i Jerry'ego* w pokoju wypoczynkowym.

– Larry, czy możesz mi podpisać podanie o coś do czytania?

Tylko doktor Buckley i doktor Ladner mogą nam wydawać zgody na czytanie.

Aprobowane przez nich książki są – podobnie jak kreskówki – zazwyczaj dość wiekowe. Pewnie uznali, że stare książki są już dziś bez znaczenia.

– Jasne – odpowiada. – Może *Hamlet*?

Hamlet?

Doktor Buckley też musiał uznać, że to dziwna sugestia, bo raptownie wyłączył wiertło.

– Kiedy byłem w college'u, brałem udział w castingu do roli w *Hamlecie*. Opowiadałem ci już o tym, Saro?

Larry nigdy dotąd nie opowiadał mi żadnych osobistych szczegółów ze swojego życia i dobrze o tym wie.

– Chciałem grać Poloniusza.

– Naprawdę? – pytam. – Dlaczego nie Hamleta?

– Bo Poloniusz ma najlepszą kwestię w całej sztuce.

– Czyli?

– „Najważniejsze, byś zawsze był wierny samemu sobie”¹. Dobra rada. Chociaż nie zawsze łatwo jest się do niej zastosować.

– W moim przypadku to niemożliwe.

Larry wie, co mam na myśli. Nie mogę żyć w zgodzie ze sobą, skoro nie wiem, kim jestem.

– Nie bądź tego taka pewna, Saro. Mniej się martwię o ciebie niż o siebie.

Czy powinnam go zapytać, dlaczego to powiedział? Zapewnić go, że wszystko będzie

dobrze? Milczę.

Chwilę później czuję ostre ukłucie, o którym uprzedzał mnie doktor Buckley. Biorę głęboki wdech i czuję przenikliwe zimno w miejscu, w które się wkłuł. Kiedy obszar zostanie znieczulony, doktor Buckley przystąpi do wiercenia. To jest najgorsze. Nie cierpię zapachu spalenizny i kostnego pyłu.

– Pamiętaj tylko, Saro, że często odpowiedzi na wszystkie pytania mamy tuż pod nosem.

Nie jestem pewna, do czego Larry nawiązuje, ale prawie natychmiast przestaję się nad tym zastanawiać. Dają mi coś, co ma mnie uspokoić podczas zabiegów, i chyba to coś właśnie zaczyna działać.

– Doktorze Ladner, czy jest pan *całkiem* gotów do kontynuowania zabiegu? – pyta doktor Buckley.

Wiertło znów zaczyna się obracać, ale mało mnie to obchodzi. Już nic mnie nie obchodzi. Czuję się tak, jakby moje ciało było powozem, a mój umysł koniem – i ktoś właśnie odczepił jedno od drugiego.

Mimo wszystkiego, co im opowiadam – że jestem gotowa zacząć zapisywać od początku pustą kartę swojego życia – teraz pragnę tylko osunąć się w chłodną, aksamitną, kuszącą nicość.

Nieświadomość.

Tego właśnie chcę. Tego właśnie potrzebuję.

Powoli mrugam oczami. Czas płynie, lecz nic się nie dzieje. Żadnych więcej igieł, żadnego wiercenia. Siedzę sobie po prostu i czekam. Ta uszczęśliwiająca mieszanka, którą mi wstrzyknęli – czymkolwiek by była – właśnie przestaje działać, przeradzając się w okropnego kaca. Odzyskuję czucie w skórze głowy. Zapytałabym, co się dzieje, ale to strata czasu. Nigdy nie tłumaczą człowiekowi, dlaczego wszystko się spóźnia.

Osiągalny kąt widzenia pozwala mi spojrzeć w okno obserwacyjne znajdujące się na dość dużej wysokości po drugiej stronie sali, naprzeciw kabiny chirurgów.

Ktoś w nim stoi i na mnie patrzy.

To ona.

ONA.

Czuję, że coś mi rośnie w gardle, coś paskudnego i zawziętego. Zaciskam zęby i momentalnie ogarnia mnie dzika nienawiść.

Ogromnym wysiłkiem woli zmuszam się do rozluźnienia zaciśniętych w pięści dłoni. Muszę przestać. Co za idiotyczne uczucie. To jakaś konsultantka, którą przywieźli z Nowego Jorku. Nie znam jej. W tym tygodniu zobaczyłam ją pierwszy raz w życiu.

Pani Hodges. Tak ma na nazwisko.

Hodges.

– U la, la. Wszystko w porządku, Saro? Serce ci wali jak młotem – mówi Larry.

– Nic mi nie jest.

– Jesteś pewna?

– Tak. Stuprocentowo.

Nie wiem, co może być przyczyną tak silnej reakcji emocjonalnej na tę kobietę. Nie znam jej i chociaż możliwe, że przypomina mi kogoś, kogo kiedyś znałam, nie mogę mieć pewności. Nie powinnam zwracać uwagi na te uczucia, muszę je zignorować. Przecież nie wiem, co jest realne, a co nie.

Gdy kobieta patrzy w stronę kabiny chirurgów, ukradkiem na nią spoglądam. Ma na sobie kremową, obficie marszczoną sukienkę. Bardzo elegancką, przypominającą nieco togę. Na nadgarstku pobłyskuje kilka złotych bransolet. Obraca je bezwiednie, lecz kiedy nasze spojrzenia się spotykają, zastyga na chwilę w bezruchu i opuszcza ręce.

Trudno powiedzieć, ile może mieć lat. Czterdzieści parę?

Obrzucam szybkim spojrzeniem jej włosy. Mają idealny odcień rudości i gdybym nie próbowała właśnie stłumić morderczych instynktów, uznałabym, że jest piękna.

Jak na swój wiek w każdym razie.

Zaciskam mocno powieki z nadzieją, że kiedy je otworzę, już jej nie będzie, ale jakoś nie znika. Chcę odsunąć od siebie te uczucia, lecz nienawiść szybko się zakorzenia i niełatwo daje o sobie zapomnieć.

Przypominam sobie, co słyszę niemal każdego dnia, odkąd tu przyjechałam. Ubocznym skutkiem terapii modyfikacji pamięci jest paranoja, a także dojmujące uczucie déjà vu, utrata głębi widzenia, problemy z równowagą, daltonizm oraz, jak twierdzi Larry, niewytłumaczalne upodobanie do ludzi noszących drewniaki.

Uporczywe wrażenie nieco słabnie i w kąci moich ust pojawia się uśmiech. Czekam, aż Larry spyta, o czym myślę. Jest prawdopodobnie jedyną osobą, która mogłaby mi dokładnie powiedzieć, ile razy się uśmiechnęłam od przyjazdu tutaj.

Nagle gasną wszystkie światła.

W sali zapada atramentowa ciemność i momentalnie robi się zimniej. Trwa to tylko chwilę, ale wydaje się ciągnąć w nieskończoność.

Kiedy światła ponownie się zapalają, słyszę trzask mikrofonu Larry'ego.

– Wszystko u ciebie w porządku, Saro?

– Nie wiem.

Kropla krwi spływa mi po czole, zatrzymuje się na sekundkę powyżej oka, po czym spada mi na kolana. Musiałam podskoczyć, kiedy zgasły światła. Nie sądziłam, że to w ogóle możliwe, ale w jakiś sposób obluźowałam jedno z metalowych gniazd tkwiących mi w czaszce.

Światła migoczą przez chwilę, a monitor pracy serca zdąża raz pisnąć.

– Saro – mówi doktor Buckley przez zacinające się nagłośnienie. – Chyba mamy... problemy techniczne... ktoś... pewnie...

Światło gaśnie ponownie i tym razem przerwa w dostawie prądu zaczyna się przedłużać.

Kiedy już jestem na krawędzi paniki, słyszę otwierające się drzwi, a potem kroki. Ktoś idzie pospiesznie w moją stronę. Cała sztywnieję. Ktokolwiek to jest, podchodząc do mnie, zrzuca na podłogę jakieś urządzenie.

Słyszę jego przyspieszony oddech. Już jest tuż obok mnie, ale się nie odzywa.

Woda po goleniu.

Czuję jej zapach. Nie mam żadnych skojarzeń, więc zapewne to żaden z sanitariuszy. Rozpoznaję bezbłędnie każdego z nich po dezodorancie, szamponie albo płynie do płukania ust.

Wstrzymuję oddech i czekam, boleśnie świadoma własnej bezbronności. Mężczyzna chwyta mnie za ramię, przesuwa rękę w kierunku mojego nadgarstka i znajduje wreszcie moją dłoń. Wciska mi coś w nią i zamyka ją w pięść. W dotyku sprawia to wrażenie foliowej torebki.

Wychodzi chwilę później. Słyszę szcęk zamykających się za nim drzwi.

Znów siedzę samotnie w ciemnościach, ale czuję przypływ czegoś, czego nie czułam już bardzo dawno: nadziei i ciekawości doprawionej odrobiną gniewu.

Znów żyję.

Rozdział 2.

Dwadzieścia minut później rozbłyskują wszystkie światła i sanitariusze oswobadzają mnie z aureoli. Nie śmiem spojrzeć w dół, by sprawdzić, co mam w ręku. Zaciśniętą pięść trzymam z boku, niemal na niej siedząc.

Przewożą mnie na wózku inwalidzkim z powrotem do mojego pokoju. Wózek popycha korytarzem jeden z sanitariuszy, Steve. Jest ogromnym, wysokim, czarnoskórym mężczyzną ze stopami jak kajaki. Mnóstwo czasu spędzam na gapieniu się w podłogę, więc oceniam, że ma stopy w rozmiarze co najmniej czterdzieści osiem. Zawsze nosi szalik, a zazwyczaj jeszcze czapkę. Zastanawiam się, czy ma problemy z utrzymaniem ciepłoty głowy – pewnie krew z trudem tam dopływa. Jest prawdopodobnie jedyną w tym ośrodku osobą, przy której czuję się swobodnie. Nie mam pojęcia dlaczego.

– Dzisiaj po obiedzie na deser tarta limonkowa, Saro! Lubisz ją. Wiem, że ją lubisz.

Mam dość obojętny stosunek do tarty limonkowej, ale niegrzecznie byłoby się z nim spierać, skoro po prostu próbuje być miły.

Toczymy się więc korytarzem, Steve pogwizduje i pyta mnie po raz drugi:

– No to jak się dziś miewamy?

Kiedy nas pytają, jak się miewamy, mamy zawsze odpowiadać: „Dobrze”. To pokazuje, że mamy pozytywny stosunek do świata.

– W porządku – mamroczę.

– Wkrótce będziesz miała to wszystko za sobą i wrócisz do normalnego życia. No wiesz, zaczniesz wszystko od nowa.

Chociaż prąd już działa, ośrodek nie wrócił jeszcze do normalności. W powietrzu unosi się jakieś odległe echo strachu. Kiedy mijamy dyżurkę pielęgniarek na parterze, widzę, że jest pusta.

– Gdzie się wszyscy podziali?

– Zauważyłaś oczywiście. Wiedziałem, że zauważysz. Jesteś niesamowicie spostrzegawcza.

– Dlatego jestem twoją ulubienicą.

– Słusznie. – Gładzi mnie po głowie i wzdrygam się, gdy przypadkowo dotyka opatrunku pokrywającego obluźowane gniazdo aureoli. – Oj. Przepraszam. Wszystko w porządku?

– Przeżyję.

Pochyliła się nade mną i szepcze:

– Nie powinienem ci tego mówić, bo lekarze nie lubią, kiedy straszymy pacjentów, ale dziś w nocy spodziewamy się potężnej burzy.

– Och.

– No. Wysyłają ludzi do domu. Za pół godziny odlatuje ostatni helikopter. Na dzisiejszą noc zostaje tylko trzon załogi. Ale nie przejmuj się. Będziesz w dobrych rękach.

Ostatni helikopter. Coś w jego słowach sprawia, że nagle zaczynam się denerwować.

– Czy to burza spowodowała tę awarię prądu?

– Którą awarię prądu?

– A było ich więcej niż jedna?

– Tak. Trzy albo cztery, głównie w tych częściach kompleksu, z których zazwyczaj nie korzystamy. Jakby mnie ktoś pytał, to wszystko przez ten bajerancki sprzęt, który tu mają. Turbiny wiatrowe, panele słoneczne, jakieś ustrojstwa geotermiczne. Mówię ci, wystarczy drobiazg i wszystko nawala.

- Gdzie my jesteśmy, Steve?
- Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.
- Jesteśmy tak daleko od cywilizacji, że nie dochodzi tu sieć energetyczna?
- Powiem ci tyle: jesteśmy zdecydowanie poza zasięgiem sieci energetycznej.

Zdecydowanie!

– Często słyszę helikoptery – mówię. – W ten sposób wy wszyscy dolatujecie do pracy, prawda?

Ignoruje moje pytanie i znów zaczyna gwizdać.

– Rozumiem. To tajemnica. A jak zgadnę, w jakim jesteśmy stanie? To jakiś stan, gdzie jest dużo śniegu. I góry. Maine? Montana? Jakiś inny stan, który zaczyna się na M?

– Hawaje. Jesteśmy na Hawajach.

– Cha, cha, cha.

Zamaszyście stawia te swoje ogromne kroki. Mocno zaciskam pięść na foliowej torebce.

– Czy widziałeś ostatnio Jori? – pytam.

Dostaje napadu kaszlu i mija dłuższa chwila, zanim odpowiada:

– Wszystko u niej w porządku.

– Czyżby?

– Zajmuj się sobą, Panno Wścibska.

Jori jest jedną z tutejszych pacjentek i nie widziałam jej od ponad trzech tygodni. Boję się, że coś jej się stało. Od czasu do czasu ludzie stąd znikają. Jednego dnia są, a drugiego już ich nie ma. Nie wiem, czy to dlatego, że ich terapia dobiegła końca, czy też coś im się przytrafia. Coś, co resztę z nas mogłoby wytrącić z równowagi. Mówią nam tylko, że pacjenta „już nie ma”, a to może znaczyć wszystko: przeniesiony, wypisany lub martwy. Nie można grzebać ludziom w mózгах, kilku przy tej okazji nie tracąc, ale nie uśmiecha im się otwarte informowanie nas o tym, że ludzie tu umierają.

Wyjątkiem jest siostra Jenner. Ta bez oporów przekazuje nam złe wieści.

Trudno mi uwierzyć, że Jori została wyleczona i wypisana. Jest takim wątłym, drobnym i chudziutkim stworzeniem o skórze koloru niedogotowanej ryby. Zawsze się garbi, trzymając zaciśnięte dłonie przy piersiach, jakby próbowała ochronić skrzydelka ledwo co złapanego motyla. Jest delikatna i nerwowa. I co najmniej dziwaczna – nawet jak na standardy tego miejsca. Nikt z personelu by tego nie przyznał, ale jestem prawie pewna, że takie dziewczyny nie żyją długo i szczęśliwie, choćby nawet usunięto im z pamięci tysiące złych wspomnień.

Steve popycha mnie w kierunku wind i naciska guzik. Czekamy, ale żadna nie przyjeżdża. Steve znów naciska guzik, kilkakrotnie, ale nadal nic.

– Może wyłączono je z powodu burzy? – zgaduję.

– Tak. To pewnie to. – Szarpnięciem cofa wózek. – Pojedziemy naokoło.

Pojechanie naokoło wymaga przecięcia głównego holu, by dostać się do wind w północnej części, i kilkuminutowego pokonywania trasy, którą właśnie zrobiliśmy. Gdy mijamy zajmujące całą ścianę okna holu, widzę ciężkie, szare chmury przesłaniające góry w oddali.

Wtedy właśnie gwałtownie zrywa się wiatr. Na ostry, rytmiczny dźwięk zlodowiałego śniegu uderzającego o szybę Steve wydłuża krok, coraz szybciej pokonując przestrzeń marmurowej podłogi. Chyba nigdy wcześniej nie widziałam, żeby się tak spieszył.

Mijamy wejście na nieużytkowany oddział mieszczący się na parterze. Z głębi ciemnego jak noc korytarza dobiega dudnienie i łoskot przypominający uderzenie pioruna. Kilka sekund później słychać skrzypienie zawiasów.

Steve przystaje.

Odchylam głowę do tyłu i wbijam wzrok w jego wpatrzone w ciemność oczy. Uderza w nas silny podmuch wiatru i spowija mnie niedający się z niczym pomylić zapach świeżego powietrza.

– Pachnie jak śnieg – mówię.

Steve przygryza wargi.

– Faktycznie. Któreś drzwi musiały się otworzyć. Poproszę obsługę budynku, żeby się tym zajęła.

Nie mam pojęcia, jak to możliwe, aby drzwi otworzyły się tak po prostu z powodu wiatru. To miejsce jest przecież zamknięte na cztery spusty. Co więcej, cały ten kompleks szpitalny jest wbudowany w górskie zbocze. Najpierw powstał budynek główny, w którym właśnie jesteśmy, a następnie mniejszy, przylegający do niego budynek skrzydła południowego. Kiedy Steve popycha mój wózek korytarzem łączącym te dwa obiekty, nie odrywam wzroku od skrzydła południowego. Tam dzieje się coś dziwnego. Nigdy nikt o nim nie wspomina.

Steve mocniej zaciska dłonie na rączkach wózka i jeszcze odrobinę przyspiesza. Obracam się na wózk i wbijam wzrok w korytarz. Zawsze się zastanawiałam, dlaczego w szkłe wytrawione są litery E i C. Personel nie mówi o tym miejscu inaczej niż „ośrodek”. Czasem, gdy mówią o obu budynkach i otaczającym je terenie, używają określenia „kompleks”. Ale przecież E.C. coś musi oznaczać.

– Steve?

– Patrz przed siebie, panno Saro – mówi, delikatnie obracając mi głowę. – I nie zadawaj już więcej pytań. Skup się teraz na powrocie do zdrowia.

Powrót do zdrowia. Właśnie po to tutaj jestem. A powrót do zdrowia oznacza zapomnienie o przeszłości. Bo przeszłość jest zła. Bardzo zła albo jeszcze gorsza. Na tyle gorsza, że inaczej mogłabym sobie z nią nie poradzić.

Drastyczne środki. Oto one.

Kiedy zawiedzie terapia tradycyjna, farmakologiczna i behawioralna, lądujesz tutaj, a oni nawiercają ci czaszkę i wyciągają złe wspomnienia, jakby pielili ci mózg.

Wszyscy pacjenci ośrodka cierpią na ostry zespół stresu pourazowego. Początkowo sądziłam, że oznacza to, iż przeżyłam jakieś traumatyczne zdarzenie, lecz któregoś dnia zdałam sobie sprawę, że to założenie może być błędne. Zbiegło się to chyba z momentem, w którym zauważyłam, że mój oddział jest bodaj jedynym, na którym ochrona pracuje przez całą dobę, a monitoring pokrywa każdy centymetr kwadratowy podłogi. Nabrałam też przekonania, że cały personel czujnie mnie obserwuje, choć stara się tego nie okazywać. Zapytałam terapeutkę, czy to ja byłam przyczyną tego traumatycznego wydarzenia, o którym mam zapomnieć. Pociągnęła nosem, podsunęła okulary do góry i odparła: „Oczywiście, że nie”.

Oczywiście, że nie.

Zdarzyło się też kiedyś – po trzeciej serii zastrzyków – że odwoził mnie do pokoju nowy sanitariusz. Wykrzywił usta w uśmiechu i zapytał:

– To do którego rodzaju należysz?

– Do którego rodzaju czego?

Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi.

– Jesteś ofiarą czy sprawcą? – drażył.

– A jak sądzisz?

Zlustrował mnie wzrokiem, roześmiał się i odparł:

– Aniołkiem to ty raczej nie jesteś.

Nudzi mnie już to wszystko. Jestem ciągle potwornie znudzona. I nie mogę się otrząsnąć ze złych przeczuc. Tak jakby wbrew temu, że mój umysł nic nie pamięta, ciało próbowało

powrócić do czegoś, co robiło, zanim się tutaj znalazłam.

W pewnym momencie zaczęłam liczyć drzwi, oprawy oświetleniowe, płytki terakoty, wszystko i wszędzie, aż wreszcie udało mi się zwizualizować w głowie całe to miejsce. Znam rozkład każdego piętra i każdego oddziału – a przynajmniej wszystkich części budynku, które wolno mi odwiedzać. Robię to, żeby uniemożliwić sobie zagłębianie się w „beziproduktywnych” rozważaniach.

Steve popycha mnie korytarzem, a ja wpatruję się w podłogę. Wiem, że windę od pokoju wypoczynkowego dzieli osiemnaście czarnych płytek. Kiedy doliczam się ostatniej, podnoszę wzrok i widzę, że jesteśmy dokładnie tam, gdzie się spodziewałam.

Pokój wypoczynkowy to jedno z niewielu miejsc, w których wolno mi przebywać bez nadzoru. Wolałabym pójść na siłownię i spalić trochę energii, ale już mi na to nie pozwalają – od czasu, gdy postanowiłam sprawdzić, do czego jestem zdolna. Zrobiłam siedemdziesiąt cztery pompki i wspięłam się po ścianie wspinaczkowej jak małpa. Od tamtej pory reglamentują mi czas na siłowni, twierdząc, że grozi to zahamowaniem procesu leczenia.

Gdy mijamy szklane przepierzenie dzielące korytarz od pokoju wypoczynkowego, prostuję się w wózku inwalidzkim, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w środku.

Jest. Jori.

Macham do niej, a ona mi odmachuje ze zdwojonym entuzjazmem. Muszę powiedzieć, że chociaż czasem jej obecność przyprawia mnie o dreszcze, cieszę się, że żyje.

– Czy możemy się na chwilę zatrzymać? – pytam Steve’a.

– Nie.

– Dlaczego?

– To nie jest dobre ani dla ciebie, ani dla niej.

Wygląda na to, że się dowiedzieli, o czym rozmawiałam z Jori, kiedy widziałam się z nią po raz ostatni. Oglądałyśmy *Królika Bugsa* i Jori wyszeptała:

– Szybko. Zanim wróci pielęgniarka, powiedz mi, jak wyglądam.

No to jej powiedziałam, chociaż mamy tego nie robić.

– Masz niebieskie oczy, wysokie czoło i niewielki, trochę perkaty nos.

– Naprawdę? – Uszczypnęła się w koniec nosa, próbując wyczuć jego kształt. – Jestem ładna?

– Jasne, że jesteś – skłamałam.

– To dobrze. Jak myślisz, ile mogę mieć lat?

– Piętnaście?

Byłam hojna. Tak naprawdę wygląda na trzynaście, może nawet dwanaście.

– Możliwe. Choć myślę, że jestem starsza... Wydaje mi się... Tak przeczuwam. Myślę, że mogłam mieć dziecko.

– Poważnie?

– Tak. Pamiętam, że dotykałam swojego brzucha. Był okrągły i jakby twardy.

Kiedy zapytałam ją, jak wyglądam, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Jak ktoś silny.

I wtedy właśnie pojawiła się pielęgniarka i przegoniła Jori. Nie miałam już okazji jej zapytać, jakiego koloru są moje oczy, ale domyślałam się, że pewnie brązowe. Większość ludzi na świecie, jakieś trzy czwarte, ma brązowe oczy. Nie pamiętam, skąd to wiem.

Kiedy Jori widzi, że Steve się nie zatrzymuje, podbiega do szyby i przyciska do niej koniuszki palców; jej dłoń wygląda teraz jak jaszczurka pełznąca po ścianie terrarium. Odwracam się do niej i rozkładam bezradnie ręce. Gdy Steve skręca za następnym rogiem, Jori smutnieje.

Jesteśmy w połowie holu, kiedy truchcikiem podbiega do nas pielęgniarka.
– Ona jest teraz bardzo pobudzona – mówi, oglądając się przez ramię. – Czy mogę pożyczyć Sarę na kilka minut? Tylko ona potrafi tę dziewczynę uspokoić.

Steve pociera niepewnie szczękę.

– Lekarz zabronił.

– Daj spokój. Cały dzień muszę opanowywać jej wybuchy. Chcę chwilę odpocząć.

Steve puszcza rączki wózka.

– Idę po kawę. Jak cię złapią, to będzie na ciebie.

Chwilę później jadę znów w stronę sali wypoczynkowej. Kiedy jestem już blisko, Jori zaczyna klaskać. Pielęgniarka otwiera drzwi i kiwa głową w moją stronę.

– Pięć minut, Jori. Ani minuty więcej.

– Dziękuję, siostrzyko Cytrynko!

Gdy tylko kobieta się oddala, pytam z niedowierzaniem:

– Ona naprawdę ma na nazwisko Cytrynka?

– Och, nie. Ma w nazwisku dużo „s” i „z” i chyba na końcu jest „-icki”. Uważam, że Cytrynka brzmi znacznie ładniej.

Wstaję z wózka i idę na kanapę. Gdy siadam, Jori mości się obok mnie, wślizguje mi się pod ramię i przyciąga kolana do klatki piersiowej. Zawsze tak robi. Muszę jej przypominać kogoś, przy kim kiedyś czuła się bezpiecznie.

– Chciałam się z tobą zobaczyć, ale mi nie pozwalali – szepcze.

– Wiem.

Pielęgniarka nie żartowała. Jori naprawdę jest pobudzona. Wierci się niespokojnie i ciągle popatruje w stronę okienka obserwacyjnego, żeby się upewnić, czy pielęgniarka jest odwrócona do nas plecami.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co?

– Mówili o tobie – mówi szybko, splatając palce ciasno na wysokości piersi.

– No jasne, że tak. Rozmawiają o nas wszystkich.

– Ale to coś innego. Chodzi o tę kobietę z Nowego Jorku. Tę z rudymi włosami.

– Panią Hodges?

– Tak ma na nazwisko?

– No.

Zamykam oczy i widzę ją oczyma duszy. Ogarnia mnie zapiekła nienawiść, ale po raz kolejny zmuszam się do jej zignorowania.

– Ona cię nie lubi. Myślę, że ona... Myślę, że ona coś planuje, Saro. Coś naprawdę niedobrego.

Nie potrafię się powstrzymać, by nie odsunąć się odrobinę od Jori. Miałam podobne odczucia co do Hodges niecałą godzinę temu, ale kiedy słyszę to z ust Jori, nabieram przekonania, że ja i Jori jesteśmy do siebie jakoś tam podobne, a to mi się wcale nie podoba. Nawet w takim miejscu chcesz wierzyć, że nie jesteś najgorszym przypadkiem.

Przekrzywiam głowę na bok i próbuję się uśmiechnąć.

– Jori, daj spokój. Wiesz, co nam mówią lekarze. Mamy czasem poczucie, że ludzie chcą nas skrzywdzić, ale to nieprawda. To wszystko dzieje się tylko w naszych głowach.

– Wiem, wiem, ale mówię ci, tym razem to co innego. Musisz trzymać się od niej z daleka. Może nawet powinnaś stąd uciec.

– I gdzie bym poszła w tej szpitalnej koszuli i skarpetkach na gumowej podeszwie? Poczekać na rogu na najbliższy autobus?

– Nie wiem, ale naprawdę martwię się o ciebie!

Wiem, że to tylko zwariowane gadanie Jori, ale i tak mnie to niepokoi. Paranoja jest zazwyczaj dość egoistyczna. Mnie na przykład nie dręczyły nigdy obsesje dotyczące bezpieczeństwa kogoś innego. Zawsze chodziło o moje własne.

– Jestem pewna, że nic mi nie będzie. Naprawdę.

– Wcale nie. Słyszałam, jak rozmawiała przez komórkę z doktorem Buckleyem.

Niecierpliwiła się. Obracała te swoje bransoletki. A potem zaczęła chodzić w tę i z powrotem w tych swoich modnych butach.

– Kiedy to było?

– Nie wiem. Nie radzę sobie z określaniem upływu czasu.

Ja też nie. Dni zlewają się ze sobą i niepostrzeżenie przechodzą w tygodnie, a tygodnie w miesiące. Kiedyś wydrapywałam małe krzyżyki na ścianie obok łóżka. Liczyłam je codziennie, żeby wiedzieć, od jak dawna tu jestem. Ale potem przenieśli mnie do innego pokoju i straciłam rachubę.

– Jesteś pewna, że rozmawiała właśnie z doktorem Buckleyem?

– Jestem pewna.

– Ale dlaczego rozmawiała z nim przez telefon, skoro mogła do niego po prostu podejść i porozmawiać osobiście? A poza tym wydaje mi się, że komórki tutaj nie działają.

– Ale telefony satelitarne już tak. Może miała właśnie taki.

Zaskoczyła mnie. Nie podejrzewałam, że Jori wie, co to jest telefon satelitarny. Nie mam pewności, czy sama to wiem.

– Saro, gdybyś ją usłyszała, tobyś mi uwierzyła. Powiedziała do Buckleya – i tutaj Jori zmienia ton głosu, w którym teraz pobrzmiwa południowy akcent – „nie tak się umawialiśmy. Daję ci jeszcze jedną szansę pozbycia się naszego *małego problemu*, zanim sama się tym zajmę. Ale jeśli mnie do tego zmusisz, to możesz być pewien, że będziesz zarabiał na swoje badania sprzedawaniem lemoniady na ulicy, bo dołożę starań, żeby już nikt nigdy nie dał ci ani pensa. *Nikt. Nigdy*”.

Włosy na głowie mi się jeżą, kiedy słyszę szczegóły tej opowieści, ale staram się nie dać tego po sobie poznać.

– W porządku, Jori. Obiecuję, że będę ostrożna.

Jori ściska mnie za nadgarstek.

– Dobrze. Nie chciałabym, żeby ci się przytrafiło coś złego.

– Ja też bym nie chciała, żeby mi się przytrafiło coś złego. Albo tobie.

Poklepuję ją po plecach i opieram głowę o jej głowę. Siedzimy przez chwilę w ciszy, łysina przy łysinie.

– Saro?

– Tak?

– Czy chcesz stąd wyjechać?

Czy chcę? Wiem, że *powinnam* chcieć stąd wyjechać. Powinnam chcieć wkroczyć w tę nową, świetlaną przyszłość, przystąpić do zapisywania swojej czystej tabliczki, wolnej od traum, straty, cierpienia, wściekłości i bólu. Ale to nie jest takie proste.

– Nie chcę tu być – mówię. – Ale i nie chcę stąd wyjeżdżać.

– No właśnie. Ja tak samo. Chciałabym, żeby albo tutaj było lepiej, albo tam punkt wyjścia był jakiś lepszy.

Wraca pielęgniarka. Widok prezentowanego przez nas – a konkretnie przez Jori – opanowania tak ją cieszy, że się do mnie uśmiecha. Nieczęsto ktoś się do mnie uśmiecha. To znaczy na pewno Larry się do mnie uśmiecha, ale nigdy nie widziałam jego twarzy, więc to się

nie liczy.

Siadam z powrotem na wózku i siostra dziękuje mi cicho, niemal niechętnie. Zanim odjeżdżam, podbiega jeszcze do mnie Jori.

– Prawie zapomniałam. – Sięga do kieszeni szlafroka i otwiera dłoń, pokazując garść żelek. – Siostra Cytrynka mi je daje, jeśli nie sprawiam kłopotów.

Wybiera czerwoną żelkę i podnosi ją do góry. Wiem, na co liczy. Chce, żebym pokazała swoją sztuczkę. Mrugam do niej.

– Gotowa? – pyta.

– Gotowa.

– Gdziekolwiek?

– Gdziekolwiek.

Rzuca żelkę w odległy kąt pokoju. Wydaje jej się, że rzuciła ją poza mój zasięg, ale stawiam jedną stopę na stoliku kawowym, drugą na oparciu kanapy, wyskakuję w powietrze, obracam się i chwytam żelkę w usta, lądując miękko bokiem na poduszkach.

– Niesamowite!

To głupia, bezwartościowa umiejętność, ale zawsze mi się udaje. W poprzednim wcieleniu musiałam być foką.

Jori przytula mnie, a ja obejmuję ramionami jej drobne ciało. Czuję się, jakbym ścisnęła marionetkę.

Chcę już stąd uciec. Pięć minut z Jori to w tym momencie maksimum tego, co jestem w stanie znieść. Macham jej na pożegnanie i właśnie w tej chwili wraca Steve, pochylony nad parującym kubkiem kawy jak nad ogniskiem. Biedny, trzęsie się z zimna.

Ja chyba też. Pewnie dlatego drzę.

Kiedy już wracam w końcu do swojego pokoju, Steve pomaga mi ułożyć się w łóżku i przygasza światła. Staje na moment niezdecydowanie w progu, a ja zaczynam się zastanawiać, czy czeka na napiwek.

– Spróbuj odpocząć. Następnym razem doprowadzą cię do porządku. Jak tylko burza ucichnie. – Kładzie mi rękę na głowie, tym razem delikatnie. – Ktoś ci niedługo przyniesie tacę z obiadem.

– Dzięki.

Mruga i kieruje palec w moją stronę.

– Zobaczę, czy uda mi się załatwić dla ciebie dwa kawałki tej tarty.

– Byłoby świetnie. Dzięki, Steve.

– Tymczasem.

Gdy tylko wychodzi z pokoju, siadam na łóżku i odwracam się plecami do nieustannie włączonej kamery monitoringu, mając nadzieję, że wygląda to tak, jakbym poprawiała sobie koce. W końcu przyglądam się foliowej torebce zaciśniętej od dawna w mojej dłoni. W środku znajdują się trzy przezroczyste kapsułki żelowe i kartka papieru. Na jednej stronie jest instrukcja:

BIERZ PO JEDNEJ TABLETCE W ODSTĘPACH 24-GODZINNYCH.

DOKŁADNIE CO 24 GODZINY.

PO ZAŻYCIU LEŻ SPOKOJNIE.

Odwracam kartkę i widzę, że na drugiej stronie jest coś jeszcze. Po dłuższej chwili z trudem odcyfrowuję ręczne pismo:

WIEMY, CZYM JESTEŚMY, ALE NIE WIEMY, CZYM SIĘ MOŻEMY STAĆ.

No dobra.

Powinam się prawdopodobnie zastanowić, na co są te pigułki, kto mi je dał i dlaczego. Wiem, że personelowi medycznemu nie spodobałoby się, iż zażywam leki nieznanego pochodzenia. To może zahamować postępy terapii.

Czytam jeszcze raz obie strony. Ktoś chce, żebym wzięła te tabletki. Ktoś chce mi pomóc. Nie namyślając się dłużej, łykam jedną.

Rozdział 3.

Czego się spodziewałam?

Czegoś. Czegoś więcej niż rozczarowania.

Leżę w łóżku bardzo długo. Cokolwiek ta pigułka miała robić, najwyraźniej nie działa.

Po mniej więcej godzinie wstaję.

Uderzenie nadchodzi w chwili, w której się prostuję.

Wspomnienie. Tak szybkie i wściekłe, że dociera do mnie momentalnie, dlaczego miałam się nie ruszać. Upadam na podłogę. Otaczający mnie pokój zdaje się powiększać i zmniejszać, zupełnie jakbym była w środku soczewki, która próbuje nastawić ostrość.

Co gorsza, to nie wspomnienie. To bardziej odtworzenie tego, co się wydarzyło. Nie jestem gotowa na intensywność tego doznania.

Wiszę w powietrzu, majtając swobodnie nogami. Jestem wysoko. Niesamowicie wysoko!

To, czego się trzymam – cokolwiek to jest – huśta się. To element jakiejś maszyny.

Jęczy, wyginając się na wietrze. Z każdym podmuchem wiatr unosi mi kaptur nad uszami. Czuję, jak pasma włosów chłuszczą mi policzki. Przed rozpoczęciem tej wspinaczki powinnam była związać je w kucyk.

Z dołu docierają do mnie jedynie niewyraźne odgłosy miasta. Taksówki. Ciężarówki.

Wszyscy zawzięcie chcą się gdzieś dostać. To właśnie ekscytująca i jednocześnie przerażająca cecha miasta – cały ten przeplatający się i ocierający o siebie pośpiech.

Nowy Jork.

Patrzę w dół na światła wielkiego miasta. Oto moje gwiazdziste niebo. Co z tego, że patrzę w dół zamiast w górę? Dla mnie jest to równie piękne.

Wiszę na żurawiu ustawionym przy połowicznie wybudowanym drapaczu chmur. Od ziemi dzieli mnie chyba z trzydzieści metrów.

Wiszę, obejmując ramieniem jedną z metalowych rozpór. Mogę tu chwilę zostać, o ile nie patrzę prosto w dół. Gdy tylko spojrzę, kusi mnie, żeby spaść. Wystarczyłoby się puścić.

Nie mogę się jednak poddać. Muszę skończyć to, co zaczęłam. Muszę przyczepić ten baner do ramienia dźwigu. To wiadomość. I chcę, żeby przeczytało ją całe miasto.

Twarz mam mokrą od łez wyciskanych wiatrem i dojmującym bólem w piersiach, ale robię to, co muszę zrobić. Kończę i chociaż wiem, że nie powinnam, patrzę w dół. Natychmiast to czuję. To coś, co mnie podpuszcza i mówi mi, że wie o wszystkim, co kryje się w moim sercu. Wie, ile wysiłku kosztowały mnie ostatnie miesiące.

– Chodź do mnie – szepce.

Tak ciężko jest nie słuchać. Tyle spraw by się rozwiązało, gdybym po prostu odpuściła. W końcu co za różnica? Zapomnienie jest antidotum na każdy problem.

– *Odpuść – mówi.*

Nie puszczam jednak.

Jestem z powrotem w szpitalnym pokoju. Oddycham szybko i płytko. Opuszczam głowę między kolana i próbuję uspokoić oddech i akcję serca, ale przypomina to próbę udobruchania szarżującego byka słodkimi słówkami. Mam dziwne uczucie, jakby w głowie coś mi topniało i kapalo. Nie jest to bolesne, ale nie jest też szczególnie przyjemne. Zastanawiam się, czy coś poszło nie tak. Całe to wiercenie, które wykonali – może po prostu krwawię? Może odpływa mi płyn mózgowo-rdzeniowy? Może zażycie tej pigułki było w gruncie rzeczy złym pomysłem?

Za późno.

Wstaję, ale za bardzo kręci mi się w głowie, żebym mogła iść. Zmuszam się. Stawiam kilka chwiejnych kroków ku drzwiom, potykam się i upadam boleśnie na biodro. Zastanawiam się, czemu nie przyszła jeszcze żadna pielęgniarka. Kamera w rogu pokoju jest przecież włączona. Musieli widzieć, że upadłam, a jednak nikt nie przyszedł mi z pomocą.

Wtedy zauważam pod łóżkiem coś dziwnego. Ubranie. I buty. Nie, nie buty. Duże, ciężkie obuwie robocze. Od wielu miesięcy noszę jedynie szpitalne koszule i antypoślizgowe skarpetki. Od dawna nawet nie widziałam zwykłego ubrania. Tutaj wszyscy chodzą albo w szpitalnych koszulach, albo w białych fartuchach lekarskich.

Potrząsam głową, a potem mocno się w nią uderzam, jakbym próbowała przywrócić do działania rozklekotanego pilota. Czuję się po podłodze, a potem kładę płasko na brzuchu, żeby osiągnąć leżących pod łóżkiem ubrań.

Jak one się tam znalazły? *Dlaczego* się tam znalazły? To para spodni i ciemnozielona bluza z kapturem. Spodnie mają na kolanach plamy po trawie. Natychmiast wstaję, ściągam przez głowę szpitalną koszulę i zaczynam się ubierać. Spodnie okazują się za duże, ale jest pasek, który zapinam na ostatnią dziurkę. Nie ma koszulki, więc zakładam bluzę na gołe ciało. Wsuwam stopę do jednego z butów. Trochę za duże, ale da się chodzić.

Zwijam koszulę w kulkę i rzucam ją na łóżko. Sprawdzam kieszenie spodni i znajduję coś jeszcze: jedną z tych kart magnetycznych, za pomocą których personel otwiera drzwi. Jest biała i ma tęczyowy hologram E.C. – cokolwiek by to znaczyło.

Nagle budynkiem wstrząsa seria krótkich trzasków. Nie mam pojęcia, co to mogło być, ale mój instynkt wrzeszczy: natychmiast stąd uciekaj!

Mój instynkt najwyraźniej nie rozumie, że jestem na zamkniętym oddziale szpitalnym, z którego niepodobna się wydostać. Podchodzę jednak do drzwi i pociągam za klamkę.

Ustępują.

Nie mogę w to uwierzyć. Wystawiam głowę na korytarz i rozglądam się w obie strony. Nic nie widzę i nic nie słyszę, więc wychodzę z pokoju i po chwili zdaję sobie sprawę, że ukrywanie się nie ma sensu. Nie tylko korytarz, ale cały oddział jest całkowicie pusty. *Jak to możliwe?* Gdzie są pielęgniarki? To chyba niemożliwe, żeby z powodu burzy wszystkie nas zostawiły i pojechały do domu?

Wtedy właśnie moich uszu dobiega pulsujący rytm wirnika helikoptera. Maszyna podlatuje bliżej, a szyby w oknach zaczynają drżeć. Przez dobrą minutę wisi nad budynkiem, po czym odlatuje.

Podchodzę do dyżurki pielęgniarek i się rozglądam. Na ścianie nad biurkiem zamontowanych jest dwanaście monitorów, ale tylko trzy są włączone. Jeden z nich pokazuje chłopaka w śpiączce w pokoju znajdującym się po drugiej stronie korytarza, na skos od mojego.

Dowiedziałam się o nim, bo podsłuchałam kiedyś, jak siostra Jenner żartuje, że jest jej ulubionym pacjentem. Nigdy nie sprawiał żadnych kłopotów.

Kolejny monitor pokazuje leżącego w łóżku chłopaka podłączonego do kroplówki. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

Ostatni monitor pokazuje puste łóżko. Moje.

Naprawdę jest nas tutaj tylko troje?

Chwytam za pilota sterującego monitorami i zaczynam naciskać guziki. Obrazy na jednym z monitorów zaczynają się zmieniać jak w kalejdoskopie. Ekran pokazuje podgląd rozmaitych części ośrodka. Widzę zewnętrzny dziedziniec do ćwiczeń. Ścieżki i ławki powoli znikają pod śniegiem.

W następnej kolejności widzę ujęcie panoramiczne zamazane z powodu zawiei. Z tej odległości rozpoznaję jedynie budynek główny szpitala. Jest kilka innych miejsc, których nigdy nie widziałam. Czuję się tak, jakbym obserwowała rozszerzanie się wszechświata.

No i proszę! Na zewnątrz ląduje elegancki czarny helikopter. Łopatki raptownie się zatrzymują i zwijają niczym odnóża jakiegoś mechanicznego owada.

Szyby w oknach znów zaczynają drżeć, kiedy opuszcza się helikopter wiszący wcześniej nad dachem. Porusza się powoli, wzdłuż obrysu budynku, jakby czegoś szukał, zaglądając do wszystkich okien.

Następny obraz, który pojawia się na ekranie, jest upiorny i przerażający: niewielka grupka ludzi rozbiega się po ośrodku, wpadając na siebie w biegu. Dostrzegam znajomy wzór marmurowych płytek na podłodze: to mozaika przedstawiająca wschodzące słońce.

A zatem jest to główny hol.

Podchodzę do okna i wyglądam przez żaluzje. Helikopter zawisa w odległości zaledwie dwudziestu metrów kilka pięter wyżej. Zaczyna się oddalać od budynku i wygląda, jakby miał odlecieć, ale nagle kieruje nos z powrotem w stronę ośrodka. Kilka sekund później dostrzegam trzy szybkie eksplozje, a po chwili moich uszu dobiega wizg.

Formułuję w umyśle słowo „rakiety” w chwili, w której uderzają. BUM! BUM! BUM!

Sypią się na mnie płyty podwieszanego sufitu i oprawy lamp. Gdziekolwiek spojrzę, eksplodują chmurki pyłu. Huki i trzaski zdają się trwać w nieskończoność. Słyszę kolejną serię trzech wybuchów – kolejne trzy rakiety – tym razem w przeciwnym skrzydle. To ta strona czwartego piętra, w której znajduje się Jori.

Wczołguję się pod biurko. Szyby w oknach popękały, zaścielając podłogę warstwą tłuczonego szkła. Drzwi oddziału otwierają się powoli, jakby budynek przekrzywił się na jedną stronę. Wstaję i wolno podchodzę do schodów, ale kilka sekund później znów jestem na czworakach – kolejna eksplozja wstrząsa konstrukcją budynku. Pojemnik z wodą do dystrybutora przewraca się na bok i odtacza z gulgotem.

To, co było kiedyś moim szpitalnym pokojem, jest teraz ziejącą dziurą, przez którą obserwuję obracający się i unoszący helikopter. Kiedy oddala się od budynku, biegnę do pokoju chłopaka pogrążonego w śpiączce. *Dlaczego? Przecież to głupie. Jak mogłabym ocalić człowieka pogrążonego w śpiączce?*

Trudno się przedrzeć przez kupy gruzu, ale jakoś docieram do drzwi i widzę wielką belkę leżącą w poprzek jego łóżka. W poprzek jego piersi.

Odwracam się i wybiegam, by przeszukać kolejne pokoje, a tymczasem śnieg wpada na korytarz, momentalnie roztopiając się na podłodze. Wreszcie na samym końcu holu widzę chłopaka, którego zobaczyłam na monitorze. Wygląda mniej więcej na osiemnastolatka. Wiązka rurek łączy go z kroplówką i cewnikiem. Jego umięśnione ramiona, klatkę piersiową i szyję pokrywają tatuaże; niektóre z nich zostały laserowo usunięte. To kolejna rzecz, którą tutaj robią.

Na jego głowie doliczam się sześciu blizn po cięciach chirurgicznych; jedno z nich zostało niedawno zszyte. Ma też bliznę, być może od kuli, tuż poniżej obojczyka. Unoszę go za ramię i próbuję zwlec z materaca. Jest ciężki jak kamień i w żaden sposób nie ułatwia mi tego zadania. To ponad moje siły, żebym była w stanie gdziekolwiek go zanieść.

Kładę mu dłoń na piersi i czuję, że jego klatka piersiowa rytmicznie unosi się i opada. Jest w nim coś znajomego. Tak jakbym nie znała jego konkretnie, ale znała ludzi takich jak on. Odłączam kroplówkę i robię mu znak krzyża na czole, ustach i piersi. Tylko tyle mogę dla niego zrobić i jestem w pełni świadoma, że to żałośnie mało.

Wybiegam za drzwi, tracę równowagę na śliskiej podłodze i ląduję na kości ogonowej. I wtedy właśnie ich słyszę. W budynku są ludzie. Ludzie, których nie powinno tu być. Wiem, bo robią mnóstwo hałasu, tupiąc na schodach i nie starając się ukryć. Patrzę na siebie – na buty, ubranie, kartę magnetyczną. Ktoś próbuje mi pomóc. Dlaczego? Może dlatego, że ktoś inny zamierza mnie skrzywdzić. Może Jori mimo wszystko miała rację.

Jori.

Biegając ku jej skrzydłu, mijam dyżurkę pielęgniarek, rozgniatając podeszwami ziarnistą warstwę cementu, który odpadł od ścian. Na każdym piętrze znajdują się drzwi antywłamaniowe i kiedy dopadam drzwi prowadzących na tę stronę piętra, po której mieszka Jori, klamka okazuje się tak gorąca, że muszę ją puścić. Przypadam do podłogi i na kolanach staram się zajrzeć przez szparę pod drzwiami. Wyczuwam dym... i coś jeszcze.

Gaz łzawiący.

Aż do tego momentu nie miałam pojęcia, jak pachnie gaz łzawiący, ale szczegółowe wyjaśnienia okazują się niepotrzebne. Czuję się tak, jakby ktoś wcisnął mi do oczu i gardła lampę lutowniczą.

Naciągam sobie na nos i usta kołnierz bluzy. Będę musiała dostać się do Jori inaczej.

Nasłuchuję przy drzwiach prowadzących na klatkę schodową. Ludzie, którzy biegli po schodach, otworzyli drzwi piętro niżej. Czekam chwilę, aż się oddalą, po czym zbiegam dwa piętra, sądząc, że może uda mi się obieć budynki dookoła i skorzystać ze schodów na drugim końcu piętra, żeby wejść wyżej. Żałuję tego sekundę po otwarciu drzwi na drugie piętro. Dwóch mężczyzn w czarno-szarych wojskowych kamuflażach odwraca się i strzela w moją stronę. Puszczam klamkę i rzucam się na podłogę, a kule trafiają w metalowe drzwi antywłamaniowe.

Zjazd po poręczy schodów na parter jest tak szybki, że niewiele się różni od swobodnego spadku. Wypadam z klatki schodowej i ląduję w samym środku spowitego dymem i pogrążonego w chaosie holu głównego. Ranna pielęgniarka, powłócząc nogą, kuśtyka w kierunku drzwi wejściowych, próbując się ukryć za ogromnymi donicami z palmami, które stoją w pobliżu zajmujących całą ścianę okien. Nurkuję za biurko ochrony i stwierdzam, że nie jestem jedyną osobą, która próbuje tam znaleźć schronienie. Są jeszcze dwie inne.

No, właściwie jedna. Jest tu jeden z fizjoterapeutów. Martwy. Zostaje pielęgniarka, którą widziałam wcześniej. Jest tak sztywna ze strachu, że nawet nie mruga. Gdyby tak szybko nie oddychała, pomyślałabym, że też nie żyje.

W koniuszkach palców czuję ostre ukłucia adrenaliny. W ustach mam metaliczny posmak. Ktoś mówi, ale nie sposób stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta. Kimkolwiek jest, brzmi jak syntezyzator mowy. Jak głos, który słyszy się w GPS-ie. Mechaniczny. Rwany. Nieludzki.

– Szukamy Sary Ramos. Ma szesnaście lat. Powiedzcie nam, gdzie jest, a zostawimy was w spokoju.

Za jedną z palmowych donic dostrzegam skulonego Steve'a. Nasze spojrzenia się spotykają i jego usta układają się w słowo „przepraszam”.

Gwałtownie potrząsam głową, bo już wiem, co zamierza zrobić.

Wstaje i wskazuje w moją stronę.

– Jest tam. Za biurkiem.

Patrzę na niego z przerażeniem i niedowierzaniem. Dwie godziny temu obiecywał mi dodatkowy kawałek ciasta, a teraz mnie zdradza? Zwiesza głowę, naciąga sobie szalik praktycznie na twarz, może ze wstydu. Widzę, że naprawdę mu przykro.

Nie mogę powiedzieć, że czuję to samo, kiedy go zabijają.

Rozdział 4.

Zwała się na mnie huragan gorącego metalu. Okna za biurkiem ochrony wypadają z ram. Jakimś fuksem udaje mi się skulić za szafą na akta, dzięki czemu mnie nie trafiają, ale ostrzał jest tak ogłuszający, że od jego przerwania mija pełne dziesięć sekund, zanim wraca mi słuch.

Leżąca obok mnie kobieta wbija szklane spojrzenie w sufit. Słyszę dźwięk rozgniatanego podeszwami szkła i gruzu.

Nad głową przelatuje mi kolejny grad kul. Ile pocisków potrzebują ci ludzie, żeby zabić jedną dziewczynę?

Słyszę kobiecy głos:

– Każ swoim ludziom wstrzymać ogień.

Wydaje się, że jej głos otula każdy wyraz. Jest miękki, południowy, słodki.

Mechaniczny głos odpowiada:

– Wstrzymać ogień, dopóki nie wydam komendy.

– Dopóki ja nie wydam komendy, skarbie. Ja. Nie zapominajmy, kto tutaj dowodzi.

Nie spieszą się, by do mnie podejść. Chyba doszli do wniosku, że cisza i bezruch są same w sobie wystarczającym dowodem. Wyciągam rękę w stronę leżącego obok mnie trupa kobiety i kładę dłoń na jej piersi. Rozmazuję sobie jej krew na szyi i policzku i zamieram w bezruchu. Otwarte dłonie opieram na kolanach.

– Nie żyje? – pyta z nadzieją w głosie kobieta z południowym akcentem.

To Hodges. Wiem, że to ona. Nigdy wcześniej nie słyszałam jej głosu, ale słyszę brzęk bransoletek na jej nadgarstku.

Facet z bronią przechyla się ponad blatem biurka. Patrzy na mnie z góry i wiem, że widzi tylko czubek mojej łysej głowy.

– Tak sędzę.

Hodges wzdycha teatralnie.

– Nie po to zrobiliśmy tyle kilometrów i wydaliśmy tyle pieniędzy, by *sądzić*, że ją zabiliśmy.

Żołnierz przeskakuje przez blat biurka ochrony i ląduje stopą na leżącym obok mnie ciele. Traci równowagę i próbując się podeprzeć, dźga mnie w policzek dymiącą jeszcze lufą karabinu. Prawie słyszę skwierczenie oparzonej skóry, ale zmuszam się, by trwać w bezruchu.

– Tak jak sądziłem – mówi. – Nie żyje.

– Jesteś absolutnie pewien? – pyta Hodges.

Mężczyzna ściąga sobie rękawiczkę zębami i sięga ku mojej szyi, by wyczuć palcami puls. Gdy jego dłoń jest już tuż obok mojej twarzy, gryzę go z całej siły i zderzam butem w krocze.

Kiedy zgina się wpół, chwytam dłoń trzymającą karabin i naciskam palec na spuście, celując w sufit tuż nad miejscem, w którym stoją jego towarzysze i Hodges.

Żarówka nad głową Hodges eksploduje i kobieta wydaje okrzyk zaskoczenia. Dostaje się też jednej z głowic instalacji przeciwpożarowej, a może trafiam w prowadzący do niej przewód, w każdym razie nagle z sufitu zaczyna tryskać woda. W ciągu kilku sekund jestem kompletnie mokra.

Daję nura na brzuchu przez zasypaną szkłem i zalaną wodą podłogę i rzucam się szczupakiem przez okno za biurkiem. I w tym momencie dociera do mnie, że coś musiałam źle obliczyć. Wiedziałam, że jesteśmy na parterze. Nie podejrzewałam tylko, że jest to tak wysoki parter.

Spadam ponad cztery metry w dół i ląduję plackiem na brzuchu. Uderzam szczęką w ziemię i przygryzam sobie język. Pluję krwią i dotykam przednich zębów, odkrywając z niedowierzaniem, że nadal są na swoim miejscu. Nie od razu się podnoszę. Dopiero spojrzawszy w górę i zobaczywszy wychylającego się z okna mężczyznę, który składa się do strzału, zrywam się do biegu.

Pędzę w stronę budynku i przywieram płasko do ściany. Wystający gzyms daje mi najwyżej piętnaście centymetrów osłony. Pociski świszczą tuż koło moich stóp, gdy kulę się niezgrabnie przy ścianie. W pewnym momencie tracę równowagę i uderzam głową w chropowatą granitową ścianę, prawie tym samym miejscem, w którym obluzowało się tkwiące w mojej czaszce gniazdo aureoli. Ból niemal mnie oślepia, ale idę dalej.

Jest mi tak zimno, że z trudem zmuszam ciało do pracy. Mam wrażenie, że mokre ubranie zaczyna na mnie zamarać. Zimno pozbawia mnie zdolności myślenia, a potrzeba ogrzania się tłumi wszelkie inne instynkty, nawet chęć ucieczki. Próbuję otworzyć wszystkie mijane drzwi, ale żadne nie ustępują.

Oglądając się przez ramię, zaczynam się zastanawiać, kiedy któryś z tych żołnierzy mnie namierzy. Wsuwam dłonie do przednich kieszeni bluzy, ale zimna tkanina nie grzeje. Coś jednak wyczuwam. Coś małego, plastikowego i prostokątnego.

Karta magnetyczna!

Może uda mi się znaleźć jakieś miejsce, w którym mogłabym się ukryć, jakąś mysią dziurę pod schodami albo szafkę pod zlewem. W końcu przecież pojawi się policja. Wszak nikomu nie może ujsć na sucho szturm na szpital.

Chyba że przypuszcza się atak w środku nawałnicy, a sam szpital znajduje się w środku niczego. Wtedy pomoc nie może nadejść, choćby chciała.

Czuję bolesny ucisk w klatce piersiowej i nagle dociera do mnie, że dotknęłam mrocznej prawdy. Jestem zdana tylko na siebie. Nikt nie przyjdzie mi z pomocą.

Zaciskam zeszywniałe z zimna palce na karcie magnetycznej i biegnę dalej wzdłuż ściany budynku, aż w końcu docieram do wielkich drzwi garażowych. Na ścianie dostrzegam czytnik kart magnetycznych, więc przeciągam przez niego kartę i momentalnie tego żałuję. Drzwi otwierają się niewiarygodnie głośno i powoli. Równie dobrze mogłabym wystrzelić w powietrze flarę, która zasygnalizowałaby żołnierzom moją pozycję.

Kiedy terkot drzwi wreszcie ustaje, nie chcę ryzykować zasuwania ich z powrotem. Przecież ktoś to w końcu usłyszy. Będę musiała zostawić je szeroko otwarte. *Zapomnij o ogrzaniu się.*

Obejmuję dłońmi głowę. Ciągłe czuję to powolne topnienie, do którego teraz dołącza się coś jeszcze gorszego – koszmarny, pączkujący, ogarniający mnie smutek. Czuję się tak, jakby wydarzyło się coś złego, a za chwilę miało wydarzyć się coś jeszcze gorszego. Bardziej się obawiam tego nagłego cierpienia niż ścigających mnie uzbrojonych mężczyzn. Bo to coś – cokolwiek to jest – rodzi się we mnie. I nie mogę od tego uciec.

Na moment ogarnia mnie paraliż. Przyciskam ręce do skroni i wbijam wzrok w podłogę, obserwując płatki śniegu wirujące wokół kosiarek do trawy. Potrzebny mi jakiś plan. Potrzebny mi... Potrzebny...

Co mi jest potrzebne? Jest mi tak koszmarnie zimno, że nie mogę zebrać myśli!

– Potrzebujesz skrzydeł, maleńka. Ale nikt nie ma skrzydeł.

Słowa te wypowiada moja matka. Słyszę je, jakby stała tuż obok. Raptownie zerkam w prawo, chociaż wiem, że przecież nie może tam być. Bo nie żyje. Tyle akurat mi powiedzieli.

Ale pamiętam ją. Przynajmniej trochę.

Pamiętam, że wypowiedziała te właśnie słowa. Pamiętam też, jak je wypowiedziała –

miętko, czule i łagodnie. Nie mogę sobie jednak przypomnieć jej twarzy.

Zanim się orientuję, wciąga mnie przeszłość.

Siedzę na taborecie i wpatruję się w tęgą kobietę z pierścionkami na każdym palcu. To nie moja matka. To pani Esteban. Miesza w garnku w ciasnej kuchni restauracyjnej, a jej długa spódnica kołysze się przy każdym ruchu. Pomieszczenie wypełnia zapach gotowanego ryżu, przypraw i rozgrzanego smalcu. Woń jest tak smakowita, że mam ochotę oblizać powietrze.

Mam siedem, może osiem lat. Gonily za mną jakieś dzieciaki, więc przyczałam się w zaułku, a potem weszłam na zaplecze tego baru serwującego tortille z nadzieniem, wpadając na obfite kształty pani Esteban. Jest tutaj kucharką, a przy tym zajmuje mieszkanie na trzecim piętrze znajdujące się tuż pod tym, w którym mieszkam razem z matką. Pozwoliła mi ukryć się tutaj przed ścigającymi mnie dzieciakami, ale teraz niecierpliwie mnie wygania. Ma swoją robotę do wykonania, a ja ją rozpraszam.

– *Dlaczego po prostu nie zostawią mnie w spokoju? – pytam, wycierając zamasyście głupie łzy, które nie chcą przestać płynąć. Nienawidzę tego, że byle kto może mnie doprowadzić do takiego stanu, ale nic nie jestem w stanie na to poradzić.*

– *Bo się od nich różnisz.*

– *Jak?*

– *Chodzisz do innej szkoły. Inaczej się wyrażasz – mówisz, a potem wzdychasz. – Różnisz się od nich również pod innymi względami.*

– *Jakimi?*

– *Nikt ci tego jeszcze nie powiedział?*

– *Czego?*

Potrząsa głową i wznosi oczy ku niebu.

– *Masz zielone oczy.*

– *No i?*

– *No i? No i? Aj!*

Wyciera ręce w ścierkę i przerzuca ją przez ramię.

– *Twoja matka pracowała kiedyś dla bardzo bogatego człowieka. Też miał zielone oczy. Jesteś na tyle duża, że możesz się domyślić reszty.*

Nie od razu rozumiem, co ma na myśli. Kiedy to do mnie dociera, zeskakuję ze stołka i łapię ją za fartuch.

– *Kto to był?*

– *Och, dziewczyno. To twoja matka powinna ci o tym powiedzieć.*

– *Kto?!*

– *Nie pamiętam, jak się nazywa. Buduje wszystkie wysokie budynki w mieście.*

Pstryka kilkakrotnie palcami, próbując sobie przypomnieć, ale bezskutecznie.

Kopię ją w kostkę i wybiegam na zewnątrz, ścigana jej przekleństwami. Wbiegam w uliczkę i oślepią wściekłością wpadam wprost na grupkę prześladowających mnie dzieci. Ląduję na chodniku, z nosem w tłustej kałuży. Słyszę chichot grupki dziewcząt. Śmiech dziewczynek może być najobrzydliwszym dźwiękiem na świecie. Czuję, że ktoś przechodzi mi po plecach. Unoszę głowę i widzę kilka oddalających się par lśniąco czarnych mokasynów i pomarszczonych skarpetek.

Wspomnienie raptownie się urywa, jakby ktoś mną potrząsnął, by zwrócić mi na coś uwagę. Stoję twarzą do ściany garażu. Widzę nożyce do przycinania żywopłotów, dwa sekatory i niewielką kosę.

Broń. Tego właśnie potrzebuję. Tego właśnie chcę.

Ukrywanie się kompletnie mi nie odpowiada.

Rozdział 5.

Rozglądam się za czymś. Za czymkolwiek. Nie wiem nawet za czym.

W garażu znajdują się trzy wielkie kosiarki do trawy. To te, na których tutejsi ogrodnicy stają, by skosić połacie trawników otaczających szpital. Obok stoi mały traktorek, który zamiast kół ma gąsienice. Obrzucam go tęsknym spojrzeniem, ale wiem, że nie mogę go wziąć. Dokąd bym pojechała, zwłaszcza w taką pogodę? Nadmiernie przyciągałby uwagę. Jeżeli mam stąd uciec, to muszę to zrobić cicho. Mam przecucie, że nikt nie pozwoli mi stąd uciec, jeśli tylko zdoła temu zapobiec.

Pod jedną ze ścian stoi rząd zamykanych szafek. Może w którejś znajdę coś przydatnego. W stojącej nieopodal skrzynce z narzędziami widzę młotek. Kilkakrotnie mocno uderzam w zamek szyfrowy jednej z szafek. Ustępuje bez trudu, ale ze środka ziele rozczarowująca pustka. Zawartość następnej szafki okazuje się bardziej przydatna. Znajduję niebieski kombinezon roboczy i wielką, zieloną, płócienną kapotę z flanelową podszewką. Ściągam z siebie mokre ubrania i wsuwam się w kombinezon. Żeby się w nim nie utopić, muszę zawiąć rękawy i nogawki o dobre piętnaście centymetrów. Narzucam kapotę, która jest tak miękka i ciepła, że na chwilę otulam się nią ciasno, czując ulgę i wdzięczność. W następnej szafce znajduję pudełko śniadaniowe, a w nim kanapkę i jabłko. Wkładam je do kieszeni. Przypominam sobie o karcie magnetycznej i tabletkach. Muszę je wyciągnąć z mokrych ubrań.

Wsuwam dłoń do kieszeni bluzy i wyjmuję foliową torebkę. Jedna z dwóch pozostałych kapsułek żelowych pękła i z torebki wycieka teraz to, co było w środku. Stało się to pewnie wtedy, gdy wyskoczyłam przez okno i wylądowałam na brzuchu. Wkładam torebkę do kieszeni płaszcza.

Znalezienie elastycznej czarnej czapki to rezultat rozwalenia jeszcze kilku szafek. Wkładam ją na głowę i momentalnie czuję, że jest mi tysiąc razy cieplej. Na stojącej obok ławce znajduję parę skórzanych rękawiczek roboczych, w które z ulgą wsuwam zdrętwiałe palce.

W garażu jest pełno narzędzi ogrodowych, ale jak miałabym je wykorzystać? Przecież nie będę ze sobą nosić grabi do obrony. Potrzebuję czegoś mniejszego.

Wracam do skrzynki z narzędziami, w której znalazłam młotek, i jeszcze raz uważnie przeglądam jej zawartość. W pierwszej chwili wydaje mi się, że widzę pistolet, ale potem dociera do mnie, że to gwoździarka. Ma jakieś sześćdziesiąt centymetrów długości i jest z rodzaju tych, których się używa do wbijania gwoździ w beton za pomocą niewielkich pocisków. Nie mam pojęcia, skąd wiem, co to jest i jak działa, ale wiem. Wkładam ją do wewnętrznej kieszeni obszernej kapoty, przytrzymując rączkę pod pachą. Biorę garść pocisków i gwoździ i je również wrzucam do kieszeni. Taka improwizacja wydaje mi się czymś znajomym. Jakby to było coś w moim stylu.

W kącie garażu dostrzegam drzwi wewnętrzne. Po drugiej stronie jest prawdopodobnie korytarz. Może prowadzić do piwnicy, ale nie mogę ryzykować. Cały ten ośrodek wbudowany jest w górskie zbocze, więc nie mam pewności, na którym poziomie znajduje się garaż, a nie chcę się nagle znaleźć w pobliżu holu. Biec? Nie bieć? Na razie stoję. Ale przecież nie mogę stać w nieskończoność. Po drugiej stronie drzwi słyszę kroki. Ciężkie i pospieszne. Szybcy są.

Słyszę, jak wykrzykują coś do siebie tymi dziwnymi, mechanicznymi głosami. Biegnę ku przeciwległej stronie garażu, gdzie są zaparkowane wielkie kosiarki, i przyczajam się za jedną z nich.

Słyszę pisk czytnika kart magnetycznych i widzę, jak dioda przy drzwiach zmienia kolor z czerwonego na zielony. Drzwi uchylają się o centymetr.

Czekam. Oni też. Sprawdzają mnie.

– Saro Ramos. Przejdź na środek pomieszczenia i połów się na brzuchu, wyciągając ręce i nogi na boki.

Nie odpowiadam. Drzwi nie otwierają się szerzej. Na co oni czekają?

Wyskakuję zza kosiarki i pociągam za sznurek rozruchowy. Silnik zaskakuje, krztusząc się czarnym dymem i wstrząsając budynkiem w posadach. Naciskam jedną rączkę, ale nic się nie dzieje. Próbuję nacisnąć obie jednocześnie i kosiarka skacze naprzód, ale staje, gdy tylko puszczam obie rączki.

Za mną na blacie roboczym leży rolka srebrnej samoprzylepnej taśmy izolacyjnej. Odrrywam kawałek zębami i przymocowuję taśmę wokół obu rączek kosiarki.

Kiedy drzwi otwierają się szeroko, zwalniam hamulec i kosiarka rusza ku drzwiom. Nie obchodzi mnie, jaką macie broń – z szarżującą ogromną kosiarką nie macie szans. Odruchowo strzelają, po czym wycofują się na korytarz, gdy kosiarka rozbija się o framugę. Po garażu roznosi się echem zgrzyt metalu.

Uderzam przycisk opuszczający drzwi do garażu, czekam, aż zasuną się prawie do końca, i w ostatnim momencie prześlizguję się pod nimi na zewnątrz.

Żyję. Ale jeśli chcę, by tak zostało, muszę się zważnie ruszać.

Trzymam się blisko budynku w nadziei, że występy i nierówności choćby odrobinę mnie osłaniają. Po jakichś trzydziestu metrach docieram do granic znanego mi świata: ogromnego, metalowego treliazu zamocowanego na ścianie budynku. Sięga niemal dachu i składa się z tysięcy pasków folii miedzianej przymocowanych do kraty. Kiedy wieje wiatr, paski folii obracają się w podmuchach, tworząc wzory uzależnione od zmieniającego się kierunku wiatru. Bardzo ładne, owszem, ale pozwala też pozyskać energię wiatrową, uzupełniając dostawy elektryczności dla budynku. Ktoś mi kiedyś powiedział, że określa się to mianem rzeźby funkcjonalnej.

Kiedy próbuję zdecydować, co dalej, dostrzegam w podmuchach śniegu zbliżającą się ku mnie postać. Nie jest to jeden z tych mężczyzn z bronią ani nikt z personelu. Inny pacjent? Niemożliwe. Po pierwsze, nie jest łysy, spod czapki narciarskiej wystają mu bowiem ciemne włosy. Po drugie, ma na sobie wielką, białą, puchatą kurtkę narciarską i gogle, a rękę niesie coś, co wygląda na torbę na komputer. Skrada się, a ja zaczynam skradać się za nim. Jeśli sądzić po sposobie poruszania się, jest młody. Idę za nim, gdy ostrożnie wybiera drogę wokół budynku. W lewej ręce trzyma krótkofalówkę. Kiedy znika za następnym rogiem, rzucam się do biegu, by skrócić dzielący nas dystans.

Ryzykuję wyjrzenie zza rogu i zamieram. To plac budowy. Ogromny. Dziura, którą wykopali na potrzeby tej budowy, jest równie głęboka, jak wysoki jest główny budynek szpitala. Z każdej strony otaczają ją hałdy wykopanej ziemi. Są tam wywrotki, betoniarki, koparki, a na tym wszystkim wznosi się gigantyczny żuraw. Widzę jego kolumnę, ale górna część konstrukcji ginie w śnieżnej zawiei. Oczywiście w taką pogodę nikt by tu nie pracował, ale coś mi w tym miejscu nie pasuje. Może te wysokie chwasty otaczające opony betoniarki? Rozerwane plastikowe płachty, które wiatr zaniósł na płot? Sposób, w jaki stwardniały hałdy ziemi? Od jakiegoś czasu nikt tutaj nic nie robi.

Młody człowiek idzie w kierunku niewielkiego budynku gospodarczego, który łączy się z budynkiem głównym oszklonym przejściem. Pochyla się nisko, ewidentnie starając się nie rzucać w oczy. Dodaje mi to otuchy, zwłaszcza że nie widzę, by miał broń. W tym akurat momencie preferuję ludzi bez broni.

Kiedy chłopak dociera w końcu do budynku, przykuca tuż przy drzwiach wejściowych, przywiera plecami do ściany i wyciąga kartę magnetyczną. Jest taka sama jak moja: biała.

Wydaje się, że nie ma pewności, czy powinien jej użyć. Czeką, aż w końcu przeciąga kartę przez czytnik i otwiera drzwi.

Teraz mój ruch. Sprintem godnym bejsbolisty próbującego zaliczyć bazę dopadam otwartych drzwi i wsuwam w nie stopę, zanim zamkną się na dobre. Czekam kilka chwil, po czym zaglądam do środka na wypadek, gdyby chłopak jeszcze tam był. Nie ma go.

Najwyraźniej weszłam tylnymi albo bocznymi drzwiami. To trochę dziwne – sposób, w jaki to miejsce odseparowane jest od budynku głównego – ale na pewno jest jakiś ku temu powód. Zawsze jest.

Schody prowadzą tylko w jednym kierunku: w dół. Staram się poruszać bezgłośnie. To może być niezłe miejsce, żeby się na chwilę przyczołgać. Podchodzę do szeregu drzwi; przy każdym zamontowano czytnik kart magnetycznych. Sądząc po śniegu na podłodze, który nie zdążył jeszcze stopnieć, chłopak poszedł w prawo. *No to ja chyba w lewo.*

Przeciągam kartę przez czytnik i szarpnię skrzydło drzwi do siebie. Powietrze, które mnie owiewa, jest tak zimne, że zaczynam się zastanawiać, czy nie wyszłam z powrotem na zewnątrz. Wchodzę do środka i światła zapalają się automatycznie. Robię dwa kroki w tył i zainstalowana w rogu pod sufitem kamera monitoringu ustawia automatycznie ostrość, wychwytyjąc mój ruch.

Nie! Nie! Nie!

Odwracam się i słyszę dziwny dźwięk przypominający spuszczenie powietrza z balonu. Ktoś właśnie wyłączył światła i wszystkie działające w pomieszczeniach maszyny, cały ten biały szum, na który nie zwracasz uwagi, dopóki nie zniknie. Chwilę później rozżarza się szereg zielonkawych punktów oświetlenia awaryjnego.

Słyszę pisk czytnika kart. Ktoś idzie.

Znów przywieram do ściany. To musi być ten chłopak, którego widziałam na zewnątrz. Może zobaczył zostawione przeze mnie w korytarzu śnieżne ślady. Muszę szybko coś wymyślić.

Drzwi otwierają się szeroko, wpuszczając do środka akurat tyle światła, by udało mi się dobrze wycelować.

Najwyraźniej wiem, jak wymierzyć całkiem niezły cios.

Rozdział 6.

Chłopak pada w tył. Mocno uderza głową o ścianę, ale jego narciarska czapka skutecznie tłumi odgłos uderzenia. Osuwa się do pozycji siedzącej, a torba komputerowa wypada mu z rąk i spada na podłogę.

Podnosi na mnie wzrok, zdumiony i nieco obrażony, a potem dotyka krwawiącego nosa.

– Po co to zrobiłaś?

Nieświadomie przechyliłam głowę na bok. Szczęka mi opada. Patrzę na swoją pięść, bo jestem prawie pewna, że nigdy dotąd nie wymierzyłam ciosu takiemu przystojniakowi. Nie mogę się jednak nad tym zastanawiać zbyt długo, bo może się przecież okazać, że ten chłopak pomaga ścigającym mnie zabójcom.

Przygważdżam jego kostkę podeszwą buta do podłogi i naciskam całym ciężarem.

– Hej, to boli!

– Ma boleć – mówię. – To ty zgasiłeś światła?

– Kim jesteś?

– Na razie wystarczy ci informacja, że jestem dziewczyną z bronią palną – warczę.

– To nie jest broń palna.

– Pocisk to pocisk.

– Słuszna uwaga.

Robię krok w tył, a on pochyla się naprzód, żeby rozmasować sobie kostkę. Potem zaczyna gramolić się z podłogi i nawet wyciąga ku mnie rękę, żebym pomogła mu się podnieść.

– Nie powiedziałam, że możesz wstać.

– Po prostu pozwól mi zrobić to, co muszę zrobić, okej?

– Czyli?

– Nie mogę ci powiedzieć, ale jeśli szybko tego nie zrobię, wpadnie tu grupka wściekłych koleś z prawdziwą bronią.

Rozglądam się po pomieszczeniu. Zielona poświata oświetlenia awaryjnego rozplywa się w powietrzu jak słaba herbata, ale w tym świetle nie widzę nic znajomego. W każdym razie dla mnie.

– Co to za miejsce? – pytam.

– Trzymają tu serwery obsługujące ten ośrodek.

Wskazuje palcem przeciwległą stronę sali. Teraz widzę zarysy szeregu niewielkich, prostokątnych wież. Znajdują się w metalowej klatce nieco uniesionej ponad podłogę.

– Dlaczego trzymaliby komputery tak daleko od budynku głównego?

– Te serwery trzeba cały czas chłodzić, dlatego tu jest zimno jak w chłodni. Muszą być również przechowywane w bezpiecznym miejscu. Dlatego znajdują się w bunkrze o ścianach grubości prawie półtora metra. Czy zaspokoilem twoją ciekawość?

– Nie bardzo.

– Proszę. Nie mam dużo czasu. Czego chcesz? Żebym cię błagał? – Pada na kolana. – Proszę. Błagam. Szczęśliwa?

– Oblędnie.

Nagle sięga do kieszeni. Momentalnie celuję mu z gwoździarki w głowę.

– To czołówka, okej? Wiesz, taka latarka, którą się mocuje na głowie.

– Chcę zobaczyć – mówię, starając się, aby mój głos brzmiał odpowiednio groźnie.

Wyciąga czołówkę przed siebie, wkłada ją na głowę, włącza światło i wyrzuca ręce na boki. Tadam!

– Widzisz? Nie mówiłem? Czołówka.

Opuszczam gwoździarkę i odkopuję za siebie jego torbę komputerową.

– Zatrzymam to w zastaw.

– Nie. Potrzebuję tego, by wykonać swoje zadanie.

Czekam chwilę. Przynaglająco wyciąga rękę po torbę i w końcu kopię ją w jego stronę.

Chwyta ją i trzema krokami przemierza pomieszczenie. Wyciąga z kieszeni kurtki okulary w grubych, brązowych oprawkach i wkłada je na nos. W szklach robi się o połowę mniej atrakcyjny. Może nawet o trzy czwarte.

– Dlaczego... Po co je wkładasz?

– Bo jak mnie walnęłaś, to wyleciały mi szkła kontaktowe i mało widzę.

Gapię się na jego okulary, zastanawiając się, czy taka właśnie jest teraz moda w świecie na zewnątrz. Czuję, jak czoło marszczy mi się ze zgrozą na widok ich nieskalanej, bijącej po oczach brzydoty.

– Słuchaj, dostałem je w Pjongjang, okej? Mieli tylko takie oprawki, a trochę się spieszyliśmy. A teraz przestań mnie rozpraszać.

Na drzwiach klatki zabezpieczającej serwery znajduje się klawiatura numeryczna, na której chłopak wbija kod. Nic się nie dzieje. Próbuje jeszcze raz.

– Hm, trochę to żenujące. Sądziłem, że udało mi się złamać ten kod.

Obrzuca pomieszczenie wzrokiem i skupia spojrzenie na jednym z serwerów. Wyjmuje z torby nożyce do cięcia metalu i wycina część klatki, by móc sięgnąć do środka. A potem wyciąga laptop, podłącza kabel i zaczyna wściekle uderzać w klawisze. Chwilę później na jego twarzy maluje się ulga. Szybko wpycha coś do kieszeni.

– Co zrobiłeś? – pytam.

– Coś sobie wziąłem. A potem go zniszczyłem.

– Dlaczego?

– Szef mi kazał.

– Szef? – Teraz jestem naprawdę wściekła. Wycelowuję mu gwoździarkę w gardło. –

Sądziłam, że powiedziałaś, iż próbujesz uciec tym gościom...

Chcę dodać „którzy chcą mnie zabić”, ale nie dodaję. Nawet ja zdaję sobie sprawę, że zabrzmiałoby to jak bzdurzenie wariatki.

– Mój szef nie jest z nimi – mówi chłopak. – To znaczy tak jakby jest, ale nie tak, jak mogłabyś sądzić. To skomplikowane.

Chłopak zdejmuje okulary i wkłada je z powrotem do wewnętrznej kieszeni kurtki. Potem przykuca, ostrożnie pakuje laptop i zapina torbę. Podnosi na mnie wzrok, jakby nie rozumiał, co ja tu właściwie jeszcze robię. Ma oczy tak brązowe, że wyglądają jak czarne, ale może po prostu w tym mdłym świetle ma maksymalnie rozszerzone źrenice.

Rusza do drzwi.

– Poczekaj! Co zamierzasz teraz zrobić? – pytam.

– Wyjść.

– Wyjść?

– No. Zabieram tyłek z powrotem do jurty.

– Co powiedziałeś?

– Jurty.

– Co to znaczy?

– Jurta. Nie wiesz? Taki namiot. Albo chatka.

– Zabierz mnie ze sobą.

– Nie.

– Proszę! – Mam ochotę wypluć to słowo z ust. Smakuje desperacją.
– Nie.
Próbuję innej strategii.
– Słuchaj, ja nie mam problemu z odmową, ale moja gwoździarka jest bardzo drażliwa. Jeszcze raz spogląda na drzwi, a potem patrzy na zegarek.
– Ty chyba nie rozumiesz...
– Nie, ja *na pewno* nie rozumiem. W ogóle nie rozumiem, co się tutaj dzieje. Są tutaj jacyś ludzie z bronią, którzy właśnie zabili wszystkie znane mi osoby!
Mruga niepewnie.
– Przykro mi.
– *Przykro ci?* Powiedziałaś, że ci *przykro*?
– Przykro mi, że musisz coś takiego przeżywać. Nie chodzi o to, że przepraszam za to, co się tutaj dzieje, bo nie mam z tym nic wspólnego. Mam własne problemy i muszę się stąd wydostać.
– Chciałbyś sobie ponarzekać?
Zdejmuje czapkę.
Przygląda się przez chwilę mojej łysej głowie, a potem patrzy mi prosto w oczy, jakbym... jakbym była beznadziejnym przypadkiem, a on nie potrafił się przełamać, by mi o tym powiedzieć.
– A zatem jesteś jedną z nich.
– Jakich „nich”?
– Jedną z tutejszych szczurów laboratoryjnych?
– Najwyraźniej.
Zaczyna coś mówić, urywa, zaczyna jeszcze raz.
– Jestem prawdopodobnie ostatnią osobą, która może ci pomóc. Uwierz mi, że ci goście w środku bardzo się wkurzą, kiedy się zorientują, co zrobiłem. Pozwalając ci pójść ze sobą, oddam ci niedźwiedzią przysługę.
Naciąga rękawiczki. Chyba sądzi, że pozwolę mu tak po prostu wyjść.
– Zdradź mi *cokolwiek* – mówię, starając się, by w moim głosie nie pobrzmiwała wściekłość.
– Nie mogę.
– Cokolwiek! Jak nie uzyskam od ciebie jakiejś użytecznej informacji, przybiję ci stopę do podłogi!
I to by było tyle, jeśli chodzi o powstrzymanie gniewu.
– Jakoś nie chce mi się wierzyć, że potrafiłabyś się tym posłużyć.
Celuję z gwoździarki w jego torbę komputerową, co wyraźnie wytrąca go z równowagi.
– Tylko spokojnie, okej? Spokojnie.
– Powiedz mi chociaż jedną rzecz. To wszystko.
– Dobra. Jedną rzecz.
– Jak to możliwe, że jesteś z tym związany, a jednak nie jesteś?
– Mój szef to jeden z najwybitniejszych hakerów na świecie. Wykonuje różne zlecenia dla różnych ludzi. Dla ludzi z dużą kasą. Zapłacono mu, żeby się tutaj pofatygował i skasował pewne informacje.
– I zabił wszystkich w zasięgu wzroku?
– Nie wiedzieliśmy, że zamierzają to zrobić. Przysięgam. Jak myślisz, dlaczego próbuję się stąd wydostać?
– Nie wierzę ci. Dlaczego ktoś miałby potrzebować pomocy we włamaniu się do

szpitalnego komputera?

– Szpitalnego? A zatem sądzisz, że jesteś w szpitalu?

Mam już wyrzucić z siebie „tak”, ale rozumiem, że ta odpowiedź zostałaby wymiana.

– To nie jest szpital, słonko – mówi. – A może powinienem raczej powiedzieć, że jest to coś znacznie więcej niż szpital. To supernowoczesny ośrodek.

– Jak to?

– Wiesz co? Bez urazy, ale nie ma sensu tłumaczyć tego komuś, kto jest umyślowo niepełnosprawny.

– *Nie* jestem niepełnosprawna umyślowo.

– Jesteś, a te wywiercone dziury tego dowodzą.

Strzelam z gwoździarki do jego komputera.

Chłopak podskakuje i zaczyna wrzeszczeć, przeklinać i pytać, czy zdaję sobie sprawę z tego, co właśnie zrobiłam. Patrzę na niego bez ruchu. Nikt nie będzie mi mówił, że jestem niepełnosprawna umyślowo. Nawet jeśli, technicznie rzecz biorąc, jestem.

Nagle z jego krótkofalówki wydobywa się kobiecy głos.

– Jest tam kto? Czy ktoś mnie słyszy? Odbiór.

Chłopak wygląda na zaniepokojonego. Odsuwa krótkofalówkę daleko od siebie, jakby osoba po drugiej stronie mogła go zobaczyć przez głośnik.

– Wnioskuje, że to nie twój szef – mówię.

Potrząsa głową i wsuwa krótkofalówkę z powrotem do kieszeni.

To oczywiście Hodges. Jej głos przypomina żyletkę zanurzoną w miodzie. Wiem o tym, ale nie chcę mu tego zdradzać. Nic więcej temu chłopakowi nie powiem, dopóki nie zdecyduje się podzielić ze mną posiadanymi informacjami.

– Dlaczego ma nadajnik twojego szefa? – pytam.

– Nie wiem, ale muszę iść. Natychmiast.

Jakby nie przyszło mi to do głowy.

– A może powiesz mi po prostu, gdzie jestem? – mówię. – Powiedz mi, gdzie jest najbliższa autostrada, i skieruj mnie w odpowiednią stronę. To wszystko, czego mi trzeba.

– To wszystko, czego ci trzeba? – prycha. – Po pierwsze, zakładasz, że ja to wiem. A nie wiem. Bez tego czegoś – wyciąga mały GPS i potrząsa mi nim przed nosem – nie znalazłbym zamka błyskawicznego we własnej kurtce. Po drugie, nawet jakbyś wiedziała, dokąd zmierzasz, i miałabyś odpowiednie ubrania i skuter śnieżny, a nie masz ani jednego, ani drugiego, to w tej obłądnej zamieci nigdzie nie dotrzesz.

– Jak się tutaj dostałeś?

– To akurat jest mało istotne. Słuchaj, czas ucieka. Naprawdę nie mogę ci pomóc. Nie wiem nawet, czy sam sobie zdołam pomóc. Przykro mi.

– A gdzie jest ta jurta, o której mówiłeś? Czy mogę tam pójść z tobą? Tylko na chwilę. Potem nie musisz mi już pomagać. Muszę się stąd wydostać... Uciec im.

– Dlaczego?

– Jak to *dłaczego*?

– Słuchaj, ci komandosi kogoś szukają. To jakieś osobiste porachunki czy coś takiego. Nie do wiary, że 8-Bit się w to zaangażował. Nie obchodzi mnie, czy to była jakaś osobista przysługa. Mówię ci tylko, że jak się po prostu gdzieś przyczaisz, w końcu sobie pójda. Nic ich nie obchodzisz.

– Nie? To dlaczego próbują mnie zabić?

– Próbuja cię zabić? *Ciebie*? – Przez moment lustruje mnie wzrokiem, który zatrzymuje na dłużej na mojej łysej czaszce.

– Tak.

Zaciska wargi i przez kilka sekund milczy. Wreszcie wskazuje na moją głowę.

– Masz zaschniętą krew. Tam. Nad lewym okiem. I na szyi.

Oblizuję kciuk i zmywam sobie krew z czoła. Nie jestem pewna, czyja to krew. Myślę o martwej kobiecie, która prawdopodobnie leży nadal w holu. Nie jest już człowiekiem, lecz zaledwie rzeczą. Podobnie jak Steve i dzieciak w śpiączce. Groza i nierealność tego wszystkiego uderzają mnie falą mdłości.

Mam prawo przypuszczać, że również Larry nie żyje.

I Jori.

Twarz zaczyna mnie palić niczym rozgrzany pogrzebacz, gdy uświadamiam sobie, jak ją zostawiłam. Jak o niej kompletnie zapomniałam.

Grzbietem dłoni ocieram nos i oczy. Dopiero w chwili, w której gwoździarka uderza o podłogę, orientuję się, że wypuściłam ją z dłoni.

– Nie wiem, co robić. Nie mam dokąd pójść.

Jestem na wpół przekonana, że powiedziałam to do siebie, ale najwyraźniej mnie usłyszał, bo gdy unoszę głowę, napotykam jego spojrzenie. Nie potrafię powiedzieć, czy na jego twarzy maluje się tylko litość, czy coś znacznie głębszego. Coś bliższego współczuciu.

Z rezygnacją opuszcza ramiona.

– Dobra, dobra. Możesz ze mną pójść. Na razie. Przeczekać burzę. Ale potem jesteś już zdana na siebie. A może nam się wcale nie udać. Możemy zamarznąć w lesie na kość.

Podnoszę gwoździarkę i wciskam ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Wolę zamarznąć na śmierć niż zginąć od kuli.

– Nie brak ci hartu ducha – mówi, ponownie zerkając na zegarek. Po minucie zamyka oczy i mówi cicho: – Gdzie jesteś, człowieku?

– Czekasz na kogoś?

– Czekałem. Ale teraz muszę już iść. Bez niego.

– Bez kogo?

Chłopak kopnięciem wysyła kaleki korpus komputera pod przeciwległą ścianę i mówi:

– Kogoś, kto będzie naprawdę wściekły, kiedy się dowie, co zrobiłaś z jego wartym dwadzieścia tysięcy dolarów komputerem.

Rozdział 7.

Wychodzimy na zewnątrz i trzymamy się blisko ścian serwerowni. Śnieg pada tak gęsty, że tworzy minizaspy na czubkach naszych butów za każdym razem, gdy się zatrzymujemy, by sprawdzić, czy możemy bezpiecznie ruszać dalej.

Nigdy nie oddaliłam się tak bardzo od głównego budynku. Teraz, kiedy jesteśmy bliżej ogrodzenia, widzę, że to miejsce – zgodnie ze słowami chłopaka – jest istną twierdzą. Trzymetrowy płot zwieńczony jest drutem kolczastym. Może i prowadzą tu jakieś drogi, ale ich nie widać. Cały ten kompleks zabudowań jest wyspą pośród morza gór.

Dostrzegam skuter śnieżny z doczepionymi z tyłu saniami. Chłopak wskazuje na niego i mówi:

– To moje.

– Nie możemy go wziąć... Usłysz nas.

Nie muszę tłumaczyć, co tak naprawdę mam na myśli: zastrzelą nas.

– Muszę wyciągnąć kilka rzeczy. Chodź.

Zaczyna biec, a ja biegnę za nim. Docieramy do skutera i opadamy za nim na kolana.

Chłopak sięga pod plandekę pokrywającą sanie i wyciąga parę białych peleryn przeciwdeszczowych. Chwilę później wyjmuje z kieszeni i wręcza mi GPS.

– Wiesz, jak się tym posługiwać?

– Być może. Daj mi chwilę.

To efekt terapii wymazującej wspomnienia. Czasem nie wiemy, do czego jesteśmy zdolni, dopóki nie spróbujemy. Kontrolę przejmuje jakaś nieznana nam cząstka nas samych i nagle się okazuje, że potrafimy malować, rysować lub czytać w obcym języku. W moim przypadku okazało się na przykład, że umiem się wspinać po ścianach, jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego. Jakbym wiedziała, że najlepiej czuję się na dużych wysokościach.

GPS spoczywa w mojej dłoni. Czekam, by sprawdzić, czy będę wiedziała, co z nim zrobić, ale chyba jestem za wolna. Chłopak odbiera mi go i mówi:

– Nie szkodzi, nawet jeśli nie umiesz. I tak jestem zaskoczony, że z tymi wszystkimi dziurami w głowie pamiętasz, jak włączyć światło. Do tej pory naliczyłem pięć.

– Pięć czego?

– Dziur w twojej głowie. Nie licząc metalowych gniazd na aureolę.

Skąd on to wie?

Chyba usłyszał moje myśli albo może dostrzegł, że podskoczyłam, kiedy to powiedział.

– Wiem co nieco o tym, co się tutaj dzieje. Szczerze mówiąc, czasem mam ochotę sam się tu zapisać na terapię.

– Nie sądzę, by brali takich ludzi jak ty.

– Ludzi jak ja? Czyli jakich?

– Po prostu nie wydajesz się... chyba nie jesteś tego rodzaju człowiekiem, to wszystko.

– Nie wiesz, jakiego rodzaju jestem człowiekiem – mówi ponuro. Wkłada białą pelerynę przez głowę i wręcza mi drugą.

– Jak masz na imię? – pytam.

Waha się przez krótką, wymowną chwilę.

– Pierce.

– Pierce i co dalej?

– Pierce Belmont.

– Pierce Belmont?

- Dokładnie.
- To nie jest twoje prawdziwe imię i nazwisko.
- No... nie jest.
- Wszystko jedno. Nie mów.

Idziemy przygięci w stronę płotu. Pierce wyciąga nożyce do metalu, którymi posłużył się w serwerowni. Już ma ich użyć, gdy kładę mu rękę na ramieniu.

– Co?

Ni stąd, ni zowąd przychodzi mi do głowy niepokojąca myśl.

- Może być pod napięciem.
- Och. Masz rację. Mógłbym się usmażyć.

Sięga do plecaka i wyjmuje coś, co wygląda jak małe nożyczki. Ostrze jest błyszczące jak czarne szkło.

– Nie przewodzą prądu – mówi. – Dzięki za ostrzeżenie. Zarobiłaś już na swoje utrzymanie.

Kiedy oboje jesteśmy po drugiej stronie, wyjmuję z kieszeni plastikowe trytytki i spina rozcięte ogrodzenie.

– Z dużej odległości nie będą w stanie powiedzieć, którędy wyszliśmy. Możemy w ten sposób zyskać nieco czasu.

Nagle zaczyna mnie denerwować.

– Nie chcesz wiedzieć, jak mam na imię?

Wkłada z powrotem nożyce do plecaka i mówi:

- A czy znasz w ogóle swoje prawdziwe imię?
- Sara?

Patrzy na mnie sceptycznie.

– Jesteś pewna?

Otwieram usta, lecz nie znajduję odpowiedzi.

Las jest czarno-biały: biały od padającego śniegu, czarny w zapadającym zmroku. Gdyby nie GPS, kręcilibyśmy się w kółko do rana.

Zagłębiliśmy się kilkaset metrów w las i teraz każdy krok wymaga gigantycznego wysiłku. Miejscami wiatr usypał ze śniegu ogromne zaspę; kiedy je pokonujemy, zapadam się w śniegu po uda. Nogi zdrętwiały mi z zimna, wlekę się mechanicznie krok za krokiem.

Gdy już mam powiedzieć Pierce'owi, że mam dość i dalej nie pójdę, patrzy na GPS i mówi:

– Jeszcze dwadzieścia metrów i jesteśmy.

Nie zobaczyłabym stojącego dwadzieścia metrów dalej stada słońi – widoczność nie przekracza trzydziestu centymetrów. Stawiamy jeszcze kilka kroków i nagle z zamieci wyłania się mały namiot, zupełnie jakby Pierce wyczarował go machnięciem magicznej różdżki.

– A zatem to jest jurta – mówię.

Przedemną stoi okrągła konstrukcja o średnicy może czterech i pół metra. Wygląda jak miniaturowy namiot cyrkowy z anteną satelitarną na szczycie środkowego masztu.

– 8-Bit dostał to od jakiegoś znajomego, który zdezerterował z rosyjskiego wywiadu.

Wyprzedawał cały swój sprzęt. Rosjanie wszystko ci sprzedadzą. Tajemnice, broń, nerki, własne dzieci. Wszystko. – Chwyta połę namiotu i odwraca ją na drugą stronę, żeby mi pokazać futro, którym jest podbita. – To skóra renifera. – Odwija połę z powrotem. – Przy wejściu mieści się tylko jedna osoba. Zobaczysz. Zdejmij buty i włącz lampę, kiedy będziesz w środku. Wisi tuż przy wewnętrznym wejściu.

Podtrzymuje poły na tyle, żebym mogła wśliznąć się do środka, do czegoś w rodzaju

małego przedsionka. Myślę, że zostało to zaprojektowane w taki sposób, żeby człowiek mógł zdjąć płaszcz i buty, nie wpuszczając zimnego powietrza do namiotu. Do jurty. Jak zwał, tak zwał.

Waham się, czy zdjąć płaszcz, ale czuję przenikające z wewnętrznej komory ciepłe powietrze, więc wnioskuję, że musi być w porządku. Zdejmuję skarpetki razem z kompletnie zaśnieżonymi od wewnątrz i od zewnątrz butami. Są tak zeszywniałe z zimna, że śnieg nie stopniał, chociaż przecież był tuż przy skórze.

Odsuwam wewnętrzną połę namiotu i wchodzę do środka. Znajduję lampę i ją zapalam.

Pośrodku sufitu znajduje się otwór o szerokości mniej więcej sześćdziesięciu centymetrów, a poniżej coś, co wygląda jak niewielki kociołek z dziurkowaną pokrywką. W kociołku coś żarzy się pomarańczowo – dogasający żar, wspomnienie po ogniu, który dopiero co wygasł.

Wewnątrz jurty znajdują się dwa dmuchane materace, kilka przenośnych krzeseł i składany stół, na którym stoją trzy duże laptopy wielkości walizek. Obok każdego materaca stoi wielki, wypchany plecak. Widzę też przenośną kuchenkę kempingową w pobliżu stołu i kilka brudnych talerzy, i wetkniętych między nie sztućców.

– Witam w Hakerowie – mówi Pierce, odchylając wewnętrzną połę namiotu i wchodząc do środka. – Nie zostaniesz tu na tyle długo, by docenić wszystkie wygody, ale nie ma to żadnego znaczenia, bo nie ma tu żadnych wygód.

Stoję na środku jurty, niepewna, co ze sobą zrobić. Po chwili Pierce uśmiecha się i wskazuje coś palcem.

– Na to tam mówimy „krzesło”. Siada się na nim. Wielu ludzi uważa, że to całkiem wygodne.

– Dzięki za wskazówki.

Opadam na krzesło, a on pochyla się nad trzema komputerami. Zdejmuje kurtkę i czapkę i prostuje się na pełną wysokość. Głową niemal dotyka sufitu jurty.

– W porównaniu z tym mój szpitalny pokój wydaje mi się ogromny. Mam nadzieję, że twój szef nie chrapie.

– Prawdę mówiąc, chrapie.

– Ale dopłaca ci za ciężkie warunki pracy, co?

Pierce napełnia wodą z butelki mały czajniczek, a potem podpala gaz na kuchence.

– Nie płaci mi – mówi, przeczesując palcami przykrapnięte od czapki włosy. – Można powiedzieć, że mam zakwaterowanie z wyżywieniem. 8-Bit jest moim ojcem.

– Och. Dlaczego od razu tak nie mówiłeś?

– Jeszcze się nie oswoiłem z tą myślą. Poznałem go dopiero osiem miesięcy temu – przerywa na chwilę, po czym podejmuje wątek: – On nie chce, żeby inni o tym wiedzieli.

– O tym, że jest twoim ojcem, czy o tym, że jesteś jego synem?

– A co za różnica?

– Różnica tkwi w tym, kto się kogo wstydzi.

– Nie myślałem o tym w ten sposób – prycha. – Ale sądzę, że masz rację.

Siada na krzesła przy komputerach. Dzieli nas może metr. Gdy majstruje przy jednym z laptopów, obserwuję go kątem oka. Siedziałam w tym szpitalu nie wiem jak długo i nie pamiętam, kiedy po raz ostatni widziałam chłopaka, który nie byłby łysy i nie miałby dziur w głowie.

Pierce łapie moje spojrzenie i się uśmiecha. Gwałtownie oblewam się rumieńcem.

– Przepraszam, nie chciałam się na ciebie gapić.

– W porządku. – Wyszczersza zęby arogancko. – Często mi się to zdarza.

Wkłada z powrotem czapkę narciarską i spogląda na mnie, unosząc brew.

– Idziesz gdzieś? – pytam.

– Nie chciałem, żebyś się czuła samotna – odpowiada, wskazując moją czapkę.

Dotykam mokrej od potu i stopniałego śniegu akrylowej czapki, która teraz koszmarnie drapie. Zdejmuję ją, ale z odsłoniętą głową czuję się tak, jakbym siedziała przed nim goła.

– No więc – zagajam – co tam robiłeś? W tym systemie komputerowym?

Wzrusza ramionami.

– A jak to się stało, że znalazłaś się w tym zakładzie modyfikacji mózgów?

Wzruszam ramionami.

– Co ci powiedzieli? – dąży.

– Niewiele. Wyjaśnianie mi, jak się tam znalazłam, mogłoby zakłócić proces wymazywania mojej pamięci.

– Ale coś musieli ci powiedzieć.

– Tylko tyle, że moi rodzice nie żyją i że cierpię na stres pourazowy. Jak wszyscy inni pacjenci. Myślę, że nie mogliśmy sobie poradzić z tym, co się wydarzyło, i potrzebowaliśmy pomocy, by zapomnieć.

– Pomocy? Nie wyglądasz na kogoś, kto potrzebuje jakiegokolwiek pomocy.

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, że te zabiegi nie zmieniają osobowości.

– Skąd wiesz?

– Mówiłem ci, czytałem trochę o tym, co tutaj robią. Czy cierpisz na stres pourazowy, czy nie, jesteś, kim jesteś.

– To znaczy?

– To znaczy... Jak by to ująć? Ty i twoja gwoździarka sprawiacie wrażenie pary, która bez problemu radzi sobie ze zranionymi uczuciami dowolnej osoby. Nie wyłączając własnych.

Jego słowa zabolaly mnie. Wszystko, czego się obawiałam, co podejrzewałam... czy to może być tak oczywiste? Nawet dla tego obcego chłopaka? Może taka właśnie jestem.

Sprawczyjni.

Podnoszę wzrok, spodziewając się zobaczyć na jego twarzy obrzydzenie, ale zamiast tego dostrzegam iskrę... współczucia? Nie. Może zrozumienia? To dziwne.

Wstaje i podchodzi do mnie. Podrywam się na równe nogi, lekko przygarbiona, z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

– Hej, wyluzuj, okej?

– Przepraszam. Wyluzowywanie się jakoś słabo mi wychodzi.

Wyciąga coś z kieszeni kurtki i teraz widzę, co to jest: pendrive.

– Muszę zrobić kilka rzeczy. – Bierze mnie za ramiona i przesuwa delikatnie, żeby móc precyzyjnie się za mną. – To może potrwać więcej niż chwilę. Jeśli masz ochotę położyć się i odpocząć, to śmiało.

– Nie chcę się tutaj kłaść – mówię, chociaż marzę o tym, żeby się położyć.

– Dobrze, twarda dziewczyno. Możesz się gapić w ścianę, jeśli wolisz. Ale sprawiasz wrażenie wyczerpanej.

Przewraca oczami, jakby znał mnie od zawsze i jakbym zawsze zgrywała twardzielkę. Nabieram do niego odrobiny sympatii. Do samej siebie przy okazji też. Pielęgniarki były zawsze w mojej obecności czujne i ostrożne, a on nie. Nawet po tym, jak uderzyłam go w twarz. I strzeliłam w jego komputer z gwoździarki. Sprawia mi ulgę myśl, że mogę być osobą, za którą mnie bierze. Bycie tak po prostu w *porządku* byłoby wielkim krokiem naprzód.

Pierce siada przy jednym z komputerów i wyjmuje swoje ohydne okulary w grubych

oprawkach. Waha się przez moment, po czym wkłada je na nos.

– Naprawdę nie są takie, no wiesz... złe – mówię.

– Nie traktuj mnie jak dziecka.

– Masz rację. Są wyjątkowo ohydne.

Znów przebiega palcami po klawiaturze. Nie mam wątpliwości, że gdybym mu teraz zadała pytanie, toby nie odpowiedział – nie usłyszałby mnie. Cokolwiek teraz robi, nie jest z tego powodu szczęśliwy, to jasne. W końcu ciekawość bierze górę nad wyczerpaniem. Wstaję i zaglądam mu przez ramię. Wpatruje się w ekran wypełniony szeregami liczb.

W czerni ekranu widzę mroczne odbicie własnej twarzy. Odchylam głowę do tyłu i odwracam wzrok. Nie jestem jeszcze gotowa, by na siebie spojrzeć.

– Co to jest? To wszystko? – pytam.

Na moment unosi palec wskazujący, po czym zaczyna pisać jeszcze szybciej, krzywiąc się ze wstrętem. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczynam sądzić, że o mnie zapomniał.

– Głodna jestem – mówię.

Przypominam sobie o kanapce, którą wepchnęłam do kieszeni płaszcza. Wracam do przedsonka, żeby ją wyciągnąć. Kanapka stężała w gumowatą bułę. Wracam do namiotu, siadam i wgrzynam się w to paskudztwo.

Pierce musiał wyczuć to samo co ja – lekko nadpsute mięso – bo wykrzywia z obrzydzeniem wargi.

– Co ty jesz?

– Nie mam pojęcia.

– Może i jesteś szczurem laboratoryjnym, ale to nie powód, by zachowywać się jak prawdziwy szczur. Nie musisz jeść śmieci. Popatrz tutaj. Cała masa smakowitego liofilizowanego żarcia do wyboru. Instrukcje masz na opakowaniach. – Wskazuje kuchenkę gazową, na której stoi czajnik. – Dla mnie też coś przygotuj. Tylko nie tortillę z wołowiną. Za bardzo smakuje Meksykiem.

– A tortilla nie powinna smakować Meksykiem?

– Chodziło mi raczej o to, że smakuje jak zmielony Meksykanin. Niemyty. – Zerka na mnie i nagle czerwienieje jak pomidor. – Bez urazy.

– Ale o co chodzi?

– Czy ty nie jesteś... To znaczy... Chyba nie jesteś Meksykanką, co?

– Co?

– Wyglądasz jak Meksykanka. Czy coś.

– Jasne. Czy coś.

– Ale masz zielone oczy, więc może jesteś Meksykanką z domieszką jakiejś innej krwi. Gdybym miała brwi, uniosłabym je na tę uwagę.

– Może powinienesz zamilknąć. Przynajmniej na razie.

– Chyba tak. Zanim dojdiesz do wniosku, że jestem jakimś cholernym rasistą, a nie po prostu idiotą bez wyczucia, który próbował być zabawny.

Odwracam się do niego plecami i zaczynam przeglądać plastikowe opakowania z jedzeniem. Mam zielone oczy. Pani Esteban też mi to powiedziała. Dopóki tego nie potwierdził, nie wiedziałam, czy mogę polegać na własnej pamięci. Ale przynajmniej to jest prawdą: mam zielone oczy.

Kiedy woda w czajniku zaczyna się gotować, zalewam nią zawartość opakowania. Kilka minut później zajadamy się gorącym, zbrylonym chili con carne. Byłam zbyt głodna, by odczekać, aż jedzenie odpowiednio się rozmoczy. W nagrodę za brak cierpliwości dostaję fasolki twarde jak kamienie. Pierce albo tego nie zauważa, albo się nie przejmuje. Je, nie odrywając

wzroku od monitora. Chyba tak to właśnie będzie wyglądało: on będzie załatwiał jakieś swoje sprawy, a ja będę siedzieć i patrzeć.

W końcu mówi:

– Poważnie, mogłabyś trochę odpocząć. Może się zdrzemnij? To zajmie znacznie więcej czasu, niż sądziłem.

Wraca do komputera z takim wyrazem twarzy, do którego pasuje słowo „zaabsorbowany”. Może nawet „obsesyjnie zaabsorbowany”.

Dociera do mnie, że nie tyle chciałabym się przespać, ile muszę się przespać. Ale nie mogę. Temperatura w jurcie spada. Po kilku minutach przestępowania z nogi na nogę i rozcierania zmarzniętych dłoni widzę, że Pierce też zaczyna drżeć. Coraz częściej popełnia błędy i klnie pod nosem. W końcu wstaje i dokłada kilka brązowych brykietów do czarnego kociołka. Brykiety zaczynają się tlić i wreszcie rozpalają się płomieniem. Pachną jak stearyna.

Serce zaczyna bić mi mocniej. Może dociera do mnie gwałtowna fala ciepła? Chwieję się i prawie tracę równowagę.

– Hej, uważaj. Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest.

– Nic ci nie jest? No to się połóż, zanim to „nicniebycie” ci nie minie.

Jestem gotowa odmówić, ale właściwie nie ma żadnego sensownego powodu. Położenie się na chwilę to świetny pomysł, kiedy czujesz, że i tak zaraz upadniesz.

Siadam na materacu, a Pierce unosi mi nogi i je na nim układa, po czym przykrywa mnie kocem.

– Daj znać, jakbyś czegoś potrzebowała.

Jestem niewymownie wdzięczna, więc oczywiście nic nie mówię.

Pierce siada z powrotem do pracy. Dźwięk wciskanych klawiszy i niezmienny widok jego profilu w tych koszmarnych okularach powoli mnie usypiają.

Kiedy granice świata powoli zaczynają się zacierać, słyszę, że do mnie mówi, chociaż jego głos brzmi inaczej. Jest głębszy, wolniejszy i słychać w nim jakby pogłos. Tak jakby recytował poezję, stojąc po drugiej stronie długiego metalowego tunelu. Mówi coś o zbliżającej się burzy, że uda mi się ją przeżyć. Że wyjdę cało ze wszystkiego, bo jestem wyjątkowa, a on nie będzie po prostu stał z boku i patrzył, jak mnie zabijają...

Czy to się dzieje naprawdę?

Nie jestem pewna. I mało mnie to obchodzi. Wiem tylko, że po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, czuję się bezpieczna. Wiem, że to niezbyt długo, ale i tak cieszy mnie to uczucie. Ilekolwiek by miało trwać.

Rozdział 8.

Głosy. Tyle głosów w mojej głowie. Słyszę, że ktoś mówi. To rudowłosa kobieta, Hodges. Mówi do mnie. Nie, o mnie.

– *Co za fatalny moment, komisarzu. Właśnie jechałam na Cyganerię. Ale cieszę się, że w końcu ją pan złapał. Naprawdę. Dobra robota, nowojorska policjo.*

Rudowłosa kobieta siedzi naprzeciw mnie w sukience, która wydaje się zrobiona z setek metrów fioletowego jedwabiu, tysiący perełek i niezliczonych obłoczków powietrza.

„Falbaniasta” – to słowo przychodzi mi do głowy, kiedy na nią patrzę.

Jej wąskie ramiona otacza futrzana etola, w dłoni trzyma wyszywaną cekinami torebkę. Włosy ma podpięte błyszczącą spinką.

Jesteśmy w policyjnym pokoju przesłuchań, który ma rozmiar, nie przymierzając, dużej szafy. W środku stoi stół i cztery krzesła. Jedną ze ścian pokrywa ciemne szkło lustra weneckiego. Patrzę przez nie wyzywająco na tych, którzy mogą stać po drugiej stronie.

Obok rudowłosej kobiety siedzi policjant w średnim wieku. Marynarkę wyrzusza mu kabura pistoletu, a kiedy się pochyla, by przyciągnąć bliżej krzesło do stołu, rękojeść broni uderza w podłokietnik, a na blat przed nim opada deszcz łupieżu.

Rudowłosa kobieta przyszczypuje sobie nasadę nosa, jakby dręczył ją koszmarny ból głowy.

– *Cieszę się, że wreszcie możemy to zakończyć. Te akty wandalizmu ciągnęły się już zdecydowanie zbyt długo, a media jak zwykle wypaczyły całą tę historię. Jak dla mnie to ona nie wygląda na bohaterkę. A co pan sądzi, komisarzu?*

– *Nie. Zdecydowanie nie wygląda.*

– *A jak ją złapaliście? Pytam z ciekawości.*

– *Dostaliśmy anonimową informację i po prostu czekaliśmy pod żurawiem. Zapędziliśmy ją na górę jak wiewiórkę na drzewo, aż w końcu musiała zejść na dół albo spaść.*

– *Dziękuję, komisarzu. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, czy mogłabym z nią przez chwilę porozmawiać? Na osobności. Może się poczuć lepiej, jeśli zostaniemy tylko we dwie, i być może dojdziemy do sedna całej tej sprawy znacznie szybciej.*

– *Jest pani pewna?*

– *Jestem pewna.*

– *Gdyby mnie pani potrzebowała, będę tuż za drzwiami.*

Wstając, rzuca mi spojrzenie, które mówi: „Nie próbuj żadnych sztuczek albo złamię ci kark”, po czym zostawia mnie z tą kobietą, której nigdy wcześniej nie widziałam, chociaż ona zachowuje się tak, jakby mnie znała.

Rudowłosa kobieta opiera łokcie na stole i trzepoce rzęsami.

– Nowy Jork – mówi.

Przez dłuższą chwilę milczy. Rozglądam się po pokoju, jakbym nie miała czasu na zwracanie sobie głowy jej gadaniną, lecz w końcu pytam:

– Co Nowy Jork?

– Nowy Jork jest taaaki gościnnie. Nigdy bym nie podejrzewała. Oto ja, zwykła, biedna dziewczyna z Georgii. A jednak przeszłam całą tę długą drogę...

Przewracam oczami.

– Naprawdę powinnaś tego posłuchać, Saro. To ważne, byś zrozumiała. Widzisz, kiedy ludzie mówią, że są biedni i pochodzą z Georgii, to jest to zupełnie inny rodzaj biedy. Kompletnie inny poziom biedy. Nawet ty ze swoim mieszkaniem komunalnym i matką całe życie sprzątającą domy innym, nawet ty nie możesz zrozumieć, jak ubogi jest tak naprawdę biedak z Georgii.

– Czyżby?

– Ale ja przyjechałam do Nowego Jorku i stopniowo pięłam się w górę, imając się po drodze mnóstwa niewdzięcznych, poniżających zajęć. Nie masz pojęcia, jak źle ludzie potrafią cię traktować, kiedy wiedzą, że nie możesz się sprzeciwić. Ale z biegiem lat nauczyłam się kilku rzeczy. Nauczyłam się dostrzegać to, co jest naprawdę ważne.

Przyglądam się jej bez słowa.

– Widzisz, musisz postawić sobie cel i nie pozwolić, by ktokolwiek czy cokolwiek stanęło ci na drodze. Tak właśnie postępuję i z tego powodu dziś tutaj jestem. W tej pięknej sukience. W drodze do opery. Prawdziwa mieszkanka Nowego Jorku.

Unoszę skute dłonie i pozwalam im opaść na blat. Mam na sobie koszulkę bez rękawów, dzinsy i parę znoszonych tenisówek, które nie rozpadły się tylko dlatego, że okleiłam im czubki srebrną taśmą izolacyjną. Mam żalobę pod paznokciami i śmierdzą jak zapuszczone dzielnice miasta: moczem i spalinami. Nie odpowiadam. Jestem absolutnie pewna, że ta kobieta w falbaniastej fioletowej sukni nie ma bladego pojęcia, jak wygląda prawdziwy Nowy Jork.

To ja jestem Nowym Jorkiem. Uśmiecham się szyderczo, pozwalając jej się domyślić, że uważam ją za żalosną snobkę.

– Mogłabyś się niejednego ode mnie nauczyć, Saro. Naprawdę byś mogła. Determinacji.

Zaangażowania. – Poprawia niewielką, wysadzaną diamentami broszkę w kształcie litery C, przypiętą do sukni. – Ale oczywiście się nie nauczysz. Dla nas obu to duża strata.

Kręcę głową, by rozluźnić mięśnie szyi. Nadal bolą mnie ramiona. Wisiałam na tym żurawiu od godziny, gdy nagle pojawiła się policja. Skąd wiedzieli, gdzie jestem?

– Słuchasz mnie, Saro?

– Co? Jasne. Byłaś biedna. Teraz już nie jesteś. Cieszę się. Czy to już koniec tej pogadanki motywacyjnej?

Uderza płasko dłoń w stół tak nieoczekiwanie, że aż podskakuję. Zerkam na ciemne szkło, zastanawiając się, czy ktoś wejdzie do środka, ale nikt nie wchodzi.

– Kim ty jesteś? Moją nową opiekunką społeczną?

Nie skończyłam jeszcze pytania, a już wiem, że to nie opiekunka. Ta kobieta nie przypomina żadnej z osób, z którymi do tej pory się stykałam. Ani w szkole, ani w systemie opieki zastępczej. Kimkolwiek jest, nie zamierza najwyraźniej wypluwać z siebie zwyczajowych, zachęcających do poprawy bzdur, którymi karmił mnie regularnie od śmierci mojej matki.

– Kim jestem? – pyta.

Wyciąga dłoń, by ucisnąć moją, śmiejąc się lekko, jakby kompletnie zapomniała, że mam skute nadgarstki i kostki i nie jestem w stanie unieść ręki.

– Nazywam się Evangeline Hodges i właśnie, kochanie, rujnujesz całe moje przekłete życie.

Głośne szumy i trzaski nagle przywracają mnie do przytomności. Przewracam się na bok, zsuwam się z materaca i próbuję wstać.

Śniłam?

Nie. Przypominałam sobie. Przypominałam sobie głos rudowłosej kobiety. To ten sam głos, który właśnie usłyszałam, jak wydobywa się z krótkofalówki, zanim ta wylądowała na drugim końcu jurty. Kiedy wstałam, Pierce się wzdrygnął i krótkofalówka, którą trzymał na kolanach, przeleciała dobre półtora metra.

– Hej, ostrożnie! Rozpracowanie tego zajęło mi godzinę.

– Co?

Ostrożnie podnosi krótkofalówkę za antenę. Tylna pokrywa urządzenia została usunięta i ze środka wystaje kilka kabli.

– Krótkofalówka 8-Bita. Ci żołnierze używają programu szyfrującego. Zmienia częstotliwości sto razy na sekundę.

Ledwo się obudziłam, ale nawet w pełni władz umysłowych nie zrozumiałabym, o czym mówi.

– Wydłużyłem okresy między zmianami częstotliwości i... nieważne. Chodzi o to, że jesteśmy w stanie podsłuchiwać ich przez jakąś minutę, zanim dojdzie do zmiany częstotliwości i stracimy sygnał. Zakładając, że akurat są w zasięgu.

– Co?

– Wyjaśniam ci, w jaki sposób... wszystko jedno. Możemy ich podsłuchiwać, a oni o tym nie wiedzą.

Siadam na krawędzi materaca i oboje w milczeniu pochylamy się nad radiem. Szumi i trzeszczy, i przez moment nie słyszymy nic z wyjątkiem zakłóceń. Nagle przebija się głęboki, mechaniczny głos. Słowa są zniekształcone, a sygnał się rwie, ale słyszymy odpowiedź jakiejś kobiety. To Hodges.

– Gdzie on jest? – pyta napastliwie. – Chcę, żebyście go znaleźli.

– Sądzymy, że jest gdzieś na szóstym piętrze. Przeszukujemy wszystkie pomieszczenia po kolei, proszę pani.

– Wyciągnijcie go stamtąd. Nie obchodzi mnie jak. Wystarczająco pokrzyżował mi plany.

– Większość biur na szóstym piętrze zamykana jest na zamki szyfrowe. To może chwilę potrwać.

– Daruj sobie wymówki. Nie macie czegoś, co robi wielkie bum? To zróbcie z tego użytek!

Podnoszę wzrok na Pierce'a.

– Kogo oni szukają? Słyszałeś imię?

– Nie. A teraz bądź cicho.

– Ale ona na pewno powiedziała „go”, prawda?

– Tak. Tak to usłyszałem. – Pierce rzuca mi dziwne spojrzenie, jakby próbował zrozumieć coś, co nie ma sensu. – Kim ona jest?

Mówi to tak, jakby rozmawiał sam ze sobą, więc nie odpowiadam. Kulimy się nad radiem przez kolejną minutę, ale głosy na zmianę cichną i przybierają na sile i nie udaje nam się wyłapać nic przytecznego. A potem sygnał znów przeskakuje i słyszymy już tylko szum.

– Zgubiliśmy ich.

Nagły podmuch wiatru wstrząsa jurta. Raptownie wciągamy powietrze.

Pierce kładzie mi dłoń na ramieniu.

– W porządku. – Patrzy na sufit, który gwałtownie się porusza. – No, tak jakby w porządku. Może.

Skaczę na równe nogi.

– Która godzina?

– A co, masz randkę z jakimś przystojniakiem?

– Po prostu mi odpowiedz.

– Spałaś zaledwie jakieś półtorej godziny.

Oddycham z ulgą i siadam z powrotem. Nieraz budziłam się i odkrywałam, że minęły całe godziny, a nawet dni. Ale nic się nie dzieje. Nie ma potrzeby, by brać kolejną tabletkę. A tylko to się liczy.

Przez otwór w dachu namiotu wpada powietrze, tworząc ciąg wsteczny. Podmucha rozrzuca popiół z żarzącego się brykietu leżącego w czarnym kociołku. Krążę po niewielkiej przestrzeni, powtarzając sobie od początku swoje wspomnienie i próbując je zrozumieć, ale do niczego nie dochodzę.

– Przepraszam, że zasnąłam, kiedy do mnie mówiłeś.

Patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Nie mówiłem do ciebie. Byłem pochłonięty pracą nad radiem i wszystkim, co zostawił mi 8-Bit na pendrivie.

– Och.

Siadam na krześle naprzeciw niego, obejmuję dłońmi głowę i delikatnie naciskam na

skronie. Robię to za każdym razem, gdy się budzę.

– Boli cię coś? Mam jakiś środek, który mogłabyś wziąć.

– Co? A nie, dzięki. Po prostu tak zwykle robię. Myślę, że czasem muszę sprawdzić, czy moja głowa nadal znajduje się we właściwym miejscu.

Podnoszę wzrok i widzę, że Pierce patrzy na mnie tak, jakby chciał zadać mi pytanie.

– Wiem, o co chcesz zapytać – mówię.

– O co?

– Czy to dziwne uczucie. Być łysym.

– A jest dziwne? No, dla dziewczyny.

– Myślę, że nie dziwniejsze niż brak wspomnień.

– Poważnie niczego nie pamiętasz? Nie pamiętasz nawet, co jadłaś na śniadanie?

Nie jestem pewna, czy powinnam mu wspominać o tych niezrozumiałych rzeczach, które mi się przypominają. To sprawia wrażenie, jakbym była opętana, i za bardzo się boję mówić komukolwiek o duchach, które widzę, by nie uznano mnie za wariatkę. Nie chcę, by Pierce pomyślał, że jestem stuknięta.

– Owsiankę i sok grejpfrutowy.

– Szczęściara. Ja zjadłem baton i popiłem zimną kawą.

Uśmiechamy się do siebie i zdaję sobie sprawę, że można komuś na chwilę połowicznie zaufać – może nawet na dłużej niż chwilę – ale nieuchronnie przyjdzie taki moment, w którym trzeba będzie podjąć decyzję, czy zaufać komuś bezgranicznie, czy się wycofać. I chyba ten moment nadszedł.

Postanawiam zaufać. Zaskakuje mnie, jakie to proste i jak bardzo chcę to zrobić.

– Są takie rzeczy, które pamiętam, ale nie jestem pewna, kiedy się zdarzyły i dlaczego. Zazwyczaj towarzyszy mi takie dziwne, niejasne przeczucie, że świat nie jest wyraźnie określony. Albo może ja nie jestem. Czasem nie wiadomo skąd pojawiają się silne emocje. Nie mam pojęcia, co jest ich przyczyną. Wiem tylko, że nigdy nie są pozytywne.

– Też tak mam.

Pocieram czoło.

– Pamiętam... pamiętam ostatnie wydarzenia, ale ich nie rozumiem. To jak zabawa klockami Lego.

– Lego?

– No. To była taka pomoc terapeutyczna, wiesz, żeby pomóc odbudować koordynację oko – ręka, jeśli masz z nią jakieś kłopoty. Z siostrą Jenner ciągle się o to kłóciłyśmy.

– Dlaczego?

– Mówiła, że za bardzo się na nich koncentruję. Chyba ciągle próbowałam coś zbudować. Tę wieżę albo budynek czy co tam. Prawie udawało mi się to ukończyć, ale nigdy nie potrafiłam właściwie zbudować samego wierzchołka. To było takie frustrujące! Próbowałam to zbudować za każdym razem, gdy siedziałam w pokoju wypoczynkowym. Ciągle od początku. Potem zmusili mnie, żebym przestała.

– Jak myślisz, co próbowałaś zbudować?

– Nie mam pojęcia, ale któregoś dnia weszłam do sali wypoczynkowej i to tam stało.

Wieża, którą próbowałam zbudować. Ktoś ją dla mnie poskładał. Zwieńczenie przypominało... jakby miecz. Taką iglicę zwężającą się ku górze. Miałam takie uczucie, jakbym gdzieś już kiedyś ten budynek widziała. I że to było naprawdę ważne, ale nie miałam pojęcia dlaczego.

– Kto ci to poskładał?

– Nie wiem, ale siostra Jenner była wściekła, jak to zobaczyła. Zaczęła na mnie wrzeszczeć, pytając, czy chcę, żeby mi się kiedykolwiek poprawiło. Dlaczego ciągle sprawiam

kłopoty, skoro oni tylko próbują mi pomóc? Nie miałam okazji wyjaśnić jej, że to nie ja to zbudowałam. Zrzuciła wszystko na podłogę. A potem kazała mi pozbierać. Musiałam na czworakach zbierać wszystkie klocki, a ona stała nade mną i pilnowała, żebym zebrała je co do jednego.

Pierce wzdycha i mówi:

– Siostra Jenner sprawia wrażenie osoby idealnie nadającej się do pracy w ośrodku psychiatrycznym.

Zastanawiam się, co się stało z siostrą Jenner. Czy ją też zastrzelili? Mam nadzieję, że nie. Nie była miła, ale nikt nie zasługuje na taki koniec. I wtedy zaczynam myśleć o Jori. Dosłownie czuję obok jej kościste ramię.

– Co się dzieje? Masz dziwny wyraz twarzy.

– Myślałam o takiej dziewczynie. O Jori. Też jest pacjentką. Nie wiem, co się z nią stało. Próbowałam ją znaleźć, kiedy zaczęli do mnie strzelać...

– I?

– Uciekłam. Zostawiłam ją. Milutkie, co?

– Łatwo się zdekoncentrować, jak ktoś do ciebie strzela.

Pierce próbuje mnie rozbawić, odsunąć złe myśli, ale nie potrafię przestać myśleć o tym, że zawiodłam Jori.

– Nie powinnam uciekać. Powinnam ją chronić.

– Niby w jaki sposób?

– Nie rozumiesz. Ona na mnie liczy. Jest do mnie bardzo przywiązana. – Patrzę na niego, a kiedy odwzajemnia spojrzenie, odwracam wzrok. – Wiem, że trudno w to uwierzyć.

– Dlaczego miałyby być trudno w to uwierzyć?

– No wiesz, że mogłabym być dla kogokolwiek ostoją.

– Myślisz, że to dziwne, że ktoś cię *lubi*?

– Sam to powiedziałaś. Że nie wyglądam na kogoś, kto za dużo czuje czy coś takiego.

– Chodziło mi tylko o to, że sprawiasz wrażenie silnej osoby. Nie popychadła. Nic w tym złego. Właściwie to wyłącznie pozytywna cecha.

– Ale ja nie...

I właśnie w tym momencie jurta gwałtownie się trzęsie, Pierce chwyta jeden z podtrzymujących tkaninę masztów i mówi coś o tym, że trzeba lepiej przywiązać kilka linek, ale jego słowa giną w szumie wiatru. Mój mózg natarcywie podsuwa mi inne wspomnienie.

Mam dziesięć lat i razem z matką stoję w nawie wielkiego pięknego kościoła. Kotłuje się we mnie z gniewu i poniżenia, a jednocześnie wiem, że nie mam prawa do tych uczuć. To ich kościół. Ich zasady. Ich iglica.

Matka wysłuchuje kazania sekretarz kościoła, która wachluje się tak, jakby zaraz miała zemdleć. Można by pomyśleć, że to ona siedziała w wieży dzwonnicy, majtając na zewnątrz nogami.

– Powinna pani zwracać na córkę większą uwagę! Na Boga! Ona mogła zginąć!

Matka nie patrzy na kobietę, tylko na mnie. Tak uważnie taksuje mnie wzrokiem, że zaczynam się zastanawiać, co próbuje dostrzec. Nic mi się nie stało. A poza tym gdybym spadła z iglicy, nie miałabym prawie niewidocznych otarć, których z takim wysiłkiem trzeba się dopatrywać. Ewentualne złamanie raczej rzuciłyby się w oczy.

Naprawdę nie wiem, o co tyle krzyku. Chciałam się rozejrzeć. Z wysoka. Zawsze się zastanawiałam, jak wygląda świat ze szczytu kościelnej wieży. Założyłam, że jedyną osobą, której wolno tam wchodzić, jest ksiądz, a to nie wydawało się uczciwe.

Matka mnie przytula, chociaż sekretarz kościoła nie przestaje nam wymyślać. W kółko to samo, jakby nie mogła znaleźć wystarczająco dobitnych słów. Mam wrażenie, że to się nigdy nie skończy. Chcę już wyjść.

Moja matka odnosi się do sekretarza znacznie uprzejmiej, niż – moim zdaniem – powinna. Dziękuje jej, przeprasza, przyjmuje na siebie całą odpowiedzialność za niedopilnowanie mnie. Jestem wściekła na sekretarza, że wzbudziła w mamie takie poczucie winy.

Po złożeniu przeze mnie obietnicy, że nigdy więcej nie wejdę na wieżę ani nawet do kościoła, w końcu wychodzimy. Kiedy już jesteśmy znów na ulicy, zatrzymuję się i patrzę tęsknie na ostry czubek dzwonnicy. Przypomina oszczep przeszywający niebo.

Mama potrząsa głową i mówi ze złością:

– Nigdy więcej tego nie rób! Wystarczy, że się odwrócę plecami w sklepie spożywczym, a ciebie już nie ma! Nie możesz tak po prostu się włóczyć i łązić po dachach tylko dlatego, że masz ochotę. Ta wieża została zamknięta na długo przed twoimi narodzinami, bo wymaga remontu. Kamienie się kruszą.

To by wyjaśniało, dlaczego schody były zagrodzone i dlaczego musiałam przeleźć przez barierkę, żeby wdrapać się na wieżę. I dlaczego musiałam wylamać zamek w drzwiach na górze.

– Dlaczego? Wyjaśnij mi chociaż, dlaczego w ogóle tam weszłaś.

Naprawdę chcę jej odpowiedzieć. Chcę jej wyjaśnić, że lubię być wysoko w powietrzu, bo lubię patrzeć w dół na bloki na naszej ulicy. Na sklepy. Ludzi. Czuję się im bliższa, gdy jestem od nich dalej. Nie mogą wtedy mnie skrzywdzić.

Ale nie wiem, jak jej to wyjaśnić. Nie wiem, czy sama rozumiem, co przywiodło mnie na te schody i dlaczego czuję się taka wolna i swobodna, gdy dyndam nogami w powietrzu.

– Nie bałam się – mówię.

Szczypie mnie w nos i daje mi lekkiego klapsa.

– A powinnaś.

– Lubię być wysoko – wypalam w końcu.

– No cóż, może pewnego dnia zostaniesz budowlańcem. I będziesz śmigać po belkach drapaczy chmur.

– Serio?

– Serio. To jedyne właściwe zajęcie dla dziewczyny, która wdrapuje się na iglice kościołów. Inaczej pozostaje ci już tylko zostać aniołem, a jakoś nie wydajesz mi się odpowiednim materiałem na anioła.

Od tamtego dnia moja matka nazywała mnie aniołem. To był nasz prywatny żarcik – przypominał nam o dniu, w którym obie napytałyśmy sobie biedy w tym kościele. Ale było w tym coś jeszcze. Jasne, nie byłam dziewczyną, którą ktokolwiek mógłby wziąć za anioła, ale też nie dawałam się rozstawiać po kątach. Nie zamierzałam pozwolić innym sobą pomiatać. Ani trochę.

Myślę, że moja matka była z tego zadowolona.

Rozdział 9.

Pierce przytrzymuje mnie w pionie, ciasno opasując ramieniem, żebym się nie przewróciła. Podaje mi menażkę, z której biorę kilka łyków. Woda jest lodowata, aż zęby bolą. Sprawdzam, czy mogę ustać na nogach, a ponieważ test przebiega pomyślnie, Pierce powoli rozluźnia uścisk, pozwalając mi stanąć samodzielnie.

Szepce do mnie, jakby nie był pewien, czy jestem w stanie odpowiedzieć. Czuję jego oddech na policzku. Delikatnie przywołuje mnie ku terazniejszości.

– Jesteś już z powrotem?

– Z powrotem?

– No, z tego miejsca, gdzie byłeś przed chwilą.

Muszę wyglądać na przerażoną. Jestem przerażona. Nie jestem pewna, czy powinnam mu powiedzieć, co właśnie widziałam, ale wyrzucam to z siebie bez zastanowienia.

– Miała pustą twarz.

– Kto?

– Przypomniałam sobie matkę, ale nie mogłam dostrzec rysów jej twarzy. Wszystko widziałam naprawdę wyraźnie, tak wyraźnie jak ciebie teraz, ale twarz mojej matki była jak pusta biała przestrzeń.

– Nic ci nie jest – mówi. – Przynajmniej wydaje mi się, że nic ci nie jest. Czy to się już kiedyś zdarzyło?

– Raz. Tuż przed moją ucieczką. A potem kiedy się wcześniej budziłam. – Nagle do mnie dociera, że gdyby tu nie stał, upadłabym. – Czy to jest...

Mrugam. Coś mnie niepokoi, ale boję się wymówić to na głos.

– Co?

Jestem już całkiem przytomna i lekko odpycham Pierce'a.

– Chciałam powiedzieć: naprawdę.

To, że jestem tutaj, z tym chłopakiem, w jurcie – nabieram nagle przekonania, że wszystko to sobie wymyśliłam. Pewnie leżę teraz w szpitalnym łóżku, a to wszystko tylko mi się śni.

– Tak. Naprawdę. Istnieje niezły sposób, żeby się zorientować, czy coś dzieje się naprawdę. Zadaj sobie pytanie: czy to wygląda beznadziejnie? Jeśli odpowiedź jest twierdząca, prawdopodobnie dzieje się to naprawdę.

– Niezły test.

– Miewam przebłycki geniuszu.

Otrząsam się lekko i wykonuję kilka okrężnych ruchów ramionami, po czym robię kilka kroków – na tyle, na ile pozwala ograniczona przestrzeń jurty.

– Co robisz?

– Nie wiem. Im więcej się ruszam, tym jaśniej myślę.

– Może to tak jak ze snami – mówi. – Kiedy się ledwo co obudzisz, zawsze wydają się takie plastyczne i realne, a pięć minut później, jak już wstaniesz z łóżka, kompletnie znikają. Czytałem kiedyś, że to ma jakiś związek z poruszaniem się. Kiedy wstajesz, to na przykład idziesz się wysikać. Zaburzasz w ten sposób te wszystkie delikatne neuroprzekaźniki w mózgu i... puff! Wszystko znika.

Może dlatego zgodnie z instrukcją po zażyciu tabletki miałam leżeć spokojnie.

– Co jeszcze widziałeś? Oprócz swojej matki. Jeśli oczywiście masz ochotę o tym mówić.

– Mam, ale nie bardzo jest o czym. To tylko wspomnienie z dzieciństwa. Przewisko,

którym nazywała mnie moja matka.

– Myszko?

– Nie, aż tak źle nie było.

– No to jak?

– Aniele.

Lekko przechyla głowę i mruży oczy.

– Aniele?

– No wiem... Trudno sobie wyobrazić.

Wieje tak silny wiatr, że jurta wybrzusza się z jednej strony. Pierce rzuca się do jednego z masztów.

– Pomóż mi.

Razem umieszczamy maszt we właściwej pozycji i nagle zastygamy. Przez szum wiatru przebija się inny dźwięk, przypominający nabierającą mocy piłę łańcuchową. Pierce nachyla się do mnie; jego usta dzielą od mojego ucha może trzy centymetry.

– Słyszałaś to?

Kiwam głową. Właśnie dociera do mnie, że las – generalnie cała ta natura pod gołym niebem – nie znajduje się w mojej strefie komfortu. Może i niewiele pamiętam, ale w głębi duszy tęsknię za betonowo-szklanym światem Nowego Jorku.

– Jeśli mamy szczęście, to tylko konni – mówi.

– Konni?

– Kanadyjska Królewska Policja Konna. Kiedyś jeździli na koniach, teraz jeżdżą na skuterach śnieżnych. Bardzo szybkich. Jesteśmy tuż przy granicy. Powiedziałbym nawet, że od Kanady dzieli nas zaledwie kilka metrów. Zamieć powinna dać nam osłonę, o ile, miejmy nadzieję, nie posługują się podcierwienią. Wtedy bez wątpienia świecilibyśmy jak płonąca choinka.

– Mają nas na widelcu?

– Na widelcu to może nie. Powiedzmy, że na talerzu. Ktokolwiek to jest, może po prostu pomyśli, że jesteśmy myśliwymi albo coś.

– Myśliwi z anteną satelitarną na dachu namiotu?

– No tak. Masz rację. Jeśli to nie pogranicznicy, to jesteśmy w tarapatach. Może nawet śmiertelnie poważnych.

Siedzimy bez ruchu z nadzieją, że drapieżnik nas ominie. Skowyt silnika to przybiera na sile, to cichnie. Krążą wokół nas.

– Podejrzewam, że to, iż do nas nie strzelają, to raczej dobry omen – mówię.

Ponownie dociera do nas odgłos silników i w końcu ich dźwięk niknie w szumie wiatru. Na wszelki wypadek jeszcze przez chwilę tkwimy w bezruchu.

Nagle przypominam sobie takie samo nasłuchiwanie. Przypominam sobie podniecenie i strach towarzyszące oczekiwaniu w ciemnościach, aż wszyscy pracujący na budowie pójdą do domu; miałam wówczas nadzieję, że szczęście nie opuści mnie przez jeszcze jeden dzień. W moich wspinaczkach na żurawie nie było brawury. Ani na chwilę nie zapomniałam, że każdy krok, każdy chwyt może się skończyć spotkaniem ze śmiercią. Nigdy o tym nie zapomniałam.

Przypominanie sobie tych uczuć jest takie frustrujące. To tak, jakbym pamiętała, jak się czułam, idąc na zabawę karnawałową i wracając z niej, a jednocześnie nie potrafiła sobie przypomnieć samej zabawy. Obiekty moich uczuć nadal pozostają dla mnie nieuchwytny.

– Myślę, że ktokolwiek się tam kręcił, i tak już sobie poszedł – mówi Pierce. Odwraca się ku mnie, mrużąc oczy. – Chodź tu na chwilę.

– Po co?

– Po prostu chodź.

Robię krok w jego stronę.

– Blżej.

Robię kolejny krok, ale chyba wciąż nie jestem wystarczająco blisko. Przyciąga mnie do siebie tak blisko, że dzieli nas zaledwie kilka centymetrów. Może to nie najlepszy moment, ale dociera do mnie, jak śmierdzą. W porównaniu ze mną Pierce wydaje się taki czysty. To znaczy nie wiem, czy jest czysty, ale na pewno ładnie pachnie.

Podnoszę na niego wzrok i widzę, że przygląda się mojej głowie.

– Popatrz tutaj – mówi. Podnosi rękę, obciąga rękaw, a potem obraca dłoń, by mi pokazać, że nic w niej nie ma.

– Chcesz mi pokazać jakąś magiczną sztuczkę? – pytam.

– Patrz – mówi, pstrykając palcami lewej ręki.

Patrzę. Chwilę później czuję ostry ból.

– Au! – Uderzam ze złością ręką w głowę. – Co to było?

Wyciąga przed siebie prawą dłoń – tę, na którą nie patrzyłam. Na jej środku leży mały kawałek metalu. To jedno z gniazd aureoli.

– Majtało się wte i wewte, więc to wyciągnąłem. Może przydałby się jeden albo dwa szwy, ale wątpię, by którekolwiek z nas chciało, żeby było to moje pierwsze doświadczenie w ratownictwie medycznym. Mam plastry ściągające, które powinny utrzymać brzegi ranki blisko siebie.

Biorę z jego ręki metalowe gniazdo, oglądam je przez chwilę z uwagą, po czym odrzucam w kierunku drzwi jurty.

– Przepraszam za tę małą sztuczkę, ale uznałem, że tak będzie lepiej.

– Gdzie się tego nauczyłeś?

– Jak miałem dwanaście lat, chciałem być iluzjonistą. Czytałem książki, ćwiczyłem, miałem nawet cylinder. Wyciągałem ćwierćdolarówki z uszu młodszej siostry.

– Założę się, że to uwielbiała.

– To fakt.

Na jego twarzy przez moment maluje się smutek, lecz sekundę później ustępuje miejsca odrazie.

– Już jej nie ma – mówi. – Nie żyje.

– Przykro mi.

– Zmarła kilka miesięcy temu. – Odsuwa mnie lekko i mówi: – Masz jeszcze jedną ranę w pobliżu skroni. Opatrunek jest kompletnie przesiąknięty krwią. Usiądź, proszę.

Wyciąga z plecaka apteczkę pierwszej pomocy i klęka przede mną. Dzieli go ode mnie zaledwie kilkanaście centymetrów i czuję się znów tak, jakby ktoś unieruchomił mnie w aureoli.

– Ściągnę ten bandaż. Wolisz szybko czy wolno?

– Wolno.

– Zła odpowiedź.

Zdziera go tak zdecydowanym ruchem, że aż podskakuję, niemal lądując w jego ramionach.

– Zawsze lepiej ściągnąć szybko – stwierdza, wklepując w ranę jakąś maść z antybiotykiem. – Masz jeszcze jedno gniazdo, które też ledwo się trzyma. Chcesz, żebym je też wyciągnął?

Po sekundzie kiwam niezdecydowanie głową.

– Okej. Dobra. Miejmy to już za sobą.

To gniazdo wcale nie chce wyjść tak łatwo. Zaciskam zęby i siedzę bez ruchu, kiedy

wydlubuje je paznokciem.

– Przepraszam – mówi. – Już wyjąłem. Widzisz? – Pokazuje mi zakrwawiony kawałek metalu, który trzyma w dłoni.

– No to jesteśmy kwita, jeśli chodzi o ten cios w twarz.

– No. Ale nie to, żebym prowadził jakieś rozliczenia. Nie traktuj tego w kategoriach zemsty. Przysparzanie ci bólu akurat teraz nie sprawia mi specjalnej przyjemności.

Gapię się na jego klatkę piersiową. Czuję, jak obija się brodą o moje czoło. Odsuwam się od niego i kładę się na materacu. Odchrząkuje i nasze spojrzenia się spotykają.

Nachyla się w moją stronę i przykleja mi plaster na głowie.

– Dziękuję. Dobry z ciebie chłopak.

Uśmiecha się drwiąco.

– Niewielu znasz facetów, co?

– W tym akurat momencie jesteś prawdopodobnie jedyny.

Śmieje się, ale mówiłam serio. Nie mam pojęcia, kto mógł zostać w szpitalu. Myślenie o tym przyprawia mnie o mdłości.

– Ej, popatrz – mówię. – Ja też znam sztuczkę.

Wstaję, wyjmuję liofilizowaną fasolkę z foliowego opakowania i rzucam ją wysoko w powietrze. Dotyka niemal sufitu namiotu, po czym spada prosto do moich ust.

– To jest ta twoja sztuczka? Chyba żartujesz.

– No to spróbuj. To nie jest takie proste, jak się wydaje.

Staje obok mnie. Mija kilka minut wypełnionych rzucaniem fasolki.

– Musisz podrzucić aż pod sufit, inaczej się nie liczy – mówię.

Przy piętnastej próbie udaje mu się złapać.

– Widzisz? Bułka z masłem.

Siadamy obok siebie na jednym z materaców i obserwujemy, jak kolumna rozgrzanego powietrza unosi się do góry na środku jurty. Razem z nim wydaje się ulatywać przez dziurę w dachu całe zgromadzone we mnie napięcie.

W momencie, w którym zaczynam się odprężyć, słyszę szelest na zewnątrz. Chwilę później cała jurta zaczyna się chybotać.

Ktoś nas znalazł. Ktoś wchodzi do środka.

Wygląda na to, że jednak byliśmy na widelcu.

Rozdział 10.

Pierce odwraca się w moją stronę i kładzie palec na ustach, po czym woła:

– Hej, 8-Bit? To ty?

Wewnętrzna poła namiotu unosi się i widzimy wsuwające się do środka metalowe czubki dwóch rakiet śnieżnych, a po nich lufę pistoletu. Pierce wyciąga przede mnie ramię i próbuje mnie przepchnąć za siebie.

Do środka wchodzi mężczyzna. Sople lodu zwisają mu ze zmierzwionej jasnej brody. Unosi gogle i obraca się, by na nas spojrzeć. Oboje gapimy się na niego, jakby był jakimś szczególnie niebezpiecznym rodzajem uzbrojonego niedźwiedzia. Opuszcza lufę ku podłodze.

– Dwa dni zamieci. Duże opóźnienie. A ja się nie spóźniam.

Mówi z silnym akcentem, a przy tym wydaje się, że przez nos.

– Słucham? – odzywa się Pierce.

– Opóźnienie. Zamieć.

Przecina powietrze dzierzonym w dłoni pistoletem, po czym robi to samo w przeciwną stronę.

Pierce patrzy na mnie, po czym na powrót podnosi wzrok na człowieka niedźwiedzia.

– Uhm... Co?

Mężczyzna burczy coś i wzrusza ramionami.

– Sprawa zamknięta. Mam inne zlecenia.

Pierce podrywa się na nogi, kiedy mężczyzna zaczyna się odwracać.

– Poczekaj!

Mężczyzna macha nam ręką i wychodzi. Słyszymy, jak brnie w śniegu, coraz bardziej oddalając się od jurty. Minutę później wyławiamy uchem dźwięk zapuszczanego silnika skutera.

– Myślę, że to mógł być ten facet, z którym ja i 8-Bit mieliśmy się spotkać. Facet, który miał nam pomóc się stąd wydostać.

– Wygląda na to, że postawił na was krzyżyk.

– Tak, takie właśnie odniosłem wrażenie. – Naśladuje pomruki mężczyzny i sposób, w jaki nakreślił w powietrzu krzyżyk lufą pistoletu. – Tak się właśnie dzieje, kiedy płacisz ludziom za ocalenie swojego tyłka. Nie wkładają w to wystarczająco dużo serca.

– Myślisz, że zamieć naprawdę potrwa dwa pełne dni?

– Tak mówi Ruski.

– No i co teraz?

– Czekamy.

– Na co?

– Aż ktoś nas znajdzie i zabije. Albo na poranek. Trudno powiedzieć, co będzie pierwsze.

Nie mam pojęcia, jak Pierce zdołał tak szybko zasnąć, ale gdy nie słyszę jego głosu i ruchów, czuję się tak samotna jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Zanim wróciło do mnie tych kilka wspomnień, nie miałam poczucia, że czegoś mi brak. Teraz jednak, gdy już wiem, ile fragmentów mnie zostało mi skradzionych, zdaję sobie sprawę, co straciłam, chociaż nie uświadamiam sobie całkowitych rozmiarów straty. Przed przyjazdem tutaj miałam matkę, miasto, całkiem inne życie. Można to przyrównać do zatopionego ogromnego statku. Nurkuję i nurkuję, ale we wraku znajduję tylko maleńkie odpryski skarbu: monetę, kilka potłuczonych porcelanowych filiżanek, dziecięcy bucik. Mogę się tylko domyślać, ile dóbr odebrał mi czas, ile cennych rzeczy pochłonęła zimna ciemność.

Niewiedza nie jest błogosławieństwem. W każdym razie nie dla mnie.

W atramentowych ciemnościach jurty niełatwo jest zasnąć. Jestem przyzwyczajona do światła, pikających urządzeń i zagląających do mnie co dwie godziny ludzi. Kiedy światła są pogaszone, a komputery wyłączone, nie mam na czym się skoncentrować.

Głównym powodem, dla którego nie mogę zasnąć, jest jednak to, że kombinezon, który mam na sobie, obciera mnie do kości. Nie zniosę tego ani chwili dłużej, więc siadam na posłaniu i ściągam górę. Próbuję sobie przypomnieć, gdzie stoi plecak Pierce'a. Może ma w nim coś, co mogłabym pożyczyć? Potrzebuję tylko koszulki pod spód.

Kiedy zaczynam wstawać, błędnie oceniam położenie krawędzi materaca i zsuwam się na podłogę jurty jak niezdarny kot spadający z parapetu. Pierce budzi się ze wzdrygnięciem, przewraca się na mnie i przyciska mi gardło przedramieniem. Ziewa.

– Co robisz?

– Dusisz mnie!

– To jest to, co ja robię. A co ty robisz? – Unosi nieco ramię, nie naciskając mi już całym ciężarem ciała na tchawicę. – Dlaczego nie leżysz w łóżku?

– Szukałam czegoś, w co mogłabym się ubrać.

– Co?

– Ten kombinezon jest chyba zrobiony z juty.

Przekręca się na bok, zsuwając się ze mnie, i nagle pryca z rozbawieniem.

– Co cię tak rozbawiło? – pytam.

– Nic. Cieszę się tylko, że po prostu śniłem. Słuchałem, jak 8-Bit kłóci się z tym Rosjaninem. 8-Bit zaproponował, że mu mnie sprzeda za tysiąc rubli i worek buraków.

– To obłąd. Jesteś wart co najmniej trzy worki buraków. Może nawet cztery.

– Dzięki. – Ziewa głośno. – Tak dla odświeżenia pamięci: jesteśmy w jurcie przy kanadyjskiej granicy, a jacyś ludzie próbują cię zabić?

– Zgadza się. Ciebie prawdopodobnie również.

– No tak. Zapomniałem o tej drugiej części. Mam koszulkę, którą mogłabyś włożyć. Jak mi pomożesz znaleźć latarkę. Koszulka jest w plecaku, tam na podło...

– Nie zapalaj światła!

Zapala światło, zanim zdążam naciągnąć z powrotem kombinezon na piersi. Nurkuje brzuchem na materac.

– Oj. Przepraszam. Nie zorientowałem się...

Podciągam rękę do piersi. Czekam, aż poda mi koszulkę, ale tego nie robi. O ile mogę się zorientować, zamarł w bezruchu. W końcu mówię:

– Czy mogę prosić koszulkę?

– Proszę.

Koszulka ląduje na moich plecach. Z twarzą w poduszce nie potrafię powiedzieć, gdzie stoi.

– Odwróciłeś się?

– Nie.

– No to się odwróć.

– Popatrz na to.

– Na co?

– Na swoje plecy – szepcze.

– Co z nimi? Co się stało?

Podchodzi bliżej. Przez chwilę mam wrażenie, że powie mi, iż mam ranę od kuli, której jakoś nie zauważyłam.

– Co się stało? Widzisz tam krew czy co?

– Nie, nie krew. Skrzydła.

Rozdział 11.

Przyklęka na materacu obok mnie i przesuwa palcem po zarysach czegoś na moich plecach. Jego dotyk jest bardzo delikatny. Po kręgosłupie przechodzi mi dreszcz.

– *Nie tatuuję nieletnich. Koniec i kropka. Nie ma o czym mówić.*

Ma brodę niemal do pasa i przekłute obie brwi. Mocno wytatuowane ramiona skrzyżował na piersi. Nie zamierza ustąpić.

– *Zapłacę ci – mówię. – Dużo. Podwójną stawkę.*

– *Nie chodzi o pieniądze. Ostatnie, czego mi trzeba, to matka jakiegoś dzieciaka, która przyjdzie tu, grożąc mi policją za to, że zniszczyłem cudowną skórę jej biednego, słodkiego aniołka.*

– *Tego raczej nie musisz się obawiać – mówię. – Nikomu nie zależy na mojej skórze.*

Opowiadam mu o sobie. I o mamie.

Robi mi tatuaż za pół ceny.

Wyrwam się tak gwałtownie, że przestraszam Pierce'a. Palce ma nadal wyciągnięte, jakby właśnie malował, a ja bym mu wyrwała płótno spod pędzla. Patrzy na moje plecy, unikając spojrzenia mi w oczy. Powoli cofa dłoń i pozwala jej opaść.

Próbuję zerknąć przez ramię, żeby zobaczyć swoje plecy.

– *Co masz na myśli, mówiąc, że mam skrzydła?*

Odwraca się, pozwalając mi szybko włożyć koszulkę. Kiedy odwracam się z powrotem, widzę jego profil. Patrzy w przestrzeń, zakrywając usta dłonią. Po minucie macham mu ręką przed oczami.

– *Pierce!*

Nie odpowiada.

– *Pierce, co się z tobą dzieje?*

Patrzy na mnie w zdumieniu i potrząsa głową.

– *Nie wierzę.*

– *Co? O co chodzi?*

– *Myślę, że wiem, kim jesteś. – Podnosi się, otwiera swój laptop i coś pisze. Potem pomaga mi wstać i stawia mnie przed komputerem. – Patrz.*

Na środku ekranu widać czarno-białe zdjęcie młodej kobiety. Mocno wycięta koszulka na ramiączkach odsłania jej plecy. Rozkłada ręce, jakby szykowała się do lotu. Głowę ma obróconą na bok i widać trzy kolczyki białe w chrząstkę małżowiny. Można też dostrzec część policzka, ale wiatr zarzucił jej ciemnobrązowe włosy na twarz. Stoi na gzymsie dachu. W tle widać morze budynków i kalenic oraz niewielkie drewniane wieże ciśnień. To Nowy Jork. Jestem tego pewna. Czuję przypływ ciepła i entuzjazmu.

Dom.

– *To Nowy Jork.*

– *Tak, ale popatrz na to. – Wskazuje na plecy dziewczyny. Na tatuaż skrzydeł*

zajmujących całe łopatki. – To właśnie masz na plecach. W każdym razie większość tego. Wygląda to tak, jakby ktoś zaczął go usuwać. Brakuje czubka jednego ze skrzydeł.

– Kto to jest? Co to za strona?

– To Anioł. Myślę, że możesz to nazwać stroną fanowską. Albo też rodzajem tablicy pamiątkowej, zależnie od tego, w którą teorię się wierzy.

Nie potrafię pogodzić tego pełnego mocy zdjęcia z aktualnie odczuwaną bezradnością.

– Skąd wiesz, czy nie zobaczyłam kiedyś tego zdjęcia i nie skopiowałam tatuażu?

– Obróć głowę.

Obracam.

– Mogę? – pyta i zanim zdążam udzielić odpowiedzi, dotyka mojego ucha, porównując je z rysunkiem.

Przechodzi mnie kolejny dreszcz.

– To twoje ucho. Uszy są jak odciski palców. Unikatowe.

Nie odrywając wzroku od ekranu, dotykam górnej części ucha.

– Widzisz, masz trzy dziurki w uchu. Zupełnie jak ona.

Szczypię się w ucho.

– Nie wiedziałam.

– Nigdy wcześniej nie widziałaś dziurek w lustrze?

– Od przyjazdu do szpitala... do tego ośrodka... nie miałam okazji obejrzeć się w lustrze.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Nie wiesz, jak wyglądasz?

– Nie. I boję się zapytać. – Przystaję mrugać i czuję, że zaczynają mnie piec oczy. – No więc... jak wyglądam?

– Wyglądasz jak uciekinierka ze szpitala psychiatrycznego.

– Dzięki.

– Urocza, ale jednak.

Uśmiecha się do mnie i nie mogę się powstrzymać, by nie odpowiedzieć tym samym.

Nachylam się nad komputerem i przyglądam się uważnie zdjęciu na ekranie, skupiając się nie tyle na dziewczynie, ile na tle zdjęcia, i starając się dostrzec szczegóły miasta, w którym kiedyś mieszkałam. Chciałabym, by ekran był oknem pozwalającym mi wyrzeć na ulice poniżej.

– Daj mi zobaczyć jeszcze raz.

– Co?

– Swoje plecy.

Odwracam się i lekko unoszę koszulkę, starając się, by mógł zobaczyć wyłącznie plecy.

– To bardzo skomplikowany wzór. Kto potrafiłby go tak dokładnie skopiować? Mówię ci – stwierdza, przenosząc wzrok z moich pleców na monitor i z powrotem – tatuaż na twoich plecach i tatuaż na zdjęciu to jedno i to samo. – Potrząsa głową, uśmiechając się. – Wow. To... to znaczy... jesteś jakby legendą.

Legendą? Kulę się odrobinę, bo nagle czuję się jak oszustka.

– A co ja takiego zrobiłam?

– Och, nic wielkiego. Ujawniłaś gigantyczny przekręt w rządzie, a potem rozplynęłaś się w powietrzu, dając pożywkę teoriom spiskowym. Proszę, sama zobacz. – Wpisuje w wyszukiwarce: anioł nowy jork rząd. – Zyskałaś sławę zatrzymaniem budowy osiedla wzdłuż rzeki Hudson. Przynajmniej tak twierdził deweloper, który utrzymywał, że miały to być mieszkania własnościowe. Ale ty zaczęłaś wiesztać w pobliżu te ogromne banery z liczbami.

– Z czym?

– Na początku nikt nie wiedział, o co chodzi. Na tym chyba polegała zabawa: żeby odcyfrować tę wiadomość. Okazało się, że to były cytaty z *Hamleta*. Nie znam *Hamleta* na pamięć, ale wydaje mi się, że wszystkie cytaty dotyczyły kłamstwa i zdrady. Coś w tym stylu.

Przykładam dłoń do czoła. Larry! Czy on próbował mi coś powiedzieć? Czy próbował przekazać mi wskazówkę, kim jestem? Dlaczego mi tego po prostu nie powiedział?

– Nikt nie potrafił powiedzieć, jak zdobyłaś informacje na temat faktycznego charakteru tej budowy, nie mówiąc już o tym, jak udało ci się zawiesić banery na takiej wysokości. Miasto zaczęło się przyglądać pozwoleniom na budowę i zgadnij, co się okazało? Ta firma była tylko przykrywką. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie: wkroczył rząd i zaczął twierdzić, że ta budowa ma związek z bezpieczeństwem narodowym. Za składanie fałszywych zeznań przed Kongresem kilku wysoko postawionych facetów wylądowało w więzieniu. Pograżyłaś senatora obecnej kadencji i dwóch doradców Białego Domu. To było naprawdę niezłe. Z perspektywy Dawida stojącego przeciwko Goliatowi, oczywiście.

Pokazuje mi kolejne zdjęcie, tym razem przedstawiające żurawia budowlanego.

– Widzisz? To na nich wieszalaś banery. Policja ustaliła, że wdrapywałaś się na nie bez żadnych zabezpieczeń. Żadnych lin, nic.

To wyjaśniałoby pojawiające się przed moimi oczami obrazy.

– Co się ze mną stało? To znaczy z nią? Z Aniołem?

– Krążyło mnóstwo plotek. Niektórzy sądzili, że cię załatwiono. Unieszkodliwiono.

Ludzie zaczęli malować anielskie skrzydła w całym Nowym Jorku. „Gdzie jest Anioł?”. Sprawa zrobiła się głośna. Ludzie robili sobie nadruki na koszulkach, drukowali plakaty. Wiesz, jakie są dziś dzieciaki, chcą błyszczeć, choćby odbitym światłem. Po jakimś czasie wszystko przyschło.

– To było dawno?

– Jakieś półtora roku temu. Od dawna jesteś w tym zakładzie?

– Może rok? Nie jestem pewna. – Patrzę na Pierce’a i pytam: – A inne plotki na mój temat?

– Różne.

– A bardziej konkretnie?

– Pamiętaj, że to tylko plotki. Zapewne całkowicie wyssane z palca.

– Mów wreszcie.

– No dobra, mówiono, że kiedy cię aresztowali, próbowałaś kogoś zamordować na posterunku policji.

– No niezłe.

– Potem wszystko ucichło. W każdym razie nie pojawiły się żadne informacje, które miałyby choćby pozory wiarygodności. Nikt nie wiedział, co się z tobą stało, i to nie dlatego, że nie próbowano się dowiedzieć. Pojawiło się kilkanaście historii i przynajmniej tyle samo teorii, dlaczego zniknęłaś.

– Ja... po prostu nie mogę w to uwierzyć. Czuję się tak, jakbyś opowiadał mi o kimś innym. Kimś, kto po prostu nie może być mną.

Pierce wyciąga rękę, jakby chciał uścisnąć moją, i chociaż nie wiem, o co mu chodzi, podaję mu rękę.

– Gratuluję utrzymania się przy życiu.

– Choćby niewiele było warte.

– Ej, utrzymanie się przy życiu to niebagatelny wyczyn. Jeszcze bardziej zdumiewające jest to, że udało ci się przeżyć w tym miejscu.

– Co masz na myśli?

– To ściśle tajny, wszechstronnie zabezpieczony ośrodek. Niemal nie sposób się tu

włamać. To nie jest poprawczak. Wiercili ci w głowie! Dlaczego cię tutaj umieścili? Jak cię tutaj umieścili?

– Nie wiem.

– Pamiętasz, jak się tu znalazłaś?

– Nie. Zawsze mi się wydawało, że jestem nikim, skoro nikt po mnie nie przyszedł.

Pociera szczękę i zerka na mnie.

– No cóż, teraz po ciebie przyszli, a i owszem.

– Wierzysz mi wreszcie?

– Że ci faceci z bronią przyszli tutaj właśnie po to, żeby cię zabić?

Kiwam głową.

– Chyba muszę. Chociaż tego nie rozumiem. Trudno uwierzyć, że w całej tej operacji chodzi o zabicie dziewczyny, która zawiesiła kilka protestacyjnych banerów. Wiesz, kim są ci faceci? To najlepsi z najlepszych. Najemnicy zatrudniani przez moich tego świata do obalania dyktatur i rozpywania się w powietrzu. Kosztują fortunę. Usługi mojego szefa też nie są tanie.

– Czyli twojego ojca?

– No tak. Mojego ojca. Chyba nigdy się nie przyzwyczaję do tego, żeby tak go nazywać.

Pierce wstaje i zaczyna krążyć po ciasnej jurcie.

– Co jest? – pytam.

– To właśnie najbardziej mnie męczy: nie mam pojęcia, dlaczego 8-Bit się w to wpakował. Nie mogę powiedzieć, żebym znał go od podszewki czy coś takiego, ale do tej pory nie robiliśmy niczego na taką skalę. A jest o wiele za inteligentny, żeby się nie zorientować, że ktoś zamierza się nim posłużyć bez jego wiedzy. Poza tym on... on nie jest złym facetem. Oczywiście nie jest najbardziej odpowiedzialną osobą na świecie, ale trudno mi uwierzyć, że zaangażował się w jakąś akcję, która miałaby doprowadzić do czyjejś śmierci.

– Może oddawał komuś osobistą przysługę?

– Jak na kogoś pozbawionego wspomnień masz całkiem niezłą pamięć.

– Dzięki.

– To dziwne. Jak to się stało, że od nudnego jak flaki z olejem szpiegostwa gospodarczego i kradzieży pomysłów na nowy telefon komórkowy przeszliśmy do wspierania gości, którzy mają więcej technologicznych gadżetów niż siły specjalne amerykańskiej marynarki? Chciałbym wiedzieć, co mu chodziło po głowie. Dlaczego się w to włączył?

Pierce wyciąga z kieszeni pendrive, który wcześniej trzymał w ręku.

– No i jest jeszcze to.

– Co to jest?

– W tej pamięci jest plik o nazwie „Gdyby coś mi się stało”. 8-Bit zaszyfrował go standardowo, co oznacza, że wie, że w końcu uda mi się go złamać. Oczywiście wcale nie będzie to łatwe, ale w końcu mi się uda.

– Próbowałeś go już otworzyć?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nadal mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

– Też bym chciała mieć nadzieję. – Podchodzę do wejścia i podnoszę poły. Do środka wpada zimne powietrze. – Ale nie ma sposobu, żebym odzyskała to, co usunęli mi z głowy.

– Jasne, że jest.

Gwałtownie odwracam głowę.

– Co masz na myśli?

– Oni tak naprawdę nic nie usuwają. Niewielka część tkanki mózgowej niszczona jest

podczas wprowadzania igły, ale tak naprawdę mózg nie doznaje żadnych poważnych uszkodzeń.

– Jesteś pewien?

– Mówiłem ci, czytałem kilka raportów. Rozumiem mniej więcej, jak to wszystko działa.

– Powiedzieli mi, że wstrzykują mi do mózgu substancję zabijającą neurony, które wyizolowali. Zanim zaczęli mnie opracowywać, zrobili mi te wszystkie tomogramy. Większości tego procesu jednak nie pamiętam. Myślę, że to również wymazali. Wiem tylko tyle, ile mi powiedzieli.

– Oni to znaczy kto?

– Jest taki facet, Larry. Naprawdę nazywa się doktor Ladner. No i jest jeszcze doktor Buckley.

Pierce wpisuje coś do komputera i po chwili prezentuje mi ziarniste zdjęcie człowieka z brodą. Zdjęcie musiało zostać zrobione w ruchu, ale i tak potrafię z łatwością rozpoznać, kogo przedstawia: Świętego Mikołaja w średnim wieku.

– To jest doktor Buckley.

– Czyli posługuje się nazwiskiem Buckley, tak?

Obrzucam Pierce'a zdezorientowanym spojrzeniem.

– Jest mózgiem projektu Tabula Rasa. Bardzo tajemniczy gość. 8-Bit robił z nim magisterium na Harvardzie. Tak naprawdę nazywa się Joseph Purcell Wilson. I nie żyje.

– Nie żyje?

– Owszem. Podobno zabito go cztery lata temu. Był nekrolog i tak dalej. Bardzo starannie wyreżyserowana historia tragicznej śmierci w wypadku niewielkiego samolotu. 8-Bit nigdy w to nie uwierzył. 8-Bit ma kompleksy na jego punkcie, bo facet uzyskał osiem punktów więcej na teście IQ czy coś takiego. Geniusze to najwięksi zazdrośnicy.

– Doktor Buckley miał dziś rano przeprowadzić na mnie zabieg, ale pojawiły się nieoczekiwane problemy.

– Miał to zrobić teraz?

Opowiadam mu o przerwie w dostawie prądu.

– Która była godzina?

Wskazuję na swoją podziurawioną głowę.

– Wybacz. Kiepsko sobie radzę z oceną czasu.

– To po prostu dziwne. Nasza niezbyt przyjazna ekipa najemników odcięła prąd w głównym budynku szpitala dopiero wtedy, gdy zaczęła się zamieć. Mniej więcej wczesnym popołudniem.

Nagle przychodzi mi do głowy myśl, która na moment poprawia mi samopoczucie.

– Doktor Buckley prawdopodobnie nadal jest w środku. Może to jego tak naprawdę szukają. Może szukali mnie tylko po to, by dotrzeć do niego. Chcą zabić wszystkich pacjentów, nad którymi pracował w ramach jakiejś kary czy coś takiego. Powiedziała, że szukają mężczyzny.

– Kto powiedział?

– Ho...

Zamieram. Nie pomyślałam o tym wcześniej, ale być może Hodges ściga mnie – i nienawidzi – z uzasadnionego powodu. Z powodu tego, co zrobił nam Buckley. A konkretnie mnie. Może jest jakiś powód, dla którego pielęgniarki były przy mnie zawsze takie ostrożne?

– Kobieta, którą usłyszeliśmy przez radio – mówię.

– Jestem pewien, że chcieliby dotrzeć do Buckleya, ale jego tutaj nie ma. Bardzo rzadko tu bywa.

– Co masz na myśli? A gdzie jest?

- Prawdopodobnie w centrum medycyny wojskowej w Bethesda, w stanie Maryland.
- Niemożliwe.
- Pozwól, że cię zapytam: czy przebywał z tobą w tej samej sali?
- Nie, był w kabinie chirurgów, na górze. Posługuje się...
- Ramieniem robotycznym?
- No właśnie.
- No właśnie. Przeprowadza operacje chirurgiczne zdalnie.

Otwieram już usta, ale szybko zamykam je z powrotem. Z jakiegoś powodu wydaje mi się to koszmarnie obraźliwe. Podczas wszystkich tych zabiegów chirurgicznych, którym byłam poddawana, doktor Buckley, Wilson czy jak mu tam nie był nawet w tej samej części kraju co ja?

– Dlaczego powiedziałaś, że zabieg nie jest trwały?

– Może stać się trwały. Wstrzykują ci w głowę środek uplastyczniający, który wyszukuje określony rodzaj komórek nerwowych. Za każdym razem, gdy pomyślisz o wypadku, środek migruje do tych właśnie zakończeń nerwowych. Kiedy zostaną zidentyfikowane wszystkie zakończenia nerwowe zawierające konkretne wspomnienie, wstrzykują inny środek, który utwardza plastyfikator i zabija neurony na dobre. Dopóki tego jednak nie zrobią, proces jest odwracalny.

Ze zdumieniem dotykam głowy.

– Mogę odzyskać wspomnienia? Wszystkie?

– Jeśli tego właśnie chcesz.

– Oczywiście, że chcę.

Czyż *nie*?

– Istnieje taka tabletki, która wypłukuje plastyfikator z organizmu poprzez płyn rdzeniowo-mózgowy.

– Tabletki – prostuję. Wstaję i wsuwam dłoń do kieszeni płaszcza, który ukradłam z szafki w garażu. Wyciągam torebkę i pokazuję ją Pierce'owi.

– Skąd to masz?

– Nie wiem.

Wzdycha.

– Jak możesz nie wiedzieć? Pojawiły się ot tak w twojej kieszeni?

– W gruncie rzeczy tak.

Opowiadam mu, co się zdarzyło podczas zabiegu wstrzyknięcia, o ubraniach w moim pokoju i karcie magnetycznej.

Milknie na moment.

– Co?

– Niesamowity zbieg okoliczności, nie sądzisz? Tuż przed tym, jak ktoś wpada, żeby cię zabić, ubrania i karta magnetyczna w magiczny sposób pojawiają się w twoim pokoju?

– Myślę, że to Larry mi je dał – wypalam.

– Dlaczego?

– Po prostu wiem.

– Mogę zrozumieć, że ktoś z personelu chciał ci pomóc, no wiesz, nie dać się zabić. Ale dlaczego jeden z lekarzy, którzy próbowali wymazać ci wspomnienia, miałby chcieć, żebyś wzięła te pigułki i wszystko sobie przypomniała?

– Nie wiem.

Pierce śmieje się.

– No dobra, słuchaj. Od tego momentu nie masz prawa odpowiadać „nie wiem” na żadne z moich pytań.

– No to przestań mi je zadawać.

Siada przy stole.

– No cóż, niezależnie od tego, jak było, pewnie będzie dla ciebie lepiej, jak pozostaniesz w nieświadomości.

– Dlaczego?

– A po co znów brnąć w to bagno? Naprawdę żałuję, że nie mogę wywalić z głowy połowy tego, co tam zgromadziłem, i zacząć wszystkiego od początku. Dobrze się stało, że ich nie wzięłaś.

– Wzięłam je – prostuję. – W każdym razie jedną z nich.

– Co? – Potrąca nogą stół i łapie laptop, zanim ten spadnie na ziemię.

– Wzięłam jedną tuż przed pojawieniem się żołnierzy.

– No to mamy problem – mówi. – Gigantyczny problem.

Rozdział 12.

Jeśli coś grozi mojemu mózgowi, to powinnam zapewne zapytać dlaczego, ale z jakiegoś powodu trudno mi sformułować to pytanie.

– Dlaczego to niedobrze, że wzięłam jedną z tych tabletek?

Pociera powieki i mówi:

– Nie rozumiem wszystkich tych medycznych kwestii, które poruszają w opisach przypadków...

– Masz opisy przypadków? Wszystkich pacjentów centrum?

– Teraz już mam. To i o wiele więcej. Normalnie nie uczestniczę w tego rodzaju projektach, ale 8-Bit postawił tę jurcję i chciał, abym się tutaj zainstalowała, poza zasięgiem wzroku, żeby żołnierze nie wiedzieli, że tu jestem.

– Żeby zabrać ich pliki?

– Żeby wziąć wszystko. Wszystkie dane dotyczące badań i kartoteki pacjentów. Wszystko co do bita. I uciec z tym, gdyby 8-Bit wpakował się w jakieś kłopoty. Myślę, że to właśnie znajduje się w zaszyfowanym pliku, który mi zostawił: instrukcje dotyczące tego, co należy zrobić z tymi wszystkimi danymi.

– Powiedz mi, co wiesz o tych tabletkach – mówię.

– Trzeba je brać w określonych odstępach czasu...

– Tak! Co dwadzieścia cztery godziny. Tak przeczytałam w instrukcji.

– Pozwalają się pozbyć plastyfikatora. Rozpuszczają to wszystko, ale to operacja z kategorii „wszystko albo nic”. Jeśli tego wszystkiego nie wypłuczesz, zaczyna ci krążyć w głowie. I przyczepia się do przypadkowych neuronów. Powiedzmy, do tych części mózgu, które odpowiadają za rozpoznawanie kolorów, dźwięków albo odruch oddychania. Albo też mogą zacząć wpływać na taki drobiazg jak sumienie, które nie pozwala ci zabijać ludzi dla czystej przyjemności.

– Brakuje mi jednej tabletki.

Teraz ja zaczynam krążyć po jurcji. Rozsadza mnie energia, której nie mogę opanować. Zdaję sobie sprawę, że to, co teraz czuję, to jest, o dziwo, radosne uniesienie. Z wdzięczności ściskam Pierce'a – krótko, ale mocno. Przekazał mi mnóstwo złych wiadomości, ale przy okazji dał mi coś, czego potrzebuję: nadzieję.

– Potrzebuję jeszcze jednej, tak?

– Aniele...

– Gdzie mogę dostać ich więcej?

Wygląda jak ktoś, kto nie chce pozbawić mnie nadziei, ale wie, że musi. Serce mi staje, kiedy uzmysławiam sobie twardą rzeczywistość: muszę tam wrócić.

Podchodzę do stolika z komputerami i opadam na krzesło, obejmując głowę rękami. W ciągu kilku sekund z wyżyn nadziei spadam w otchłanie przerażenia. Pierce pochyla się nade mną.

– Nie bądź taka smętna.

– A dlaczego nie?

– Bo nie pozwolę ci pójść tam samej.

– Ależ owszem! Nie możesz tam iść!

Potrząsa głową i mówi:

– Myślę, że kiedy poznasz mnie lepiej, to się zorientujesz, że niełatwo mną sterować.

Patrzę na niego – jest twardy i zdeterminowany. Mam zamiar powiedzieć mu, że

w żadnym wypadku nie może iść ze mną. Nie obchodzi mnie, co mi odpowie.

I wtedy się uśmiecha. Poddaje się.

Rzeczywiście trudno nim sterować.

Chyba to mi się w nim podoba.

Brniemy z trudem przez zasy, zmieniając się na prowadzeniu i na zmianę przyjmując na siebie podmuchy smagającego śniegiem wiatru. Świt przebija się słabo przez chmury. Między koronami sosen widzę od czasu do czasu spłachetek nocnego nieba z gasnącymi gwiazdami. Kilkakrotnie zawieja cichnie, a kiedy już myślę, że najgorsze za nami, wzmagają się ponownie.

Droga z jurty do szpitala wydaje się o wiele dłuższa niż w przeciwną stronę. Pierce dał mi parę cienkich rękawiczek, które włożyłam pod skórzane rękawice robocze, ale koniuszki palców drętwieją mi z zimna. Czuję się tak, jakby ktoś zbił mi je młotkiem. Patrzę na spodnie narciarskie i puchową parkę Pierce'a. To jedna z tych naprawdę drogich kurtek: lekkich, a jednocześnie bardzo ciepłych. W mieście właściciel takiej kurtki łatwo może dostać po głowie od żądnego łupu złodzieja.

Przypominam sobie coś jeszcze, czego wcześniej nie pamiętałam.

Kiedy od zabudowań dzieli nas już tylko pięćdziesiąt metrów, widzę to. Żuraw wieżowy. Chwieje się lekko i nawet w wyjąym wietrze słyszymy skrzypienie zimnego metalu. Dostrzegam ciężkie płyty przeciwwagi. Zastanawiam się, czy przy tak silnych wiatrach wystarczają do utrzymania równowagi żurawia. Przy każdym zakołysaniu żołądek podchodzi mi do gardła.

Dochodzimy do ogrodzenia i znajdujemy miejsce, w którym przeszliśmy wcześniej. Pierce przecina plastikowe zaciski. Prześlizguje się na drugą stronę, uważając, żeby o nic nie zahaczyć. Przekazuję mu plecak i idę w jego ślady.

Idziemy pod kątem do wiatru, opierając się gwałtownym podmuchom. Zaglądam do wykopu, w którym na kablach wisi szereg lamp słonecznych majtających się wściekle w tył i w przód. Całość ciężkiego sprzętu zastygła w bezruchu, przypominając jaskrawożółte dinozaury, które utknęły w asfaltowym jeziorze.

Pierce patrzy w stronę szpitala. Wyjmuje krótkofalówkę i spogląda na nią.

– Może powinienem spróbować jeszcze raz. Może 8-Bit tym razem odpowie?

Sprawdzimy, czy może nam pomóc.

– Nie ryzykowałabym – mówię. – Głos tej kobiety, który słyszeliśmy wcześniej...

– Co? Znasz ją?

– Znam. Nie, nie znam.

– To jak w końcu?

– Kazałeś mi nie mówić więcej „nie wiem”.

Rozkłada ręce z rozpaczą.

– Nazywa się Evangeline Hodges i powiem ci tylko, że za każdym razem, gdy o niej myślę, ogarnia mnie taka wściekłość i nienawiść, że aż mi ciemnieje w oczach. To ona jest ogniwem łączącym szpital, mnie, twojego szefa i tych najemników.

– Gdyby tak było, chyba bym o tym wiedział.

– Nie obraż się, ale mam wrażenie, że o niektórych aspektach planu 8-Bita po prostu nie zostałeś poinformowany.

Pierce obdarza mnie krótkim, zbolałym uśmiechem. Przenoszę wzrok na główny budynek szpitala. Przypominam sobie ciepły, nijaki świat, który mnie tam otaczał. Zaczynam tęsknić za wszystkimi tymi ludźmi, którzy ciągle kazali mi się odprężyć. Trwa to tylko chwilę, bo dociera do mnie, co właśnie poczułam: tęsknotę za bezpieczeństwem. Nie chcę wracać do tego życia. Nigdy.

Pokonujemy jeszcze kilka metrów i się zatrzymuję. Muszę zrobić coś, czego wcale nie chcę robić. Muszę mu dać ostatnią szansę na wycofanie się.

– Pierce... Ja... Odprowadziłeś mnie wystarczająco daleko. Naprawdę. Zrobiłeś aż nadto.
– Wskazuję palcem na skuter. – Wypchnij go do lasu i uruchom tam, gdzie nie będzie cię już słychać.

– Zastanawiałem się właśnie, kiedy wygłosisz tę bohaterką pogadankę. – Patrzy na zegarek. – No i proszę. Niewiele się pomyliłem.

Chwytam go za nadgarstek.

– Gdybym naprawdę potrafiła zdobyć się na bohaterstwo, wszystko, co mówię, mówiłabym ze szczerego serca. A tak nie jest. Chcę, żebyś ze mną został, ale wiem, jakie to egoistyczne. Dlatego właśnie proszę, żebyś wrócił do jurty.

– Nie wiesz tego, Aniele, ale tak naprawdę to ty pomagasz mnie, a nie odwrotnie.

– Pomagam ci, ciągnąc cię do szpitala, w którym roi się od uzbrojonych żołnierzy? I to wbrew wyraźnym życzeniom twojego szefa?

– Ojca.

– Jasne.

– Owszem, właśnie tak jest.

– Dlaczego to robisz?

– Mam swoje powody.

– Nie mam wątpliwości, że są bardzo głupie i autodestruktywne.

Wzrusza ramionami.

– A czy nie takie są najlepsze?

Rozglądam się, próbując się zorientować w swoim położeniu. Wiatr wieje mi w twarz i przez kilka następnych sekund nie widzę nic kompletnie. Odwracam się w stronę Pierce'a. Szalik zakrywa mu nos i usta. Unosi gogle. Widzę tylko jego ciemnobrązowe oczy.

– Tak naprawdę nie nazywam się Pierce, wiesz?

– Wiem.

– Powiedziałbym ci, o co tu tak naprawdę chodzi, ale 8-Bit kazał mi przysiąc, że nic nikomu nie powiem. Powiedział, że obaj moglibyśmy zginąć.

– No to absolutnie nie powinieneś mi mówić.

– Nie, chcę, żebyś wiedziała. Za każdym razem, gdy nazywasz mnie Pierce, przypominasz mi, że cię okłamałem.

Patrzy na mnie bez słowa. Wiem, że chce mi powiedzieć, że mi ufa, ale się boi. Musi mieć solidne powody.

– Zabraniam ci mówić – oznajmiam.

– Zabraniasz mi?

– Tak. – Przykładam oba palce wskazujące do skroni. – Teraz sobie przypominam. Tak... To trochę dziwne, ale muszę ci wyznać, że pod wpływem nawet niewielkiego stresu zdradzam najskrytsze i najmroczniejsze tajemnice innych ludzi.

– A ja myślę, że nawet pod groźbą odrąbania ci głowy nie zdradziłabyś nawet numeru swojego buta.

Opieram rękę na biodrach.

– No dobra. A więc jeśli zdradzisz mi swoje prawdziwe imię, nie pozwolę ci pójść dalej, żeby mi pomóc.

– Nie pozwolisz mi pójść?

– Aha. Będziesz musiał znaleźć jakąś inną metodę zaspokojenia swoich autodestrukcyjnych popędów. A bądźmy szczerzy, dla kogoś ze skłonnością do autodestrukcji to

idealna okazja. Naprawdę nie chciałabym, żebyś ją stracił.

Ciepło jego uśmiechu bierze górę nad lodowatymi podmuchami niosącego śnieg wiatru.

– No dobra, nie powiem ci.

– Przysięgasz?

– Przysięgam, że nie zdradzę ci swojego prawdziwego imienia.

– No to świetnie. Pozwolę ci zatem towarzyszyć mi i narażać życie.

– Dzięki. Naprawdę doceniam to, że stwarzasz mi taką okazję.

Wyciągam rękę, by przypieczętować naszą umowę uściskiem dłoni, ale nagle ją opuszczam.

– Hej! Myślałem, że się umówiliśmy!

– Nie o to chodzi. Po prostu...

Poczułam jakiś zapach. Tylko przez moment. Jest neutralny, ale natychmiast rozpoznaję w nim płyn, którego używali do prania szpitalnych koszul, szlafroków i pościeli. Odchodzę od Pierce'a, przekrzywiając lekko głowę i starając się złowić tajemniczy zapach ponownie.

– Co się dzieje? – pyta.

Podnoszę dłoń do góry, zamykam oczy i wciągam powietrze w nozdrza. Odwracam się i rozglądam po placu budowy, wyteżając wzrok i próbując przeniknąć nim śnieg.

I nagle to widzę. W morzu bieli dostrzegam jej inny odcień.

– Ktoś tam jest – mówię, wskazując palcem.

Pochylam się i przebiegam odsłonięty fragment między sprzętem budowlanym a przyczepą zaparkowaną na krawędzi wykopu. Osoba, którą dostrzegłam, nie porusza się. Ma takie drobne ciało. Przypieszam, chociaż wiem, że już nie ma takiej potrzeby. Wiem. Po prostu wiem.

To Jori. Opiera się plecami o jedną z wielkich, czarnych, gumowych opon betoniarki. Myślę, że mogłabym ją z łatwością przeoczyć, gdybym tak bardzo nie starała się jej dostrzec. Zawsze była taka biała, a teraz prawie całkiem pokrywa ją śnieg. Nadal ubrana jest w szpitalną koszulę. Gołe nogi i stopy ma kompletnie sine.

Ściągam zębami rękawiczkę, wciąż mając nadzieję, że się mylę. Dotykam jej piersi. Jeśli to możliwe, jest jeszcze zimniejsza niż zalegający wokół śnieg.

Przypominam sobie ogień trawiący jej skrzydło budynku i to, że ją porzuciłam. Chwytam jej dłoń – jest poparzona. Uległa poparzeniom, a później zamarzła. Nie wiedzieć czemu, myślę o Hodges. Ogarnia mnie wściekłość.

Staje za mną Pierce.

– O rany...

Kopię oponę betoniarki, jednak osiągam tylko tyle, że zaczyna mnie boleć stopa. Ale to nieważne.

– Znałaś ją?

– To dziewczyna, o której ci opowiadałam. Jori.

Martwa wydaje się taka maleńka. Gorące łyzy stygną mi na policzkach w podmuchach lodowatego wiatru. Wycieram zasmarkany nos. Boli. Złodowaciałe rękawiczki ocierają mi twarz jak papier ścierny. Mam poczucie, że zasłużyłam na ten ból.

– Powinniśmy ją stąd zabrać – mówię.

Nie wiem nawet, dokąd powinniśmy ją zanieść. Wiem tylko, że nie chcę jej tu zostawić, zapomnianej pod śniegiem.

Pierce bierze ją pod pachy, a ja podnoszę jej nogi. Kiedy unosimy ciało, wiatr podrywa nagle śnieg i dociera do mnie, że widzę dwie pary śladów. Jedne należą do Jori, drugie są znacznie większe. Nie są to jednak ślady butów. To odciski bosych stóp.

Rozdział 13.

Ślady stóp prowadzą do wykopu, a właściwie do przyczepy o podwójnej szerokości stojącej na wzniesieniu tuż przy wykopie. Dach przyczepy całkowicie pokrywają panele słoneczne. Jeden czy dwa z nich unoszą się delikatnie w podmuchach wiatru. Talerz anteny satelitarnej zamontowany kiedyś na dachu przyczepy obluźował się i teraz grzechocze na wietrze jak pokrywa od kubła na śmieci.

Niesiemy ciało Jori w stronę przyczepy i kiedy jesteśmy już blisko, wiatr otwiera nagle drzwi przyczepy na oścież. Kilkakrotnie uderzają o ścianę. Gdyby było otwarte wcześniej, gdy zmierzaliśmy w stronę jurty, z pewnością usłyszelibyśmy te uderzenia.

Kiedy docieramy do przyczepy, stawiam stopę na jednym z trzech schodków prowadzących do drzwi, nadal podtrzymując ciało Jori. Pierce się zatrzymuje i przez moment ciągniemy Jori w przeciwnych kierunkach.

– Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało zbyt makabrycznie – mówi Pierce – ale chyba lepiej będzie zostawić ją na zewnątrz. No wiesz, rozkład i tak dalej.

Wiem, że ma rację, ale sama myśl jest koszmarna.

Teraz, kiedy stoimy przy przyczepie, dostrzegam coś jeszcze. Tuż obok drzwi widzę koszulę zahaczoną o wystający ze śniegu metalowy pręt. To nie może być koszula Jori, bo tę Jori nadal ma na sobie.

Układamy Jori w śniegu. Pierce cofa się o krok, zostawiając mnie na chwilę samą z Jori. Nie znałam jej tak naprawdę, podobnie jak ona mnie. Gdybym policzyła wszystkie spędzone z nią godziny, nie wyszłoby tego więcej niż kilka tygodni. Wiem jednak, że dawałam jej poczucie bezpieczeństwa, i chciałabym dać jej je również teraz. A jednak nie potrafię. Mam wrażenie, że świat jest pełen ludzkiej bezradności i żalu, że nie zrobiło się więcej. Śmierć musi być nami wszystkimi mocno rozczarowana.

Pierce przykuca obok czegoś, co wygląda jak ultranowoczesne betonowe bloki, z których został zbudowany ten ośrodek. Cienkie drzwi przyczepy objają się o jej ścianę tak gwałtownie, że jestem pewna, iż za chwilę wypadną z zawiasów.

Podchodząc do drzwi, odruchowo się kulę. Jako Anioł na pewno mnóstwo razy skradałam się w pobliżu placów budowy takich jak ten i teraz odruchy biorą górę. Wyciągam gwoździarkę z głębi wewnętrznej kieszeni płaszcza. W przyczepie panuje ciemność. Wszystkie rolety są szczelnie zaciągnięte. Odwracam się do Pierce'a, żeby dał mi jedną ze spakowanych przez siebie latarek, ale zamiast tego wręcza mi swoją czołówkę.

Wkładam ją na głowę i wchodzę do środka, mając Pierce'a tuż za plecami. Obracam głowę, by się rozejrzeć, i snop białego światła przesuwają się po ścianach. Jesteśmy w czymś w rodzaju luksusowego tymczasowego biura budowy. W środku znajdują się skórzane fotele, kanapa, a nawet perski dywan. Na biurku leży kilka normalnych biurowych rekwizytów: długopisy, kartki, lampka, zszywacz. Przyglądam się wiszącym na ścianach ramkom z rysunkami. Wszystkie to wykonane ołówkiem szkice przedstawiające projekt architektoniczny powstającego budynku.

Po drugiej stronie przyczepy znajduje się nieduży aneks kuchenny. Podchodzę bliżej i widzę, że błyskający na mikrofalówce zegar pokazuje złą godzinę, ale nadal działa.

Ponownie omiatam snopem światła przyczepę. Pierce stoi w drzwiach. Odwracam się do niego i kiedy już mam powiedzieć, że wygląda na to, iż przyczepa jest pusta, Pierce wskazuje na coś i pociąga mnie w stronę drzwi.

– Tam. Popatrz.

Widzę podeszwy bosych stóp. Ktoś kuli się na podłodze pod biurkiem. Sądząc po rozmiarze stopy, mężczyzna.

– Cześć – mówię.

Nie odpowiada.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Podchodzę bliżej, powoli obchodząc biurko. Oświetlam leżącą pod nim osobę.

– O nie – szepczę.

– Czy to... kolejne ciało?

– Tak.

Pierce zamyka za sobą drzwi przyczepy i podchodzi do mnie.

– Nie żyje?

– Żyje. Ale jest kompletnie goły.

Pierce kieruje światło latarki na skulonego pod biurkiem chłopaka. Nie mam pojęcia, jak w ogóle zdołał się tam wcisnąć.

– Znasz go?

To wytatuowany chłopak, którego widziałam wcześniej.

– Był na moim oddziale. Ale widziałam go tylko raz.

Właśnie mam zamiar mu powiedzieć, że to może być pewien problem. Mój oddział był... no cóż, moim oddziałem. Oddziałem zamkniętym. Ale w głosie Pierce'a nagle słychać pośpiech.

– On jest skrajnie wychłodzony.

– Co?

– Próbował się zakopać. Szybciej, pomóż mi go stamtąd wyciągnąć.

Pierce zaczyna wyjmować różne rzeczy z plecaka. Potem zdejmuje kurtkę.

– Co robisz?

– Chodzi o temperaturę ciała. Próba zarycia się w ziemi jest oznaką zaawansowanej hipotermii. To dlatego zdarł z siebie ubranie.

– Co?

– Właśnie to robią ludzie tuż przed zamrożeniem na śmierć. Zdzierają z siebie ubrania i znajdują sobie jakieś miejsce, w którym mogą się skulić w pozycji embrionalnej. Pomóż mi. Przejdź na drugą stronę.

Pierce ściąga z siebie sweter. Chyba wyglądam na przerażoną, bo mówi:

– Nie musisz rozbierać się z koszulki. Po prostu połóż się po jego drugiej stronie i spróbujemy go otulić własnymi ciałami jak ser w kanapce.

Pierce przetrząsa plecak i po chwili wyjmuje z niego folię termiczną, która wygląda jak wielki srebrny worek na śmieci. Wyciągamy chłopaka spod biurka i zawijamy go w srebrną płachtę. Potem ja biorę jeden koniec, Pierce drugi i zawijamy się w folię razem z chłopakiem.

– O rany. Czuję się, jakbym próbował przytulić alaskijską skrzynkę na listy – mówi Pierce.

Nie ruszamy się przez jakieś pół godziny, aż w końcu chłopak zagrzewa się na tyle, że zaczyna się trząść. Pierce twierdzi, że to dobry znak.

– Musimy znaleźć dla niego jakieś ubrania, bo w moje na pewno się nie zmieści. Zobacz, czy coś tu jest.

Wstaję i zaczynam myszkujeć po przyczepie, szukając czegoś, co mogłoby się nadać na ubranie. Znajduję brudny kombinezon, który trzeszczy, kiedy próbuję go przerzucić przez ramię, i żółtą wiatrówkę z pomarańczowym odblaskowym trójkątem z przodu. Jest też długi, rozciągnięty sweter z wzorkiem gwiazdy betlejemejskiej na piersiach. Na metce jest napisane „Collins”. Pokazuję to Pierce'owi.

– Wygląda na to, że nawet okropne bożonarodzeniowe sweterki czasem się przydają.
– Spodniami to ty się zajmij – mówię i odwracam głowę, gdy Pierce naciąga kombinezon na gołe nogi chłopaka.

Pomagam mu ubrać go w sweter i wiatrówkę. Czuję się, jakbym ubierała na sanki przerośnięte, wytatuowane dziecko.

Pierce wyjmuję z plecaka parę skarpetek, patrzy na chłopaka i głośno wzdycha.

– Co jest?

– Mam nadzieję, że ten koleś to doceni. To moje ulubione skarpetki.

Rozdział 14.

Kolejnych kilka godzin spędzam na przeszukiwaniu szuflad i szafek w przyczepie, opiekowaniu się wytatuowanym chłopakiem i próbach niezwracania uwagi na dojmujące zimno, co jest w zasadzie niemożliwe.

Pierce natomiast przez kilka godzin usiłował znaleźć jakiś sposób, byśmy mogli wśliznąć się niezauważeni do budynku, ale jak dotychczas okazało się to równie niemożliwe.

Przetrząsam szufladę biurka w poszukiwaniu klucza, którym mogłabym otworzyć szafki, ale kiedy kolejne minuty nie przynoszą rezultatów, moja cierpliwość się wyczerpuje i zaczynam otwierać szafki z buta.

– Ja się tu próbuję skoncentrować! – narzeka Pierce.

– A ja tu prowadzę przeszukiwanie.

– To prowadź je ciszej, dobra?

Kopię w kolejne drzwiczki. Za trzecim razem ustępują. W środku znajduję coś znacznie w tym momencie cenniejszego niż moje wspomnienia.

– Przenośny grzejnik!

Pierce podnosi wzrok i chucha w dłonie, żeby je ogrzać.

– Możemy go podłączyć do gniazdka na chwilę, byle niezbyt długą, bo akumulator się wyczerpie. – Wskazuje na kabel poprowadzony po ścianie i wchodzący w sufit. Napisano na nim: „Zasilany zieloną energią!”. – Zasilenie kilku komputerów to całkiem co innego niż ogrzanie całej przyczepy. Mielibyśmy szczęście, gdyby starczyło prądu na trzydzieści minut, biorąc pod uwagę, że w tej zamieci akumulatory nie miały specjalnie szansy się naładować.

– Wszystko mi jedno. Biorę.

Wyciągam grzejnik z szafki i stawiam go obok leżącego na podłodze chłopaka. Ustawiam pełną moc grzania. Po kilku minutach chłopak przestaje się trząść jak w febrze, a w przyczepie robi się tak ciepło, że zdejmuję płaszcz i wieszam go na oparciu krzesła.

Zegarek Pierce'a zaczyna popiskiwać.

– Co to?

– Ustawiłem sobie alarm, żeby ci przypomnieć o konieczności wzięcia tabletki.

– Och. Dzięki.

Podchodzę do dystrybutora wody i pukam w plastikowy zbiornik. Zamarznięty na kość. W rogu znajduję minilodówkę. Otwieram drzwiczki. W środku leży kilka papierowych torebek, a na półce na drzwiach stoi niewielki otwarty karton soku pomarańczowego. Wrzucam tabletkę do ust i popijam pozostałą w kartonie resztką soku.

Dostaję napadu kaszlu i z trudem opanowuję mdłości.

– Blee! Ohyda!

Pierce przyskakuje do mnie w mgnieniu oka. Chwyta mnie za ramiona i zagląda mi z niepokojem w twarz.

– Co jest? Co się stało?

– Skwaśniałe!

Wzdycha i wznosi oczy.

– Nie rób tak więcej, okej?

Uśmiecham się słabo.

– Przepraszam.

Zaskakująco łatwo jest się do niego uśmiechnąć. Może na tym zawsze polegał mój problem. Uśmiechałabym się równie często jak inni, gdybym miała ku temu jakiegokolwiek

powody.

– Myślałem, że umierasz.

– Jeszcze nie.

Przez chwilę wydaje mi się, że jest na mnie naprawdę wściekły, ale potem jego twarz się rozpozadga, a oczy otwierają się szeroko.

– To jest to! Powiniennem teraz włamać się do harmonogramów podawania leków, żebyśmy mogli otworzyć szafkę z lekami. Może będą tam nawet podane miejsca przechowywania poszczególnych leków! – Przytula mnie szorstko, przyciskając moją twarz do swojej piersi. – Aniele, to genialne!

Odsuwam się od niego i rozcieram sobie nos, zastanawiając się, czy powinnam zwrócić mu uwagę, że to nie mój pomysł.

– Trzymają leki w zamkniętej szafce? – pytam.

– Na pewno środki przeciwbólowe i znieczulające. W każdym razie większość szpitali przechowuje je w ten sposób, więc założymy, że tutaj robią to samo. Prawdopodobnie tabletki, których potrzebujesz, będą przechowywane z zachowaniem jeszcze większych środków ostrożności. Musimy teraz znaleźć jedną z tych szafek, otworzyć ją, a potem wymknąć się z potrzebną ci tabletką.

Pierce siada i chwilę później żegluję przez ocean widocznych na ekranie linii kodu, zapominając o całym świecie. Pochylam się na moment nad wytatuowanym chłopakiem. Wygląda, jakby chciał się obudzić, ale nie mógł. Kolejne pół godziny spędzam na oglądaniu obrazków wiszących na ścianach i przetrząsaniu lodówki w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się jeszcze do zjedzenia. Znajduję kilka wyschniętych, ugotowanych na twardo jajek, śmietankę do kawy i brązową papierową torbę ze śladami tłuszczu. Zaglądam do środka.

– Gdzie tu można dostać chińskie żarcie? – pytam głośno. Wyciągam z torby paragon. – Johnie Q., Syczuan – czytam.

Pierce podnosi głowę znad laptopa.

– Myślisz, że Johnie Q. dostarcza tu jedzenie? – pytam.

– Tylko jeśli ich firmowy odrzutowiec ma z przodu mały koszyczek. Ta restauracja znajduje się w Los Angeles.

– Z paragonu wynika, że jedzenie zostało zamówione w sierpniu.

Przynoszę je do stołu i otwieram jeden z pojemników. Wącham i odsuwam z jękiem, bo cuchnie paskudnie. Pierce kaszle.

– Kurczak gongbao z pałeczką okrężnicy. Moje ulubione danie. – Odpycha się od biurka na krześle na kółkach i wstaje. Jego uwagę przykuwa jeden z wiszących na ścianie obrazków. – Ej, popatrz.

Zamykam pudełka z jedzeniem i podchodzę popatrzeć. Oprawiona w ramki okładka czasopisma przedstawia młodego Azjatę stojącego przed dziwnym budynkiem przypominającym odwrócony melonik. Podpis głosi: „William C. Chin przed swoim najnowszym projektem, budynkiem opery w Dubaju”. Pierce wskazuje nazwisko China na jednym z rysunków architektonicznych leżących na stole.

– Ten facet jest gwiazdą architektury. Jeśli zatrudnili China do zaprojektowania tego budynku, to musieli włożyć w ten projekt mnóstwo pieniędzy. – Czyta podpis pod projektem i nagle wykrzykuje: – Ha! Już wiem dlaczego.

– No?

– Claymore Industries. – Patrzy na mnie i uśmiecha się lekko. – Pominiemy tę część, w której mówisz mi, że nigdy o nich nie słyszałaś.

– Nie. Słyszałam. Tak jakby. Coś mi gdzieś dzwoni w każdym razie.

– Powinno. Claymore Airlines, Claymore Studios, Claymore to, Claymore tamto. Erskine Claymore każde przedsięwzięcie firmuje swoim nazwiskiem.

Widzę oczyma duszy ten budynek. Wysoki, smukły wieżowiec, który wygląda jak idealnie ukształtowany soplek lodu... lub miecz.

– Aleja Central Park South. Claymore Tower.

– Grzeczna dziewczynka! Jakbym miał ciasteczko, tobym ci rzucił.

Gromię go wzrokiem, ale jestem dumna, że udało mi się przypomnieć.

– Claymore Industries to przy okazji duży dostawca broni. Ciekawe, nie sądzisz?

– Chyba tak.

– Może zaciekawia cię zatem informacja, że za tą budową, którą udało ci się zatrzymać, kiedy narozrabiałś jak skrzyżowanie Spidermana z Robin Hoodem, stał nie kto inny jak...

– Erskine Claymore – kończę.

– Znakomita odpowiedź.

Nazwisko kojarzy mi się jednak z czymś jeszcze. Nie jestem pewna dlaczego, ale nagle ogarnia mnie koszarne uczucie... straty. Wściekłość. Dezorientacja. Ciekawość. W tym nazwisku jest coś, co dotyka najgłębszych pokładów mojej tożsamości, niczym wspomnienie przechowywane w głębi serca. Gdybym miała je wydobyć, musiałabym wydrzeć je sobie z piersi.

– To bardzo wpływowy gość – mówi Pierce. – Chociaż wszystkie te bogactwa nie zapewniły mu szczęścia w życiu osobistym.

– Jak to?

– Wszystkie jego dzieci zmarły. Wyjątkiem jest najmłodsze, ale ono też ma jakiś problem, nie pamiętam jaki. Jest bardzo chore, sparaliżowane czy coś. Żona Claymore'a przeszła kilka lat temu załamanie nerwowe i od tamtego czasu nie pokazuje się publicznie. Święto Dziękczynienia w tej rodzinie musi być naprawdę przykrym wydarzeniem. Pewnie Claymore ze swoim kamerdynerem oglądają mecz futbolu i jedzą kanapki z indykiem.

Z drugiej strony pomieszczenia dobiega nas jęk. A raczej coś bardziej przypominającego wściekły pomruk. Patrzymy na siebie z niepokojem, a potem powoli podchodzimy do wytatuowanego chłopaka. Pochylam się nad nim i dotykam dłonią jego czoła. Otwiera oczy i natychmiast próbuje wstać. Przewraca się na brzuch i próbuje odepchnąć się od podłogi, skopując z siebie folię termiczną, jakby chciała go pogryźć. Potykając się, dociera do stolika, chwytając się blatu i przewraca mebel z hukiem.

Pierce i ja cofamy się o krok.

Wygląda na to, że udało nam się przywrócić chłopaka do życia. Może nie był to wcale taki dobry pomysł.

Rozdział 15.

Chłopak natychmiast zaczyna mówić coś po hiszpańsku. Pierce pyta półgłosem:

– Wiesz, co on mówi?

– Chyba pyta: „Gdzie ona jest?”

Dociera do mnie w tym momencie, że jego ślady znaleźliśmy tuż obok ciała Jori. Jest całkiem prawdopodobne, że próbowali uciec razem.

Chłopak się przewraca, podnosi, przewraca jeszcze raz. Przyczepa trzęsie się przy każdym jego upadku. Jest niższy od Pierce’a, ale dwa razy szerszy.

– Pić mi się chce – mówi.

Podchodzę do dystrybutora. Woda jest nadal w dużej mierze zamrożona, ale grzejnik rozpuścił ją na tyle, że kilkadziesiąt mililitrów spływa do styropianowego kubka, który mu podaję. Wypija, zgniata kubek w dłoni i wyrzuca na podłogę.

– Gdzie dziewczyna? – pyta.

– Jaka dziewczyna? – pyta Pierce.

– Nie wiem.

Chłopak patrzy na siebie i mówi:

– Kret.

Pierce patrzy na mnie, ale nie mam bladego pojęcia, o co może chodzić.

– Mój wujek jest kretem.

– Ach, rozumiem – szepce Pierce. – Chodzi mu o to, że wygląda jak robotnik budowlany.

Krety to robotnicy pracujący przy budowie metra.

– Och.

– Jak masz na imię? – pyta Pierce.

– Oscar – odpowiada chłopak. – Oscar... – Próbuje przypomnieć sobie nazwisko.

Potrząsa głową, a po chwili zaczyna się uśmiechać, unosząc bezradnie ręce, jakby myślał: „Jak to możliwe, że zapomniałem?”

Zaczynam się przedstawiać:

– Nazywam się... – I wtedy się orientuję, że nie wiem, co powiedzieć. Nie mogę się zdecydować: Sara czy Anioł? Nie jestem ani jedną, ani drugą. A zatem jestem nikim.

I wtedy słyszę słowa Pierce’a:

– Anioł. To jest Anioł. A ja mam na imię Thomas.

Thomas?

Gwałtownie obracam ku niemu głowę, próbując go bezgłośnie zapytać, czy to jego prawdziwe imię, czy kolejna fałszywka. Nasze spojrzenia się spotykają. Patrzy na mnie przepaszająco.

Tak. Myślę, że tym razem powiedział prawdę.

– Przysiągłeś, że mi nie powiesz.

– No i nie powiedziałem. Jemu powiedziałem.

Ze złością wciągam powietrze przez nos.

– To tylko imię. Złamałem naszą umowę tylko połowicznie. Na świecie są miliony

Thomasów, tak? Każdy może nosić to imię.

Oscar patrzy to na jedno, to na drugie z nas, próbując się zorientować, co tu właściwie jest grane.

– Kim jesteście? – pyta, mrużąc oczy.

Ściągam czapkę, żeby pokazać mu łysą głowę. Natychmiast wyciąga rękę i dotyka nagiej

skóry.

– Skarbie, musimy trzymać się razem, nie?

Zaczyna się histerycznie śmiać, lecz po kilku sekundach gwałtownie poważnieje.

Przenosi wzrok na Pierce'a. To znaczy Thomasa. Przystawienie się zajmie mi chwilę. Oscar chyba zauważa, że ja jestem do niego podobna, ale Thomas nie. I nie chodzi tylko o łysinę. Myślę, że dostrzegł w Thomasie to samo co ja: niewątpliwie bogate dziecko.

Oscar przystawia pięść do szczęki i mocno naciska. Słychać trzask kręgów szyjnych i knykci. Wskazuje leżące na biurku pojemniki z chińskim jedzeniem.

– Jecie?

– Często się śmiało, kolego – mówi Thomas.

Oscar pałaszuje tłustą zawartość pojemników i wyskrobuje resztki z dna. Thomas i ja wymieniamy spojrzenia. I nie chodzi tylko o to, że jesteśmy więcej niż pewni, iż w ciągu godziny zacznie rzygać jak kot. Coś nas w nim niepokoi.

Oscar zagląda do papierowej torby i szybko wykańcza drugi pojemnik z jedzeniem. Kilka ziaren ryżu i trochę sosu zostaje mu na brodzie. Podchodzi do Thomasa i ściąga mu czapkę. W tym świetle zauważam, że Thomas farbuje włosy. Są kruczoczarne, ale kolor tuż przy skórze jest inny.

Oscar rozpiną kurtkę Thomasa o kilka centymetrów, a potem przebiega palcami po materiale. Patrzy Thomasowi prosto w oczy, jakby chciał powiedzieć: „Ładna kurtka, kolego”.

– On jest w porządku – mówię do Oscara. – Pomaga mi. Tobie też pomógł. Kiedy cię znaleźliśmy, z wychłodzenia byłeś bliski śmierci.

Oscar nie zwraca uwagi na moje słowa. Przechodzi na drugą stronę przyczepy i zaczyna się rozglądać, zrzucając wszystko, co go nie interesuje, włącznie z czajniczkiem do kawy, który roztrzaskuje się na podłodze. Zrzuca ze stołów papiery, wytrząsa zawartość teczek. Potem zmiata z półki na podłogę całą stertę zeszytów.

– Coś z tym gościem jest zdecydowanie nie tak – stwierdza Thomas.

– Myślisz? A ty farbujesz włosy, *Thomas* – mówię.

– Wiele osób farbuje włosy.

– No jasne, ale dlaczego ty to robisz?

– 8-Bit się uparł, że powinniśmy się kamuflować. Od czasu do czasu zmieniać wygląd.

Dla bezpieczeństwa.

– Przed kim?

– Lista instytucji, urzędów i firm jest długa. Do tego kilkudziesięciu rozsierdzonych Rosjan mających bezpośrednią wiedzę o naszym udziale w zorganizowanej przestępczości.

Oscar sieje teraz spustoszenie w drugiej części przyczepy, wyciągając kuchenne szuflady i wyrzucając ich zawartość na podłogę. Wydaje się, jakby w ciepłe przyczepy nabierał sił, i nie jestem pewna, czy to pozytywne zjawisko. Zatrzymuje się raptownie, patrzy na swoje stopy i oznajmia:

– Potrzebuję butów. – Podchodzi do Thomasa i patrzy na jego buty, wykrzywiając się paskudnie w uśmiechu. – Nie ten rozmiar, przyjacielu. Masz szczęście, co? – Odwraca się, otwiera drzwi przyczepy i wychodzi na zewnątrz. Zamieć wdziera się do środka.

Rzucam się do drzwi. Oscar chwiejnym krokiem znika z pola widzenia, obchodząc przyczepę.

– Powinniśmy iść za nim? – pytam.

Thomas potrząsa głową i wzdycha, po czym stwierdza:

– Jedynym powodem, dla którego mógłbym pójść za tym świrem, są moje skarpetki, ale nawet one nie są tego warte.

Siada przy swoim komputerze.

– Co robisz? – pytam.

– Sprawdzam, czy mogę się czegoś o nim dowiedzieć.

Staję mu za plecami i patrzę, jak przegląda kartoteki kolejnych pacjentów.

– Mówiłaś, że na którym był piętrze?

– Na czwartym.

– Wygląda na to, że można to przejrzeć po numerze pokoju. Na czwartym piętrze było was tylko troje. Na trzecim sześcioro. Na drugim dwoje. A nie, czekaj. Dwójka z drugiego piętra została wypisana. Jak na garstkę pacjentów to spory ten szpital.

– A ja mam swoją kartotekę?

Z trudem znoszę oczekiwanie. Chciałabym wiedzieć, ale nagle zaczynam się bać, czego mogłabym się dowiedzieć.

– Najpierw sprawdzmy, czy zdołamy się dowiedzieć czegoś o tej barwnej postaci – mówi Thomas. Otwiera folder i na ekranie pojawia się zdjęcie. – Nie, to na pewno nie on.

– Widziałam tego chłopaka w szpitalu. Przywaliała go belka stropu.

– Au.

– Był w śpiączce. Na pewno nic nie czuł.

Thomas otwiera kolejny folder. Pojawia się zdjęcie Jori. Wzdrygam się. Oteźpiałą, pozbawioną życia twarz otacza burza platynowych włosów. Jej zdjęcie to coś pomiędzy fatalną fotografią do szkolnej kroniki a jeszcze gorszą do policyjnej kartoteki.

Zawartość jej dokumentacji czytamy jednocześnie: „Jori Elyse Harris. Lat 16. Pacjentka przysłana przez oddział psychiatryczny z Kansas City. Znakomita kandydatka. Fizycznie zdrowa kobieta. Nienotowana do momentu spowodowania wypadku, za który została skazana na karę więzienia...”.

– Spowodowała wypadek? Ciekawe, o co może chodzić – zastanawia się Thomas.

Czytamy dalej.

– O rany – mówi Thomas po chwili. – Zabiła swoich rodziców.

– No owszem – stwierdzam – po tym, jak ojciec molestował ją i jej młodszą siostrę, a Jori zaszła w ciążę. Matka była alkoholiczką. Wysłała ją na ulicę, kiedy Jori miała dwanaście lat. Zamknij to. Więcej już naprawdę nie muszę wiedzieć.

Przeglądamy dokumentację chłopaka w śpiączce: „William Eggers. Lat 15. Jako jedyny przeżył pożar, w którym zginęła reszta jego rodziny. Sam podłożył ogień”.

Znajdujemy kartoteki trójki innych dzieciaków. Wszystkie zostały wypisane. Jedno z nich opisywane jest jako „częściowy sukces”, a pozostała dwójka jako „terapia zakończona niepowodzeniem”.

I wtedy go znajdujemy: „Oscar Ruiz Noriega. Pseudonim w środowisku: O Nie”.

– Słodkie – mówi Thomas. – Myślę, że świetnie do niego pasuje.

Razem przeglądamy dokumenty. Oscar był ewidentnym bandziorem. Sześciokrotnie oskarżony o napaść i pobicie. Jakiemuś dzieciakowi rozwalił czaszkę kantówką.

– O rany. Gołymi rękami zabił kolesia, który spał z nim w pokoju w poprawczaku. Został osądzony jako dorosły i skazany na trzydzieści lat – mówi Thomas. – Na jego kartotece jest napisane „eksperyment”. Wygląda na to, że koleżka jest zawodnikiem rozgrywającym w szkolnej reprezentacji psychopatów. Miłe miałaś towarzystwo na tym czwartym piętrze.

Biorę głęboki wdech i czuję przechodzący mnie zimny dreszcz, ale tym razem nie ma to nic wspólnego z temperaturą. Siadam na kanapie, zdejmuję czapkę i zaczynam obracać ją w rękach.

– Przestań – mówię.

- Dlaczego?
- Nie widzisz tu pewnego trendu?
- Co masz na myśli?
- Powiedziałeś, że krążyły plotki, że próbowałam kogoś zabić. Może to prawda. Może znalazłam się tutaj dlatego, że mi się udało.

Rozdział 16.

Thomas klęka przede mną i wyjmuję mi z ręki czapkę, którą bezmyślnie miętoszę.
– Coś ci powiem. A ty musisz uwierzyć, że wiem, o czym mówię. Jesteś niewinna.
– Skąd możesz to wiedzieć? Popatrz na tę dokumentację. Wszyscy z czwartego piętra byli mordercami! Ja też mogę być morderczynią!

Zasłania mi usta dłonią.

– Ciii. Właśnie dlatego musisz mi zaufać. A teraz popatrz na mnie.

Podnoszę wzrok, ale prawie natychmiast go odwracam. Gotuję się ze wstydu i lęku.

– Wiem, jak wygląda człowiek, który ma coś na sumieniu. A ty tak nie wyglądasz.

Zaczynam coś odpowiadać, ale znów zakrywa mi usta dłonią.

– Czy jestem inteligentnym koleśkiem?

Kiwam głową.

– Jestem – potwierdza i odsuwa rękę od moich ust.

– Czytałeś moją kartotekę? Jesteś pewien?

Jeszcze raz zakrywa mi usta dłonią.

– Nie masz kartoteki.

Chwytam go za rękę i odsuwam ją od twarzy.

– Skąd...

– Sprawdziłem to, jak spałaś.

– Bałeś się mnie.

– Może trochę – przyznaje, uśmiechając się.

– Nie mam ci za złe.

– Wiem tylko, że w całym ośrodku była tylko jedna pacjentka o imieniu Sara i jej kartoteka została usunięta przez użytkownika LLLadner58.

– Larry?

– Możliwe. Kimkolwiek był, zadał sobie trud usunięcia plików z pamięci długoterminowej i zapasowej.

– To niczego nie dowodzi.

– Jasne. Ja mogę się mylić, a ty możesz się okazać najgorszą masową morderczynią w historii masowych mordów, ale jakoś mi się nie wydaje. A jeśli to rzeczywiście Larry ci pomógł, to najwyraźniej on również tak nie sądzi, inaczej by cię tu teraz nie było. Lepiej ci od tego?

Kiwam głową, na którą Thomas z powrotem wkłada mi czapkę. Drzwi przyczepy otwierają się nagle gwałtownie. Oboje podskakujemy.

Podchodzę do drzwi i wyglądam na zewnątrz. Śnieg wpada do środka i roztapia mi się na policzkach. Nikogo nie widzę. Wiatr zmienił kierunek i teraz oboje słyszymy dobiegający z oddali dźwięk silników.

– Thomas! Światło!

Podbiega zamknąć laptop i wyłączyć lampkę na biurku. Zamykam drzwi na zasuwkę i przebiegam na drugą stronę przyczepy. Podnoszę rolety i wyglądam na zewnątrz, ale wszędzie zalega kompletna ciemność.

Thomas wygląda przez okno po drugiej stronie przyczepy.

– Ratraki. Dwa.

– Jadą w stronę budynku czy w przeciwną? – pytam.

– Chyba się od niego oddalają.

– W kierunku ogrodzenia?
– Tak.
– Może nie zauważą skutera.
– Oczywiście, że zauważą. A kiedy już zauważą, domyślą się, że ktoś tu węszy. Musimy się zbierać.

Przyczepa kołysze się w porywach wiatru. Zimne powietrze wpada do środka przez szpary w ścianach i ciągnie od podłogi. Thomas jest po jednej stronie ciemności, ja po drugiej. Idę za jego głosem, po czym opadam na kolana, próbując wymacać swój płaszcz i żałując, że w ogóle go zdjęłam.

W ciemnościach wpadam na Thomasa, który również szuka czegoś na podłodze. Próbuję wymacać wokół siebie gwoździarkę, ale bez skutku. Palce trafiają na coś miękkiego.

– Twoja czapka – mówię.
Wstajemy w tym samym momencie, żadne z nas nie puszcza czapki.
Słyszę, że ktoś szarpie za klamkę. Thomas zirytowany wypuszcza powietrze.
– Kto to może być o tej porze? – zastanawia się.
– Może Oscar w końcu się zorientował, że na zewnątrz jest dość zimno? – stwierdzam, podchodząc do drzwi przyczepy.
– Nie wpuszczaj go! Zwariowałaś?
– Ale jak go zobaczą, zainteresują się, co tu robi.
Thomas jęczy.
– Chyba masz rację.

Odblokowuję drzwi, które natychmiast otwierają się na oścież. Ktoś chwyta mnie za kombinezon i wyciąga na śnieg.

Uderzam potylicą w zamrażniętą ziemię i widzę błyskające w ciemnościach światła, a potem powidoki wypalonych gwiazd. Próbuję przewrócić się na bok, ale napastnik siada mi na plecach, przyciskając mi nogami ręce do boków. Kiedy próbuję wstać, zdziela mnie w twarz rękawiczką pokrytą ostrymi drobinkami lodu. Właśnie ma coś powiedzieć do krótkofalówki przypiętej do kołnierza, gdy nagle traci równowagę. Ruch atakującego jest tak szybki, że niemal nieuchwytny.

Widzę jasnożółte światło i słyszę, że ktoś ryczy. To Oscar. Tak szybko i mocno okłada żołnierza pięściami, że twarz tego ostatniego musi pod gradem ciosów rozpadać się jak mokry papier. Oscar składa ręce razem i zaczyna naciskać klatkę piersiową żołnierza, jakby przeprowadzał ultrabrutalną resuscytację krążeniowo-oddechową. Żołnierz wyrzuca obie nogi w powietrze, ale Oscar przytrzymuje go nogami i nie przestaje uciskać. Słyszę trzaśnięcie. Myślę, że to jedno z żeber żołnierza. Oscar odpuszcza – może uznaje, że żołnierz jest już unieszkodliwiony – ale mężczyzna przetacza się na bok i próbuje dosięgnąć broni. Oscar odbiera mu karabin i przez chwilę stara się zorientować, jak się nim posłużyć. Naciska spust, ale nic się nie dzieje. Żołnierzowi udaje się uchwycić koniec lufy i ją pociągnąć. Widzę, że facet ma przymocowany do ręki, tuż powyżej nadgarstka, jakiś wyświetlacz.

Oscar kopie żołnierza w twarz i wyszarpuje mu karabin, który ciska daleko w ciemność jak bumerang. Nie wiem, gdzie wylądował, ale słyszę brzęk metalu.

Podnoszę wzrok na przyczepę i widzę, że Thomas patrzy na to samo.
Muszę sprawdzić, gdzie wylądowała broń.
– Włącz światła!

Thomas jest zdezorientowany, ale posłusznie włącza. Światło z wnętrza przyczepy rozjaśnia niewielki skrawek terenu i teraz widzę, że przyczepę dzieli od krawędzi wykopu jakieś pięć metrów. Między przyczepą a wykopem stoi szereg przesł ogrodzenia z siatki. Nie są

wkopane w ziemię. Słupki są zatopione w betonowych stopach – być może po to, żeby ogrodzenie można było przestawiać.

Teraz wszyscy widzimy, gdzie wylądowała strzelba. Wisi, zaczepiona za pasek, na jednym z przęseł ogrodzenia. Żołnierz z trudem chwyta powietrze, ale biegnie w jej stronę. Oscar nie rusza się z miejsca, przykucnięty w śniegu, a jego ciemne oczy lśnią. Żołnierz dociera do ogrodzenia i próbuje zdjąć z niego karabin, ale nie udaje mu się odczepić paska.

Oscar patrzy na mnie przez ramię i uśmiecha się z takim wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć: „No to teraz patrz”.

Rzuca się do biegu niczym sprinter i pędem dopada ogrodzenia. W chwili, w której żołnierzowi udaje się odplątać karabin, Oscar spada mu na plecy, popychając go głową na płot. Obaj lądują na ziemi. W wyniku siły uderzenia żołnierz musiał stracić przytomność albo przynajmniej orientację, bo prawie nie walczy, kiedy Oscar chwyta go za poły kurtki i ciągnie nad krawędź wykopu.

– Oscar, nie!

Za późno. Oscar kładzie żołnierza tuż przy krawędzi wykopu i kopnięciem spycha go w dół. Podbiegam do niego i wbijam wzrok w czarną, ziejącą czeluść. Słyszę już tylko zawodzenie wiatru. Z dołu nie dobiega żaden dźwięk.

Oscar macha uroczo ku przepaści.

– *Adiós.*

Cofam się o kilka kroków. Widzę, że Oscar znalazł sobie jakieś buty – parę kaloszy. Zaśmiewa się histerycznie, klepiąc mnie po plecach i wskazując dno wykopu.

I wtedy słyszymy czyjaś rozmowę i jakby nawoływanie, a potem pisk jakiegoś urządzenia. Żołnierz miał przyczepioną do kołnierza krótkofalówkę, ale podczas szamotaniny musiała się odczepić.

– Halo! – mówi męski głos. – Ej, Simmons, gdzie jesteś? Zgłoś się!

Grzebię w śniegu, próbując znaleźć krótkofalówkę. Kiedy człowiek po drugiej stronie znów się odzywa, znajduję ją tuż obok plecaka żołnierza. Strzepuję śnieg z plecaka i naciskam przycisk nadawania. Słyszę szumy, a potem pisk.

– To ty? Gdzie jesteś? Tutaj można znaleźć najwyżej odmrożenia – znów odzywa się głos w krótkofalówce.

– Idź z powrotem do przyczepy. Wyłącz wszystkie światła. Rusz się! – mówię do Oscara. Uśmiecha się do mnie i odpowiada:

– Jasne, skarbie, jasne. Jak sobie życzysz.

Nie przestając się zaśmiewać, niespiesznie rusza w stronę przyczepy. Kiedy wchodzi do środka, naciskam przycisk krótkofalówki, żeby coś powiedzieć. Światła gasną. Nagle obok mnie materializuje się Thomas.

– Na pewno nie zostanę w przyczepie sam z tym koleśkiem.

Znów się odzywa człowiek po drugiej stronie:

– Simmons, człowieku, co się tam u ciebie dzieje?

Naciskam przycisk i mówię:

– Simmons nie żyje.

Thomas syczy mi do ucha:

– Aniele! Co ty wyprawiasz?

Próbuje odebrać mi radio, ale strzepuję jego rękę i mówię do niego:

– Bierz jego plecak! Teraz twoja kolej, żeby mi zaufać.

Thomas podrywa plecak z ziemi.

– Nie żyje – powtarzam do mikrofonu. – Nie... nie wiem, co się stało. Upadł. Wpadł do

wykopu.

– Lepiej dla ciebie, żeby to nie była prawda. Dorwę cię!

Thomas jest teraz naprawdę przerażony, ale cofa się, kiedy ponownie naciskam przycisk nadawania.

– Przykro mi. To był wypadek. Poważnie.

– Gdzie jesteś?

– Nie rób mi krzywdy. – Staram się, by mój głos przypominał głos Jori. Zapewne często wypowiadała te słowa. A świat równie często je ignorował. – Nie wiedziałam. Nie chciałam tego zrobić.

Głos mężczyzny nieco łagodnieje, gdy mówi:

– No dobra. W porządku. Jestem pewien, że to był wypadek. Powiedz mi tylko, gdzie jesteś.

Pokazuję Thomasowi, żeby za mną szedł, i cofamy się do miejsca, w którym ułożyliśmy Jori. Pokrywa ją już kilka centymetrów śniegu. Zmiatam z niej cienką warstewkę puchu, wstrząśnięta tym, jak bardzo przypomina małe dziecko.

– Pomóż mi przenieść ją bliżej ogrodzenia – mówię do Thomasa.

Kiedy ją podnosimy, cieniutka szpitalna koszula zsuwa się jej aż do pasa. Szepczę cicho i nieprzerwanie:

– Przepraszam cię. Przepraszam cię za wszystko.

Po minucie odzywa się głos żołnierza:

– Jesteś tam?

Naciskam przycisk i odpowiadam:

– Tak. Chcę tylko wrócić do środka. Tak mi zimno.

– Mogę ci pomóc. Powiedz mi, co wokół siebie widzisz. Znajdę cię.

Opieram ciało Jori o ogrodzenie otaczające wykop. Od przyczepy dzieli nas teraz dobre pięćdziesiąt metrów. Mówię do nadajnika:

– Siedzę koło jakiejś wielkiej maszyny. Jest pomarańczowa i ma takie wielkie wiertło.

– Chyba wiem, gdzie jesteś – mówi. – Będę tam dosłownie za chwilę. Nie ruszaj się.

Thomas i ja szybko kryjemy się w cieniu. Mija kilka minut. Nagle rozlega się strzał, który trafia Jori w pierś i podrywa jej ciało w powietrze.

Thomas szepcze:

– A ja sądziłem, że jestem sprytny. Jesteś genialna. Z dziurami w głowie czy bez.

Nie czuję się jak geniusz. Robi mi się niedobrze, kiedy patrzę, jak żołnierz podchodzi do Jori i kopie ją czubkiem buta. Ciało Jori przewraca się na bok.

Żołnierz odzywa się do swojego nadajnika:

– Simmons nie żyje.

W odbiorniku odzywa się głos, który słyszałam już wcześniej:

– Weź jego komputer i plecak i wracaj tutaj.

– Nie mogę. Nie widzę tu ani jednego, ani drugiego. Ta mała wariatka zepchnęła go do wykopu.

Mechaniczny głos po drugiej stronie mówi:

– To musisz je znaleźć, zanim się stąd zabierzemy.

– Zrozumiałem.

Żołnierz ostatni raz omiata wzrokiem teren wokół siebie i rusza z powrotem w kierunku ośrodka. Thomas szepcze:

– O jakim komputerze on może mówić?

– Facet miał coś przymocowane do ręki. Tutaj – mówię, pokazując właściwe miejsce na

przedramieniu. – Jak myślisz, co to mogło być?

Thomas mruży oczy.

– Nie jestem pewien. Ale skoro tak bardzo chcą to odzyskać, to tym bardziej chciałbym się dowiedzieć.

Rozdział 17.

Godzinę później, po wygrzebaniu ze śmietnika odpowiedniej liny i wielu próbach zawiązania właściwego węzła, Thomas staje na krawędzi wykopu – śmiertelnie przerażony, ale gotów do spuszczenia się na dno. Wyjaśniam mu, że moje doświadczenia ze wspinaczką bez asekuracji ograniczały się do budynków i innych konstrukcji budowlanych. Gigantyczne mroczne doły podczas zamieci? Nigdy nic podobnego nie robiłam.

– Tylko powoli – mówi Thomas. – I pamiętajcie: jak mnie puścicie, zabiję was oboje. Oscar zerka na niego kątem oka i mówi:

– Trzymam cię.

Mam wrażenie, że Oscar tym ciepiej odnosi się do Thomasa, im bardziej Thomas robi się zrzędlivy. Jakby jego rozdrażnienie go bawiło.

Wymieniamy z Thomasem przerażone spojrzenia. Oscarem nadal wstrząsa od czasu do czasu psychotyczna śmiechawka, co trochę nas niepokoi, bo za każdym razem, gdy zaczyna się śmiać, nieco rozluźnia chwyt. Oboje jednak zdajemy sobie sprawę, że potrzebują pomocy Oscara. Nie sądzę, by udało mi się samodzielnie opuścić Thomasa na dół.

– No to jedziemy – mówi Thomas, ustawiając się na krawędzi wykopu i odchylając się w tył. Czuję, jak lina się napina, kiedy Thomas zaczyna się spuszczać na dół.

Thomas przejrzał leżące w przyczepie rysunki i ustalił, że wykop ma głębokość około piętnastu metrów. Nie wiemy tylko, jak daleko zaszła budowa i na jaką wysokość sięga beton wylany na potrzeby tego podziemnego bunkra – niezależnie od tego, do czego miałby on służyć.

Czuję, że lina buja się nieco w tył i w przód. Patrzę na Oscara, który przełożył sobie linę za plecami i trzyma ją po obu stronach na wysokości bioder. Wziął na siebie większość pracy i naprawdę, abstrahując od faktu, że jest bezlitosnym zabójcą, trudno byłoby sobie wymarzyć lepszego pomocnika.

Lina na moment się rozluźnia, a po chwili znów napina. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Kiedy już wchodzę w rytm opuszczania Thomasa na dół, na linie pojawia się luz. Czekam, aż znów napnie się pod jego ciężarem, ale tak się nie dzieje. Sekundy ciągną się w nieskończoność. Przecież nie dotarł jeszcze nawet do połowy.

– Thomas! – wołam, starając się nie wrzeszczeć. Nie mam pojęcia, kto jeszcze może się tutaj kręcić, ale ciężko jest krzyczeć cichym głosem. – Thomas? Słyszysz mnie?

Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę odpowiada mi tylko cisza. Wreszcie dobiega mnie głos Thomasa:

– Wylądowałem mu dokładnie na plecach. Jesteśmy na czymś w rodzaju rusztowania. Poczekajcie.

Dwie minuty później woła, żeby go wyciągnąć. Oscar, nie tracąc czasu, wyciąga go jak wiadro ze studni, kolejnymi silnymi pociągnięciami. Po chwili widzimy światło czołówki Thomasa, a sekundę później nad krawędzią wykopu pojawia się jego głowa. Oscar wydaje krótki okrzyk triumfu.

I puszcza linę.

Odchodzi, śmiejąc się sam do siebie, z głową przekrzywioną na bok w ten dziwaczny sposób, a na twarzy igra mu złośliwa radość.

Zostaję z liną w rękach, nieprzygotowana na raptowne przejęcie ciężaru Thomasa. Nieoczekiwane szarpnięcie zwala mnie z nóg. Thomas łapie przewrócone przesło ogrodzenia i zawisa na nim. I wtedy całe przesło zaczyna powoli sunąć w stronę wykopu.

Odpycham się łokciem naprzód i chwytam ogrodzenie, nie puszczając liny, ale to nie

wystarczy, by zrównoważyć siłę grawitacji ciągnącą Thomasa nieubłaganie w dół. Podczołguję się do ogrodzenia, sądząc, że mój ciężar zdoła je zakotwiczyć w miejscu, ale kiedy Thomas usiłuje się podciągać, ogrodzenie zaczyna się zsuwać z nami obojgiem.

Za chwilę przelecimy przez krawędź. Nic nie mogę zrobić. Ogrodzenie wystrzela naprzód i nabiera rozpędu, a ja leżę na nim, kompletnie zmartwiała, wpatrując się w pustkę.

Przez głowę przelatują mi dwie myśli naraz: *zaraz zginę i zrób coś*.

Nie mam pojęcia, ile to trwa, ale nawet kiedy już przechylam się naprzód, mając za moment runąć do wykopu, zdążam jeszcze się zastanowić, czy powinnam przytrzymać się płotu, czy puścić. Chwytam siatkę palcami, a ogrodzenie nagle się zatrzymuje.

Wystaje teraz ponad krawędź wykopu jak trampolina i chwieje się lekko. Wstrzymuję oddech, dopóki nie przestaje się bujać. Śnieg smaga mnie po twarzy, a poryw wiatru wytrąca z równowagi. Pochylam się do przodu, z palcami przymarzniętymi do metalu. Próbuję centymetr po centymetrze się wycofać, ale kiedy przesuwam lekko środek ciężkości, krata jeszcze raz przechyla się naprzód, tym razem dalej niż poprzednio.

Nagle z powrotem pewnie opiera się o grunt.

– Nie bój się – mówi Thomas. – Trzymam cię.

Najwyraźniej udało mu się wdrapać na zsuwające się ogrodzenie, jakby wchodził do góry po ruchomych schodach jadących w dół.

– Aniele. Musisz wrócić. No dawaj. Po trochu.

Metal wygina się pod ciężarem mojego ciała, głowa i ramiona wiszą w powietrzu. Nie mogę się ruszyć. Dopiero kolejne ponaglenie Thomasa przywraca mi panowanie nad ciałem.

– Trzymam cię przecież. No dalej, Aniele.

Powoli wyczołguję się tyłem, a im bliżej jestem twardego gruntu, tym bardziej się trzęsę. W końcu czuję, że czubkami butów szoruję po ziemi. Otaczają mnie silne ramiona i Thomas ściąga mnie do końca z kraty.

Kiedy tylko z niej schodzę, krata spada w ziejącą pod nami czeluść, lądując kilka sekund później z brzękiem na dnie. Siadamy na ziemi, dysząc ciężko.

– Już dobrze. Jesteśmy bezpieczni.

Patrzę przez ramię na Oscara, który właśnie boksuje się z jakimś wymyślnym przeciwnikiem. Truchcikiem obiega niewidoczny ring, zwycięsko unosząc ręce jakby w odpowiedzi na wiwaty tłumnie zgromadzonej widowni. Odbiega w ciemność. Wstaję, ale nie zadaję sobie trudu, by go gonić.

– Nie usprawiedliwiam go – mówię – ale mam wrażenie, że on całkiem stracił kontakt z rzeczywistością. Chyba nie zdaje sobie sprawy ze swojej podłości.

Thomas pełźnie metr czy dwa, jakby nie chciał tracić kontaktu z twardym gruntem. Znam to uczucie. Podarł sobie kurtkę i teraz pierze zaczyna wyłazić. Trzyma w ręku czarny prostokąt z dwoma przymocowanymi do niego paskami. Zwycięsko podnosi mały komputer w górę.

– Przynajmniej go mam.

– Ale co to jest?

– Zapewne efekt badań o wartości przekraczającej sto milionów dolarów. Chodź, zobaczymy, co potrafi.

Wracamy do przyczepy. Nowa zabawka zaprzęta Thomasa bez reszty, więc proponuje mi skorzystanie ze swojego laptopa. W przyczepie znów panuje lodowate zimno, a prawie wyczerpane akumulatory nie pozwalają uruchomić grzejnika. Nasze oddechy skraplają się w powietrzu w gęste obłoczki. Pochylam się nad laptopem i zaczynam gorączkowo czytać. Chcę wiedzieć, ale boję się poznać prawdę. Przewijam kolejne strony raportów i notatek dotyczących projektu Tabula Rasa. Najdziwniejsze są fragmenty dotyczące skutków ubocznych. Całe to

leczenie jest jednym wielkim skutkiem ubocznym dotykającym wszystkich możliwych obszarów. Wygląda na to, że po zabiegach każdy pacjent miał inne objawy: od „skrajnej apatii i skłonności samobójczych” po „przejawy skrajnej brutalności połączone z utratą kontroli nad zachowaniem i z brakiem empatii”.

Wiem, że to wszystko może stać się moim udziałem, jeśli nie uda mi się zdobyć ostatniej tabletki, ale nie chcę poznawać już żadnych dalszych szczegółów medycznych. Przechodzę do pliku o nazwie „Granty i finansowanie”, uznając go za potencjalnie nieszkodliwy. Znajduję korespondencję mailową doktora Buckleya i jakiegoś faceta pracującego w Narodowych Instytutach Zdrowia. Od razu w pierwszym wierszu pierwszej wiadomości czytam: „Ze skutkiem natychmiastowym...”.

– Rząd zamknął ten projekt!

Thomas prawie nie reaguje.

– Projekt zamknięty. Zachowaj tę myśl na później – mówi. – Zorientowałem się właśnie, że ten minitablet jest podłączony do ich głównego serwera.

– Sądziłam, że unieszkodliwiłeś ich serwery.

– Unieszkodliwiłem serwery szpitala. Ale to cudeńko – potrząsa tabletem – łączy się z przenośnym superkomputerem tych żołnierzy. To ultranowoczesna technologia. Ten przenośny superkomputer jest w stanie przechwycić każdy funkcjonujący w tym ośrodku system.

– Jak to możliwe?

– Wymazuje sygnał i zastępuje go silniejszym. Jest w stanie przejąć kontrolę nawet nad połączeniami przewodowymi. Pojawiają się, uruchamiają tego pasożyta i to, co było kiedyś twoim serwerem, staje się ich serwerem. Co jednak istotniejsze, to, co było kiedyś twoim systemem bezpieczeństwa, staje się ich systemem bezpieczeństwa.

Wstaję i zerkam ponad jego ramieniem.

– Popatrz na to. – Wskazuje grupę czerwonych kropek na ekranie. Wszystkie się poruszają.

– Co to jest?

– To jest mapa tego ośrodka, budynków i otaczających je terenów. Każda kropka to jeden żołnierz.

Przewija kilka stron i widzę teraz, że niektóre kropki znajdują się wewnątrz budynku, a inne kręcą się wokół. Wyświetla po kolei każde piętro szpitala.

– Cholera – mówi.

– Co?

– Naliczyłem trzynaście uzbrojonych kropek.

Serce mi staje.

– Jak na uzbrojone kropki to całkiem sporo.

– Owszem, ale dowiadujemy się dzięki temu czegoś istotnego. Czekaj. Popatrz na to. – Jeszcze raz puka w ekran i tym razem widzę zrujnowany główny hol.

Śnieg wpada do środka przez okna i gromadzi się w postaci zasp w pobliżu drzwi wejściowych. Obok donic z palmami ułożyli stos ciał.

– Masz dostęp do kamer monitoringu?

– A i owszem. No to wróćmy do szukania tych tabletek. Nie udało mi się znaleźć zamykanej szafki z lekami. Nie ma jej w każdym razie na mapie. Jak myślisz, gdzie mogliby trzymać taką supertajną rzecz? Pamiętasz taką część szpitala, do której nie można było wchodzić?

– Właściwie nigdzie nie można było wchodzić.

– Chodzi mi o to, czy przypominasz sobie, by personel wspominał na przykład o piętrach

szpitala, które z jakiegoś względu były szczególne.

– Szóste piętro – mówię odruchowo. – To tam znajdowało się biuro Larry’ego. Tam chyba były gabinety wszystkich lekarzy. Pamiętam, że kiedyś pielęgniarki rozmawiały o tym, że aby tam wejść, trzeba mieć specjalne zezwolenie.

– Szóste piętro – powtarza. – No dobra. Od niego zaczniemy. Ale najpierw musimy się dostać do środka.

– Poczekaj. Co możemy wywnioskować z obecności na ekranie trzynastu kropek?

– Co?

– Powiedziałeś, że liczba tych kropek mówi nam coś istotnego?

– A tak. No cóż, można zakładać, że ci goście wiedzą, co robią, a skoro 8-Bit pomógł im obczaić ten lokal elektronicznie, musieli uznać, że do zorganizowania najazdu na ten wielki szpital wystarczy im trzynastu ludzi.

– Czternastu – poprawiam go.

– No tak. Oscar jednego zlikwidował. Mimo wszystko to niewielka siła rażenia jak na tak duży ośrodek.

– Może wiedzieli, że ludzie będą opuszczać ośrodek z powodu burzy.

– Nie wiedzieli. Wiedzieli, że pogoda się popsuje, ale nie sądzę, by ktokolwiek podejrzewał, że do tego stopnia się załamię.

– Dowodzi to zatem, że była nas tutaj zaledwie garstka.

– Tak, ale dzieje się tutaj coś dziwnego. Dość elegancki ten szpital, biorąc pod uwagę, że cały ten teren miał zostać opuszczony.

Wstaje i podchodzi do grzejnika.

– Teraz nie ma już sensu oszczędzać energii.

Nastawia go na pełną moc i opływa mnie fala ciepła.

– Co jeszcze znalazłeś w tym plecaku? – pytam.

– Mnóstwo dobra. Nie mam pojęcia, co to wszystko robi, ale przynajmniej część służy do wysadzania w powietrze. – Szybko rozciera dłonie, a potem mówi: – A teraz coś zrobisz. Zaufasz mi?

– Pomyślę o tym.

Naciska przycisk i widzę na ekranie, że uruchamia się system alarmowy na pierwszym piętrze. Na zdobytym tablecie obserwujemy, jak w tamtą stronę zaczyna się przemieszczać grupa czerwonych kropek.

Thomas wyłącza alarm.

A potem włącza go z powrotem.

Czeka około trzydziestu sekund i robi to jeszcze raz. Mija kolejne pięć minut i nagle światło w całym skrzydle gaśnie.

– Co się stało? – pytam.

Unosi palec w górę i wskazuje na tablet. Powoli czerwone kropki zaczynają wracać do głównego holu.

– Wzbudziłeś w nich przekonanie, że system szwankuje. Włącza się i wyłącza bez powodu – domyślam się.

– Dokładnie.

– Więc wyłączyli zasilanie w całej tej części, żeby alarm nie denerwował ich niepotrzebnie. Jesteś genialny.

– Denerwująco genialny. Od dziś to moje credo. – Wskazuje palcem na ekran. – Powinniśmy się kierować do tych drzwi. Myślę, że teraz są otwarte, więc nie musimy ich otwierać za pomocą karty magnetycznej. A poza tym jeśli uruchomimy jakiś alarm, uznają, że to

pewnie znowu awaria systemu bezpieczeństwa.

Zaczynamy pakować rzeczy, kiedy nagle zastygam.

– Oscar. Co z nim zrobimy?

– Jeśli o mnie chodzi, to niech ten świr liczy na siebie, zwłaszcza po tej przezabawnej próbie skręcenia mi karku.

– Nie zrobił tego celowo.

– Bronisz go? Ciebie też prawie zabił.

– Wiem, ale przeczytałam trochę raportów personelu medycznego na temat obserwowanych skutków ubocznych. Oscar nie wie, co jest prawdziwe, a co dzieje się tylko w jego głowie.

– No cóż. Mam nadzieję, że wkrótce mu to minie, bo inaczej jego fantazje zrobią z nas krwawą miazgę.

Pomruk silnika każe nam odwrócić się ku drzwiom.

– Może ratraki wróciły – mówi Thomas.

Warkot silnika przybiera na sile, aż w końcu brzmi tak, jakby jego źródło stało tuż pod przyczepą. Bo i tak jest. Cała przyczepa się trzęsie. Światła reflektorów wdzierają się przez okna i oboje zastygamy jak jelenie czekające na strzał.

Rozdział 18.

Thomas chwytam mnie za rękę, łapie tablet i rzuca się do drzwi, ale udaje nam się zrobić zaledwie kilka kroków, gdy cała przyczepa zaczyna się kołysać. Łądujemy na podłodze i ześlizgujemy się najpierw pod jedną, a później pod drugą ścianę. Meble – łącznie z ciężkim dębowym biurkiem i spadającymi ze ścian obrazkami w ramach – ześlizgują się razem z nami. Słyszę brzęk tłuczonego szkła, jęk wyginanego metalu i chrzęst, który wydaje się dobiegać z dachu. Thomasowi udaje się chwycić ześlizgujący się z biurka laptop w chwili, w której biurko uderza o ścianę, a mnie w ostatnim momencie udaje się uniknąć przyciśnięcia przez skórzaną kanapę.

– Może moja mała sztuczka z systemem bezpieczeństwa wcale tak dobrze nie zadziałała – mówi, uchylając się przed lecącym w jego stronę krzesłem.

Przyczepa łapie pion i na chwilę przestaje się kołysać. Podczołguję się do okna, spodziewając się widoku ratraka, ale widzę coś, co tylko odrobinę mnie uspokaja. Za sterami koparki siedzi Oscar. Wielką łychę przepycha przyczepę, jakby próbował zrzucić ją z podpór czy na czym tam ona właściwie stoi.

Patrzę, jak odwodzi ramię koparki maksymalnie w lewą stronę. Zdążam już tylko przeczołgać się na tył, zanim zęby łyżki koparki odrywają końcówkę przyczepy, jakby otwierały pudełko z płatkami śniadaniowymi.

– Chodź! – Łapię Thomasa za ramię i pociągam go w stronę drzwi przyczepy. – To Oscar!

W tym właśnie momencie coś roztrzaskuje dach przyczepy, rozwalając biurko w drzazgi. Laptop zlatuje na podłogę; w chwili upadku odpada ekran.

– Co on wyprawia?!

Przetaczamy się pod przeciwległą ścianę, gdy przyczepa przechyla się tak bardzo na lewo, że nabieram pewności, iż za moment przewróci się na bok. Przynajmniej mielibyśmy niedaleko do ziemi. Chyba jednak Oscar nie taki ma plan, bo pozwala, by przyczepa znów stanęła pionowo. Dociera do mnie, że on chce zepchnąć to wszystko do wykopu.

Kiedy dobiegam do drzwi, Thomas wyrывa mi się z uścisku. Wyciąga rękę, by dosięgnąć komputera, który wylądował na podłodze obok minilodówki. Przez otwór w dachu widzę Oscara, który przymierza się do wymierzenia kolejnego ciosu prosto w przyczepę.

– Thomas, nie!

– Potrzebuję tego pendrive’a!

Rozpłascza się na podłodze, koniuszkami palców dosięgając pendrive’a. Drugą ręką chwytam pasek zdobycznego plecaka i pociągam go do siebie. Oscar opuszcza ramię koparki. Coś w mojej głowie wrzeszczy do Thomasa, by się cofnął, ale usta nie mają nawet czasu złożyć się do wypowiedzenia słów. Thomas próbuje wstać, ale nie może podnieść się z kolan, bo przyczepa zapadła się do środka i spadła z podpór. Zsuwa się ku końcowi zniszczonemu przez Oscara. Nie uda mu się wyjść. Zęby łyżki koparki rozetną go na pół.

Sięgam przez drzwi i łapię go za kurtkę w chwili, w której łyżka rozwała resztki sufitu. Krzyczy z bólu i przez moment mam wrażenie, że został zmiażdżony, ale sekundę później widzę, co się stało. łyżka nie trafiła Thomasa, ale przytrzasnęła mu lewą nogę kawałkiem metalu z dachu. Zanim będę mogła wyciągnąć Thomasa, muszę poczekać, aż Oscar uniesie łyżkę.

Oscar próbuje opanować drążki sterownicze koparki. Chwilę później ramię się unosi, a mnie udaje się odgiąć metal, który uwięził Thomasa, i wyciągnąć go za drzwi. Oboje lądujemy ciężko na zmrożonej ziemi i Thomas wyje. But ma przecięty od góry do dołu. Rana sięga od

kolana do kostki, ciągnąc się niemal prostą linią wzdłuż kości piszczelowej.

Oscar patrzy prosto na mnie. Ma niewinne spojrzenie dziecka bawiącego się w piaskownicy. Unosi ramię koparki i opuszcza je na przenośną toaletę, kompletnie ją roztrzaskując. Śmieje się, kiedy cuchnąca breja rozlewa się po ziemi i spływa do wykopu.

Muszę znaleźć jakiś sposób na wyciągnięcie stąd Thomasa, który nie może nawet stanąć. Chwytam plastikową przegrodę przenośnej toalety i wyciągam linę, której wcześniej używaliśmy. Po przeciągnięciu jej przez wywietrznik na górze turlam Thomasa na te pospiesznie zmontowane sanie i wyciągam go poza zasięg łyżki. Na każdym wyboju krzyczy z bólu.

Wiatr się wzmaga, chłozząc moją nagą czaszkę. W szamotaninie, próbując wydostać się z przyczepy, zgubiłam czapkę i rękawiczki. Zgubiłam też plecak Thomasa, ale on sam nie wypuścił z rąk plecaka żołnierza. Tak mocno ściska w dłoni pendrive, że zaczynam się obawiać, czy go nie zgniecie.

Kompletnie straciłam orientację. Podnoszę wzrok na szpital. Przedemną w długiej ścianie rozciąga się rząd niezliczonych okien, znajdujących się zbyt wysoko, by do nich sięgnąć. Równie dobrze moglibyśmy próbować włamać się do więzienia.

– Thomas, dokąd teraz?

Wskazuje wielką pryzmę ziemi obok wykopu.

– Na drugą stronę?

Kiwa głową.

No jasne. Nie ma szans, żebym go wciągnęła na górę i przeciągnęła przez ten zwał, ale mimo wszystko zaczynam się wspinać. Po każdym kroku kompletnie opadam z sił, uznaję, że to bezcelowe, po czym ponawiam próbę. Nie otwieram oczu, żeby nie musieć bezustannie oceniać, ile drogi zostało mi jeszcze do pokonania.

Mam wrażenie, że wspinam się przez co najmniej godzinę, lecz wreszcie czuję powiew uderzającego mnie w twarz wiatru. Otwieram oczy i ze zdumieniem konstatuje, że jestem na szczycie.

Ciągnę ze wszystkich sił, ale nie mogę zmusić sań do pokonania ostatnich dwóch metrów.

– Ten ostatni fragment będziesz musiał przejść na własnych nogach, Thomas. Przykro mi. Dasz radę?

Unosi się na tyle, by sanie wysliznęły się spod niego i zjechały na sam dół. Kładę się na ziemi i Thomas wykorzystuje moje ciało jako drabinę, podciągając się na nim do góry, aż wreszcie oboje siedzimy na szczycie. Zagryza wargi, żeby nie zacząć krzyczeć z bólu.

Patrzę w dół, w kierunku drzwi, i zdaję sobie sprawę, że zejście nie będzie łatwe. Hałda opiera się niemal o budynek i zbocze jest łagodniejsze po tej stronie, którą właśnie wciągnęłam Thomasa na górę. Będę go musiała sprowadzić na dół centymetr po centymetrze, a jeśli nie będę go mocno trzymać, może zjechać prosto na ścianę.

Musimy się pospieszyć. Nie jesteśmy niczym osłonięci, a reflektory ratraka kierują się właśnie w stronę przyczepy. Oscar sprawia wrażenie nieświadomego tego, co się dzieje. Zaczyna poruszać ramieniem koparki w górę i w dół, w górę i w dół. Łyżka uderza rytmicznie o ziemię, wciąż w to samo miejsce, ale ziemia jest tak zmarznięta, że nie widać efektów. *Co on robi?*

Nagle do mnie dociera.

– Myślę, że znalazł ciało Jori i teraz kopie dla niej grób – mówię.

Thomas unosi głowę i oznajmia:

– Mało mnie obchodzi, co ten świr wyprawia.

Nagle z tumanów śniegu wyłania się drugi ratrak. Jest dość daleko, ale z toru jego jazdy wnioskuję, że wypatrzyli Oscara. On również ich dostrzegł. Wychodzi z kabiny na oponę koparki.

Wymachuję rękami i krzyczę:

– Hej! Tutaj! Tutaj! Oscar!

Thomas wyciąga rękę i próbuje mnie ściągnąć na dół za połę płaszcza.

– Czy ci się to podoba, czy nie, jesteście teraz za niego odpowiedzialni – stwierdzam.

Widzę, że Oscar odwraca się w moją stronę, nie mogąc się zorientować, skąd dobiega mój głos. Potem patrzy na zbliżające się ratniki. Nadal nic nie robi. Uchyła się, kiedy kilka iskier odskakuje od nadwozia koparki. Najwyraźniej dociera do niego fakt ostrzału, bo orientuje się, że musi uciekać i się ukryć.

Widzę kolejne iskry. Oscar upada. Chwyta się za ramię i chwiejnie staje na nogi. Kilka sekund później wdrapuje się już na stertę ziemi, drżąc konwulsyjnie i wytrzeszczając ze strachu oczy.

– Pomóż mi – mówię.

Każę mu asekurować Thomasa po drugiej stronie i Oscar posłusznie kieruje się moimi wskazówkami, kiedy próbujemy dokonać kontrolowanego zjazdu z hałdy do drzwi. Nie udaje się, zjeżdżamy na złamanie karku. Gdy zwalamy się na ścianę budynku, rozpaczliwym rzutem w ostatniej chwili amortyzuję siłę uderzenia. Thomas wali mnie w żebra, ale mimo bólu szybko wstaję i kładę dłoń na klamce. Modłę się bezgłośnie, mimo że nie wiem, czy wierzę choć w jedno słowo. Kiedy w końcu szarpnięciem otwieram drzwi, wiem, że moje modlitwy zostały wysłuchane – i jestem wdzięczna.

W środku panuje ciemność. Zgasło nawet oświetlenie awaryjne. By dostrzec cokolwiek wewnątrz, muszę zostawić uchylone drzwi. Oscar pomaga mi wciągnąć Thomasa, który gaśnie w oczach. Kiedy w końcu udaje nam się wepchnąć go do środka, Oscar wydaje cichy jęk i traci przytomność, padając w drzwiach. Przeciągam go przez próg.

– Zapomnij o nim, dobra? I zamknij drzwi – mówi Thomas.

– Tam jest kompletnie ciemno!

– Mam w wewnętrznej kieszeni kilka pałeczek fluorescencyjnych – mówi, poklepując się po kurtce na piersiach. Sięgam do środka, wyciągam dwie, przełamuję obie i podaję mu jedną. Chwyta mnie nagle za ręce i przyciska je do twarzy, zamykając oczy.

– Aniele, ocaliłaś moje głupie życie.

Głaszczę go po czole. Widzę, że walczy, by zachować przytomność umysłu. Ból musi być nie do zniesienia.

– Możesz mi podziękować, objaśniając mi rozkład pomieszczeń w tej części.

– Na końcu tego korytarza – dyszy, z trudem wyrzucając z siebie kolejne słowa – są podwójne drzwi. Duża otwarta sala. Nie wiem, co tam jest.

– Zaraz wracam.

Fechtując pałeczką fluorescencyjną niczym szpadą, wymachuję nią w ciemnościach. Ściany zrobione są z surowego betonu. Dostrzegam kielnię, wiadro i kilka innych rozrzuconych wokół narzędzi. Wszystko staje się powoli zrozumiałe. Budynki są niewykończone, bo rząd wycofał się z finansowania szpitala i zostawił to wszystko na pastwę losu. Zostawił nas wszystkich. Ale jeśli to prawda, to dlaczego w ogóle ktokolwiek tutaj został? Dlaczego ciągle mówili o doprowadzeniu mojego leczenia do końca?

Docieram do końca korytarza i widzę podwójne drzwi, o których mówił Thomas. Przechodzę przez nie i dochodzę do skrzyżowania korytarzy w kształcie litery T. Skręcam w prawo i idę dalej. Natrafiam na rząd drzwi z niewielkimi przeszkleniami. Wszystko tutaj wydaje się bardzo znajome. To sale szpitalne. Wszystkie drzwi są otwarte, ale wyposażone są w te same ciężkie zamki, jakie mieliśmy na czwartym piętrze. Sztywniej nagle, zdając sobie sprawę, że jestem w piwnicy.

Kogo tutaj zamykali?

Odwracam się i omiatam wzrokiem drugą stronę korytarza. Na samym końcu znajdują się uchylne drzwi. Już mam w nie wejść, kiedy słyszę za plecami szuranie. Odwracam się. Ktoś świeci mi prosto w twarz jaskrawym światłem. Unoszę dłoń, by osłonić oczy. Snop światła opada na podłogę i widzę łysego, może dwudziestoparoletniego mężczyznę. Ma na sobie bojówki i koszulkę wyglądającą jak wojskowy mundur, lecz przy tym bosa stopy. U boku zwisa mu toporek strażacki.

Patrzy na mnie, przechyla głowę na bok i mówi:

– Witam.

Rozdział 19.

Z jakiegoś niejasnego powodu mu się kłaniam. Chyba dlatego, że chcę zademonstrować swoją łysą czaszkę. *Jestem jedną z was. Kimkolwiek jesteście.*

Poza tym tak się składa, że ten człowiek ma w posiadaniu toporek. To wystarczający powód, by okazać mu nieco szacunku.

– Cześć... – mówię. – Szukamy... szukamy...

Czego? Nie wiem, co powiedzieć. Bezpieczeństwa? Trudno mi sobie wyobrazić, byśmy mogli tu na nie liczyć.

Mężczyzna patrzy na mnie bez słowa. Na jego inteligentnej twarzy maluje się wyczerpanie, a przy tym coś na kształt radosnego zaskoczenia. Jakby moja obecność go cieszyła.

Zaczynam jeszcze raz:

– Ja...

No i teraz się zastanawiam, czy powinnam mu zdradzić, jak się nazywam. Nie mam pojęcia, kim jest, nic o nim nie wiem, więc po błyskawicznym namyśle kończę:

– ...bardzo przepraszam za najście.

– Żadne najście – mówi mężczyzna. – Nędza lubi towarzystwo. Więc tak się właśnie nazwaliśmy: nędzne towarzystwo.

Zza jego pleców wychodzi nagle trzech innych mężczyzn, wyłaniających się z mroku jak dym. Z trudem rozróżniam w ciemnościach ich sylwetki. Jeden z nich niesie coś w rodzaju elektrycznej latarki. Włącza ją i białe światło wydobywa z czerni zarysy pokoju za moimi plecami. To sala konferencyjna.

– Myśleliśmy, że w końcu zdecydowali się nas zabić – mówi niemal radośnie mężczyzna z lampką.

– Kto? Żołnierze?

Patrzy na mnie pytająco, a mężczyzna stojący po jego prawej stronie wyjaśnia:

– Nasi porywacze oczywiście.

Nie mam pojęcia, o czym mówi, ale się nie odzywam. Cała czwórka ubrana jest tak samo: zielone spodnie i T-shirty, bosa stopy.

– Mój przyjaciel... – zaczynam, odwracając się w stronę ciemnego korytarza, którym właśnie przyszedłam. – Tam został mój przyjaciel. Jest ranny. Dość poważnie.

– Elmer ci pomoże. Dostaliśmy podstawowe środki medyczne, a Elmer znalazł do tego całkiem sporo innych przydatnych produktów – mówi mężczyzna z lampką, wskazując niższego mężczyznę po lewej.

– Jakże konkretnie odniósł obrażenia? – pyta Elmer.

– Jest ranny w nogę... Strasznie krwawi.

Elmer odwraca się i truchcikiem oddala się ciemnym korytarzem.

– Nazywam się... – Nie jestem pewna, co powiedzieć. Nie potrafię jeszcze posługiwać się pseudonimem Anioł. Jakbym nie zasłużyła sobie na prawo posługiwania się nim.

Żołnierz z toporkiem unosi ręce i mówi:

– Posługujemy się tutaj tylko pseudonimami. Im mniej o nas wiesz, tym lepiej. To był nasz sanitariusz, Elmer. Na mnie mówią Sam. To jest Sylvester. – Wskazuje mężczyznę trzymającego lampkę, który wydaje się najmłodszy z tej grupy. – A to...

Umieśniony mężczyzna robi krok naprzód i się przedstawia:

– Jerry.

Obdarowuje mnie frywolnym uśmiechem i dotyka brwi koniuszkami palców, salutując.

– Znany również jako Czarus – mówi Sam sucho.

Chwilę później Elmer wraca z niewielką walizką z czerwonym krzyżem z boku.

– Chodźmy – mówi, wskazując głową w kierunku korytarza.

Niepokoi mnie trochę, czy dobrze robię, wchodząc w komitywę z tymi facetami, ale jeśli Thomas szybko nie otrzyma pomocy, wykrwawi się na śmierć. W tej sytuacji jestem gotowa skorzystać z pomocy każdego, kto się nawinie – nawet grupy facetów, którzy przybrali imiona postaci z kreskówek.

– Prowadź – mówi Sam.

Odwracam się i idę z powrotem, od czasu do czasu oglądając się przez ramię, by się upewnić, że idą za mną. Na każdym zakręcie moi nowi kompani poruszają się zgodnie niczym lecące w kluczu gęsi.

Przechodzimy przez podwójne drzwi wiodące na korytarz, w którym zostawiłam Thomasa i Oscara, i widzę, że panuje tam kompletna ciemność. Drętwięję z przerażenia.

Sylvester unosi lampkę, oświetlając leżących na podłodze Thomasa i Oscara. Thomas musiał się przetoczyć na swoją pałeczkę fluorescencyjną. Pospiesznie podbiegam do niego, podczas gdy Elmer pochyla się nad Oscarem i jego widoczną raną postrzałową. Drżąc z niepokoju o Thomasa, kompletnie zapomniałam o Oscarze.

– Nie, najpierw on! – mówię, wskazując drżącym palcem na Thomasa, którego twarz przybrała kolor upiornej bieli. Pod powiekami niespokojnie poruszają się gałki oczne.

Elmer patrzy na mnie, przenosi wzrok na Oscara i wreszcie mówi:

– Tę ranę muszę opatrzyć w pierwszej kolejności. Chyba że to wróg.

– Nie! Tak! Tak, to wróg. Po prostu... Proszę, najpierw pomóżcie Thomasowi!

Odwraca się w kierunku Thomasa, by ocenić jego stan. Thomas jęczy cicho, gdy światło pada na jego twarz, ale prawie nie zauważa, kiedy Elmer ściąga mu but. Głos Thomasa sprawia mi ulgę, nawet jeśli słysząc w nim cierpienie, bo oznacza, że wciąż żyje i nie wykrwawił się na tej podłodze.

– Potrzebuję pomocy, żeby go przenieść. Przyjrzę mu się bliżej, kiedy przeniesiemy go do obozu – mówi Elmer.

Obozu?

Zaczynam się obawiać, że będziemy zmuszeni zmierzyć się znów z zawieją, ale patrzę na ich bose stopy i dociera do mnie, iż obóz nie może się znajdować poza budynkiem.

Mężczyźni podnoszą po kolei Oscara i Thomasa i kładą ich na znalezionej nieopodal płachcie, po czym ciągną ich obu korytarzem. Cała czwórka puszcza się truchtem dokładnie w tym samym momencie. Biegnę za nimi. Zagłębiamy się coraz bardziej w ten fragment piwnic. Zaczynam wątpić, czy w razie konieczności zdołałabym odnaleźć drogę powrotną.

W końcu docieramy do dużej sali bardzo podobnej – pomijając brak telewizora i kanapy – do pokoju wypoczynkowego. Całe umeblowanie stanowi składany stół i kilka plastikowych krzeseł. W rogu pomieszczenia dostrzegam kilka złożonych koców.

– Przypuszczamy, że coś musiało się zdarzyć – mówi Sam. – Odcięli prąd i od dwudziestu czterech godzin nie dostaliśmy racji żywnościowych. – Wskazuje drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. W dolnej części mają nieco przyduże uchylne drzwiczki przypominające wejście dla kota. – Zazwyczaj wszystko działa jak w zegarku. Nasi porywacze pojawiają się z wodą i jedzeniem w ściśle określonych odstępach czasu.

Słucham nieuważnie, bo nie mogę przestać myśleć o Thomasie, ale słowo „porywacze” wrywa mnie z otępienia. Patrzę na Sama. Jestem zaciekawiona i jednocześnie zdezorientowana. Potrafię sobie wyobrazić, że ktoś może myśleć o personelu medycznym jako o porywaczach, ale mimo wszystko... Ci goście mówią o sobie tak, jakby byli jeńcami wojennymi.

Spoglądam na Elmera. Przykrył Oscara kocami i ułożył mu nogi na jednym z krzeseł. Teraz zajmuje się Thomasem. Przyglądam się, jak obcina dolną część nogawki spodni narciarskich Thomasa i zawiązuje mu opaskę uciskową powyżej kolana. Nie mogę się zdecydować, co gorsze: patrzeć czy nie patrzeć. Sam dostrzega niepokój na mojej twarzy.

– Elmer jest najlepszym sanitariuszem w okolicy. Potrafi czynić cuda, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak niewiele mamy tu do dyspozycji środków opatrunkowych.

Sam patrzy na moje ubranie, jakby mimo usilnych starań nie potrafił zrozumieć, co mam na sobie. Z jakiegoś powodu uznaję, że lepiej będzie nie wspominać mu o szalejącej na zewnątrz zamieci.

– Kiedy ostatni raz kontaktowaliście się z waszymi... no wiesz, porywaczami? – pytam.

– Rzadko rozmawiają z nami bezpośrednio – odpowiada Sam. – Najpewniej ze względu na barierę językową.

Przytakuję energicznie. Muszę uzyskać od nich więcej informacji, dlatego jestem skłonna zgodzić się ze wszystkim, co mówią.

– Próbowaliście uciec? – pytam.

– I gdzie byśmy poszli? – odpowiada pytaniem Sam. – W promieniu kilkuset kilometrów rozciąga się pustynia. Co i tak nie ma znaczenia, bo zastrzelą nas na pierwszych kilku metrach.

Pustynia? Nie wiem, co się stało tym koleśiom, ale nie czuję się na siłach informować ich o tym, że znaleźli się w miejscu piekielnie odległym.

Rozdział 20.

Elmer opatruje Thomasa przez blisko godzinę. Próbuję się trzymać z daleka, ale nie potrafię – nawet po tym, jak Elmer odgania mnie po raz już chyba dziesiąty. Opieram się potylicą o ścianę i wbijam wzrok w sufit. Powraca uczucie topnienia. Mam wrażenie, jakby kolejne wspomnienie próbowało powrócić, lecz nie mogło znaleźć drogi. Myślę, że stresy ostatnich kilku godzin zahamowały proces przywracania pamięci.

Sylvester proponuje coś, co określa mianem MRE. Trudno powiedzieć, co może mieć na myśli. Wygląda to jak baton zbożowy. Biorę jeden i dziękuję, ale nie jem.

Po pół godziny przyglądania się, jak krążę niczym zwierzę w klatce, Sam podchodzi do mnie i mówi:

– W głębi korytarza jest łazienka. Zdecydowanie sugeruję, żebyś z niej skorzystała.

Patrzę na siebie. Na całym kombinezonie i prawdopodobnie również na twarzy mam rozmazaną krew, brud i ten dziwny niebieski barwnik, którego używają w przenośnych toaletach. Może mój zapach zaczął ich drażnić.

Podaje mi lampkę, ale pokazuję mu swoją pałeczkę fluorescencyjną.

– Dam sobie radę.

Wychodzę na zewnętrzny korytarz. Otacza mnie natychmiast głęboka, upiorna cisza. Czuję się, jakbym wpadła w zasadzkę pustki. Macham wokół pałeczką. Wszystko, co mnie otacza, jest w kolorze srebrnej szarości surowego betonu.

Kilka metrów dalej widzę na korytarzu paczki materiałów budowlanych, w tym stosik tabliczek, które nie zostały jeszcze przymocowane do ściany. Trącam je stopą i osuwają się na podłogę, stukając jak kostki domina. Są cztery. Podnoszę każdą po kolei i czytam, co jest na nich napisane: „Dozorca”, „Magazynek sprzętu”, „Pokój wypoczynkowy” i „Recepcja”. Na ostatniej znajduje się strzałka wskazująca w lewo, ale niewiele mi to mówi, skoro nie wiem, gdzie ta tabliczka miała wisieć.

Dalej znajduję łazienkę. Jest identyczna jak ta na naszym oddziale. Nie ma w niej luster. Nie ma również ciepłej wody. Szczękając zębami, wyciągam garść papierowych ręczników i wycieram się w miarę możliwości. Z brudu i wilgoci rozpadają mi się w rękach. Zużywam całą zawartość dystrybutora, rzucając po kolei wszystkie zużyte ręczniki na podłogę, gdzie tworzą spory, rozmiękły stos. Czuję się tak, jakbym po długiej, zakończonej porażką bitwie zmyła z siebie barwy wojenne.

Składam dłonie w miseczkę pod kranem, by napić się wody, i nagle płynę. Nie, tonę! Muszę się złapać krawędzi umywalki, bo mam wrażenie, że ogarniający mnie koszmary, raptownie pogłębiający się smutek wessie mnie do odpływu.

Wiem, co to jest.

Wiem, co mnie teraz czeka.

To ten moment. Właśnie ten moment, w którym wszystkiego się dowiedziałam.

Widzę stojącą pod drzwiami pracownicę socjalną. Ciemny zarys jej obwisłych ramion. Splecione włosy oświetlone od tyłu błękitną fluorescencyjną poświatą docierającą z korytarza. Trzyma w rękach teczkę. Jest intruzem, który przybył, by obrócić mój świat w perzynę.

Odpycham od siebie to wspomnienie, wyrzucam je z pamięci, ignoruję. Uderzam w ścianę za sobą i przyciskam dłonie do uszu, ale nie sposób obronić się przed głosem, który rozlega się w mojej głowie.

– Saro?

Matka zabroniła mi otwierać drzwi nieznanym, ale ta kobieta nie przestaje pukać i ciągle podstawiła mi pod wizjer jakieś legitymacje.

– *Obawiam się, że mam dla ciebie bardzo smutną informację. Proszę, otwórz drzwi.*

W niepojęty sposób momentalnie wiem, co chce mi powiedzieć, i postanawiam nie słuchać. Jeśli uda mi się tego nie usłyszeć, to będzie tak, jakby to wcale się nie wydarzyło. Siadam na kanapie, zakładam słuchawki i nie zwracam na nią uwagi. Nie otworzę drzwi, choćby pukala do końca świata. Zabarykaduję się tutaj na zawsze.

A jednak to nie działa.

Ludzie, którzy mają ci do przekazania smutną wiadomość, zawsze znajdą jakiś sposób, by do ciebie dotrzeć. Znajdą gospodarza budynku, wezmą sobie dwóch policjantów do obstawy i już nie da się trzymać od nich z dala. Wpadną do środka i powiedzą ci to, czego wcale nie chcesz usłyszeć. Wypełnią dokumenty na temat twojego statusu i twojej przyszłości i klamka zapadła. Niezależnie od tego, co zrobisz i jak bardzo będziesz się starać, nigdy już nie będziesz taki sam.

Czuję się, jakbym spadała. Czuję niemiłe sensacje w żołądku, gdy opadam w mrok, a otaczająca mnie pustka wsącza mi się w serce. Chcę stopić się z nią w jedno. Stać się jednym z pustą, czarną nicością.

Nagle jednak w moim umyśle coś się gwałtownie przestawia. Momentalnie złe wspomnienie niczym flaga łopocząca na zbyt silnym wietrze odrywa się i unosi w dal.

Teraz pnę się, ręka za ręką, coraz wyżej i wyżej. Stopy ślizgają mi się na metalowych prętach, które wykorzystuję jako stopnie, choć do tego nie służą. Wspinam się, by się do czegoś zbliżyć lub od czegoś oddalić – sama nie wiem. Zrosnięte z tym bólem, nierozzerwalnie ze mną związane niczym pasożyt ze swoim żywicielem, jest nazwisko Erskine'a Claymore'a.

Z powrotem jestem na podłodze łazienki, dysząc ciężko.

Wstaję z wysiłkiem, a potem pluję do umywalki i wycieram usta, bo do gardła podchodzą mi kwasy żołądkowe, jakbym za chwilę miała zwymiotować.

Jedynie, co przychodzi mi do głowy, to ruszyć się. Pobiec. Tak jak powiedział Thomas. Jeśli będę biegła wystarczająco szybko, zostawię te złe wspomnienia za sobą, a one zbledną i w końcu się rozplyną.

Wypadam na korytarz i rzucam się najpierw w jedną, później w drugą stronę, jak oszalały ze strachu ptak, który niechcący wpadł do budynku. Biegnę bez celu i kierunku. Chcę się zagubić. Korytarz jest pełen zakrętów i wyborów, których nie chcę dokonywać, a nawet gdybym chciała, nie miałyby żadnego znaczenia. Wszystkie prowadzą mnie do tego samego punktu przepełnionego bólem i jałową pustką żalu.

Cały czas biegnę, aż wreszcie zauważam, że betonowa podłoga pod bosymi stopami ustąpiła miękkiej wykładzinie. Staję i próbuję wciągnąć w płonące płuca odrobinę powietrza.

Wydaje mi się, że przed sobą widzę światło. Opuszczam paleczkę fluorescencyjną i oto jest: mały, zielony punkt. Idę w jego kierunku i dochodzę do eleganckich drzwi z pasiastego

drewna, w które wstawiono wąską, matową szybkę. Znajdujący się za drzwiami pokój zalega ciemność, ale teraz widzę, że zielone światelko emitowane jest przez czytnik kart magnetycznych. Wygląda na to, że dotarłam do rejonu, w którym nie odłączono zasilania.

Zaczynam się zastanawiać, co to za miejsce. Wyciągam kartę magnetyczną, wahając się, czy jej użyć. A jeśli zdradzi moje położenie? Mam to w nosie. Zżera mnie ciekawość.

Przesuwam kartę w czytniku i pociągam drzwi do siebie.

Pomieszczenie po drugiej stronie wygląda jak hol hotelowy, a podobieństwo potęguje obecność recepcji. Jest nawet instalacja wodna – coś w rodzaju ciurkającego powoli źródła, którego kojący dźwięk ma przywoływać na myśl górski strumień. Na środku pomieszczenia stoi szklany stolik do kawy w kolorze pomarańczowym, dwa przezroczyste plastikowe fotele i wielka, kanciasta, skórzana kanapa z chromowanymi nogami. Sprawia wrażenie bardzo drogiej i bardzo niewygodnej.

Wchodzę, przysiadam i kładę ręce na kolanach.

Najwyraźniej jest to poczekalnia.

To takie miejsce, w którym siedzisz sam, skubiesz skórki przy paznokciach i nerwowo kołyszysz nogami, zanim usłyszysz, jak dorośli mówią, że zrobili wszystko, co w ich mocy, ale było już za późno. Zanim wybierzesz trumnę. Zanim usłyszysz, że następnego dnia przenosisz się do nowego domu, więc masz zapakować do torby wszystkie swoje rzeczy – i wszystkie dotychczas przeżyte radosne chwile – ponieważ, czy tego chcesz, czy nie, zamierzają cię zagonić w nową, ponurą przyszłość.

Zanim się to wszystko wydarzy, czekasz w takim właśnie pomieszczeniu. Tylko znacznie mniej przyjemnym.

Wstaję i prostuję plecy. Chłodna wściekłość dodaje mi sił i wyostrza spojrzenie, którym omiatam pomieszczenie.

To wszystko jest takie dziwne. Zbudowano to niedawno. Nie rozumiem, dlaczego rząd zamknął ten projekt, po czym natychmiast zabrał się do urządzania ośrodka, jakby miało tu powstać luksusowe spa. To bez sensu.

Prześlizguję się wzrokiem po sali, starając się wypatrzeć cokolwiek, co mogłoby się nam przydać. Na końcu stołu dostrzegam kryształową misę na pralinki oznaczoną literami E.C. Wypełniona jest pastylkami miętowymi w czekoladzie. Bezmyślnie biorę jedną z nich i podrzucam. Zanim ląduje w moich ustach, pojawia się wspomnienie.

– Łap! – krzyczy moja matka.

Nie udaje mi się.

– Jeszcze raz! – mówi, rzucając mi kolejną pestkę.

Znów mi nie wychodzi.

– Och, Aniele, zupełnie ci nie idzie! – mówi, śmiejąc się. – Prawie skończyły mi się pestki dyni!

– Potrafię to zrobić! – mówię, trochę nadąsana. – Jeszcze tylko raz.

Idziemy i rzuca mi kolejną pestkę, która odbija się od koniuszka mojego nosa. Wychodzimy właśnie ze stacji metra na ulicę. To nasza tajemnicza doroczna wyprawa do Upper West Side, jednej z dzielnic Manhattanu. Nigdy wcześniej nie zapytałam, dlaczego tu

przyjeżdżamy, ale dzisiaj zadaję wreszcie to pytanie.

Bierze mnie za rękę i odpowiada:

– Lubię to miejsce.

– U nas też są parki – bronię naszej dzielnicy, która nie jest ani tak elegancka, ani tak cicha. Po ulicach kręci się zbyt wielu bezrobotnych mężczyzn, którzy zazwyczaj już przed południem zaczynają pić.

– Wiem, ale ten park przywołuje we mnie ciepłe wspomnienia – mówi, bujając moją ręką wysoko nad moją głową.

Znajdujemy ławkę i siadamy, by zjeść lunch, który matka wzięła ze sobą: paszteciki z wołowiną, biały ryż i colę. Zawsze siadamy na tej ławce, na wprost rezydencji wychodzącej na park Riverside. Nie sięgam stopami ziemi, więc majtam nogami, jakbym kopała powietrze.

– Chciałabym być bogata. Chciałabym mieć taki dom – mówię.

– Naprawdę?

– No.

– Wiesz, pracowałam kiedyś dla właściciela tego wielkiego domu.

– Naprawdę? I jaki był? Czy bogaci ludzie są podli? Yolanda Cruz mi tak powiedziała. Że wszyscy są podli i egoiści.

– Nie, nie wszyscy są podli i egoiści. Mężczyzna, dla którego pracowałam, był bardzo miły. Nigdy nie spotkałam tak dobrego człowieka.

– Co się z nim stało? – pytam.

Matka nie odpowiada.

– Mamo?

Patrzy w okno znajdujące się na samej górze, a mnie się wydaje, że dostrzegam w nim jakąś postać. Ale tylko przez chwilę.

– Moi przyjaciele opowiadają różne rzeczy o tym, kim jest mój ojciec – mamroczę.

Wzdycha i macha ręką.

– Oni nie mają o niczym pojęcia, Aniele. Pamiętaj, że jesteś wyjątkowa i że zawsze ktoś nad tobą czuwa.

Przyciskam dłonie do powiek, z gardła wrywa mi się jęk. To takie frustrujące! Być tak blisko, a jednak nie móc sobie przypomnieć twarzy własnej matki. Zupełnie jakby spowijała ją chmura bieli. Muszę przypomnieć sobie rzeczy, które pomogą mi zrozumieć, kto próbuje mnie zabić i dlaczego, a to wspomnienie okazało się zupełnie bezużyteczne.

Rozglądam się ponownie po pomieszczeniu. Podnoszę jedną z poduszek. Jest zrobiona z ciemnoczerwonego aksamitu i obszyta złotą nicią. Głaszczę tkaninę w jedną i w drugą stronę, obserwując, jak układa się meszek. Palce zostawiają na niej prążki. Sama ta poduszka musiała kosztować niebagatelną sumkę. Wkładam ją pod pachę. Zaniosę Thomasowi, żeby mu było wygodnie.

Myszkuję po pomieszczeniu, szukając czegoś, co mogłoby mu się przydać, a kiedy wchodzę za wysoki kontuar recepcji, widzę coś jeszcze lepszego: laptop. Zamykam pokrywę, chwytam leżący obok zasilacz i zawieszam go sobie na szyi jak szalik.

Zasiedziałam się, muszę się stąd ruszyć. Odwracam się i staję. Nie weszłam do tej poczekalni głównym wejściem. Weszłam od tyłu. Stoję przed dużymi przeszklonymi drzwiami, na których widnieją litery E.C. Teraz już wiem, co oznaczają te inicjały.

No jasne.

Erskine Claymore.

Widziałam już wcześniej takie drzwi. Z drugiej strony. Jestem w skrzydle południowym.

Rozdział 21.

Może i jestem wysmarowana błotem i krwią, ale mam nadzieję, że Sam i reszta nadal widzą we mnie dziewczynę, bo tylko dziewczyna mogłaby spędzić tyle czasu w łazience. Nie chcę nadmiernie się rozwodzić nad tym, gdzie byłam i co robiłam. Nie jestem pewna, czy ci dziwni bosonodzy mężczyźni by to zrozumieli.

Skręciwszy kilkakrotnie w złą stronę, znajduję w końcu drogę powrotną. Kiedy podchodzę do drzwi pokoju wypoczynkowego, słyszę rozdzierający krzyk. To Thomas. Wpadam do pokoju i widzę Sylvestra klęczącego na piersi Thomasa. Już mam go z niego ściągnąć, gdy dociera do mnie, że w ten sposób Sylvester próbuje unieruchomić Thomasa, by pozwolić Elmerowi opatrzeć mu ranę nogi. Przypadam do nich i momentalnie tego żałuję, widząc rozmiar rany Thomasa. Jego łydka wygląda tak, jakby mięśnie zostały odfiletowane od kości.

Odwracam głowę i prawie upuszczam laptop. Przyglądam się, jak Elmer owija nogę Thomasa od kolana w dół opatrunkiem. Odwraca się do swojej apteczki, wyjmuje z niej strzykawkę i wbija ją Thomasowi w udo. Modłę się, by Elmer pomimo swoich urojeń był w stanie podać Thomasowi prawidłowe dawki środków przeciwbólowych.

Kiedy klękam obok Thomasa, przywiera do mnie i otwiera oczy. Zawiesza wzrok w oddali, być może szukając miejsca, w którym mógłby się schronić przed bólem. Nie odrywam od niego spojrzenia, żałując, że nie mogę wziąć na siebie, wchłonąć w siebie jego cierpienia. Chciałabym przynajmniej dać mu znać, że w każdej sekundzie jestem przy nim.

Po kilku minutach uścisk jego dłoni słabnie i Thomas zamyka oczy. Twarz lekko mu się zaróżawia. Patrzę z wdzięcznością na Elmera.

– Zastrzyk z morfiny powinien dać mu kilka godzin wytchnienia – mówi.

– Dzięki. Chyba mu lepiej.

Elmer musiał w którymś momencie zdjąć Thomasowi czapkę. Wsuwam mu pod głowę przyniesioną poduszkę i zauważam coś, czego wcześniej nie dostrzegłam: kolor jego odrostów. Czarna farba skrywa rude włosy.

– Przyniosłam ci bardzo drogą, mięciutką, aksamitną poduszkę – mówię.

– I komputer – dodaje Thomas. Kładę laptop na podłodze obok niego. Wyciąga rękę i go głaszcze. – Dobry komputer.

Elmer wskazuje na Oscara, którego rana na ramieniu została już zabandażowana.

– Myślę, że kula przeszła na wylot. Bez wątplenia nie jest to jego pierwsza rana postrzałowa. Brał udział w niejednej akcji. Wiesz, w której prowincji stacjonował jego oddział?

Prowincji? Nie mam pojęcia, o czym on mówi.

Elmer podchodzi do Thomasa.

– Jego noga jest w dość kiepskim stanie. Potrzebuje szybkiego zabiegu chirurgicznego albo trzeba będzie dać sobie z nią spokój.

Odciągam go na bok, żeby Thomas nas nie usłyszał.

– *Dać sobie z nią spokój?* Jak to dać sobie z nią spokój?

Elmer wypala bez skrpułów:

– Jestem sanitariuszem, nie lekarzem. Zrobiłem, co mogłem.

– Pomóżcie mi usiąść – mówi Thomas w kierunku naszych odwróconych pleców.

– Nie – odpowiadamy z Elmerem jednocześnie.

– Poważnie. Muszę mieć dostęp do klawiatury.

Thomas obraca się na brzuch, próbując nie urazić zranionej nogi. Otwiera pokrywę komputera i sięga do kieszeni po swoje okropne okulary. Lewa soczewka jest pęknięta, ale mimo

to nakłada je na nos. Uświadamiam sobie, że cały czas mam zawieszony na szyi zasilacz. Dociera do mnie, że w obliczu braku działających gniazdek jest bezużyteczny. Kiedy Thomas naciska przycisk zasilania, ekran się rozświecila. Co za ulga. Jeśli w tym komputerze jest cokolwiek dla nas przydatnego, Thomas to znajdzie.

Klękam obok Thomasa, który nie przerywa pracy. Sam patrzy na komputer, a oczy ma wąskie jak szparki. Nie wie, co o nas myśleć, najwyraźniej nabrał podejrzeń. Gdybym miała na głowie włosy, zjeżyłyby mi się ze strachu.

Po kilku minutach uderzenia w klawisze Thomas oznajmia:

– Mam kilka wiadomości: dobrą, złą i parę pośrednich.

– Dawaj po kolei – mówię.

– Po pierwsze, to naprawdę bajerancki komputer. Jeszcze lepszy niż laptop 8-Bita. Do tego wypchany smakowitymi informacjami. Wygląda na to, że utrzymują całkowicie oddzielny, zamknięty superkomputer tylko dla tego obszaru. Jestem pewien, że 8-Bit o tym nie wiedział.

Patrzę na żołnierzy, a potem z powrotem na Thomasa, który zauważa, że coś jest nie tak. Niemal niezauważalnie potrząsam głową, co ma oznaczać: „Nie pytaj teraz”.

– Kontynuuj – mówię ciszej.

Thomas przycisza głos i mówi dalej:

– Bez trudu mogę się dostać do ich systemu. Obejście ich zabezpieczeń zajmie mi jakieś pół godziny. Może godzinę. W tym momencie naprawdę nie jestem w najlepszej formie.

Mrugam okiem.

– A zła wiadomość?

– Baterii starczy najwyżej na piętnaście minut.

Zamyka komputer.

– To nie szkodzi. Mogę go zabrać z powrotem tam, gdzie go znalazłam.

– Nie musisz zabierać go całego. Ma wymowalną baterię jądrową. Raczej niedostępną na rynku komercyjnym. To może być prototyp. – Wyjmuje baterię z tylnej części komputera i przyłącza do niej zasilacz. – Znalazłaś miejsce, w którym nie wyłączyli prądu?

– Tak – odpowiadam, biorąc od niego baterię. – Znalazłam taką dziwną poczekalnię.

Thomas, jesteśmy w skrzydle...

Urywam gwałtownie i podnoszę wzrok. Sam stoi mi tuż nad głową.

– Jesteśmy w...? – pyta Sam.

Widzę, jak zaciska dłoń na trzonku toporka, i o wiele za późno uświadamiam sobie, że mamy kolejny problem.

– Co jest grane? – pyta Thomas. Marszczy czoło, przenosząc wzrok z Sama na mnie i z powrotem.

Jaka ja byłam głupia. Idę do łazienki i wracam z laptopem? Przecież to bez sensu. To, co trzyma tutaj tych mężczyzn, to silne przekonanie, że nie mogą uciec. Są więźniami własnego umysłu. Może ja również żyłam w ten sposób.

Biorę głęboki wdech i wstaję, gotowa zmierzyć się z Samem i jego toporkiem.

Może nie wiem jeszcze wszystkiego o swojej przeszłości, ale wiem na pewno, że kiedyś nie byłam bojaźliwa, słaba i niezdecydowana. Muszę odzyskać tę dziewczynę. Tu i teraz.

Sam wbija we mnie natarczywe spojrzenie.

– Nasi porywacze mogą wrócić w każdej chwili. Chyba że już o tym wiesz...

Nagle Thomas pojmuje istotę wiszącego nad nami zagrożenia.

– Momencik. Wstrzymajcie się na chwilę z tą wrogością. Coś wam pokażę.

Sięga do wewnętrznej kieszeni kurtki. Sam lekko unosi toporek.

Thomas wyciąga tablet, który zdjeliśmy z ręki martwego żołnierza w wykopie.

Kompletnie zapomniałam o tym tablecie. Musiał go upchnąć w kurtce jak ojciec pingwin chroniący swoje jajo, kiedy Oscar wpadł w morderczy nastrój i zaczął szaleć z łyżką koparki. Podaje urządzenie Samowi.

Sam obraca je do światła.

– Co to jest?

Jerry zagląda Samowi przez ramię, próbując dostrzec, co ten trzyma w ręku.

– Jak ci się udało to tutaj przeszmuglować? Nam zabrali dosłownie wszystko – dziwi się

Jerry.

– Łącznie z cholernymi slipkami – dodaje Sylvester.

– Nie wiedzą, że tu jesteśmy – mówi Thomas. – Nikt nie wie.

– Mówiłem ci, że kogoś po nas wyślą! – Sylvester wydaje okrzyk triumfu i trąca Sama

łokciem.

Sam tego jednak nie kupuje. Potrząsa głową i patrzy na mnie bez przekonania.

– Myślisz, że wysłaliby nam na ratunek dziewczynę? Serio?

Spojrzenie Sylwestra przygasa. Patrzy na mnie, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu.

– A zatem chyba się udało – mówi Thomas, kiwając w moją stronę głową.

– Co się udało? – pyta Sylvester.

– Siły specjalne nieźle się ostatnio wycwaniły, co? Kto by ją podejrzewał?

Twarz Sylwestra się rozjaśnia.

– No. Jasna sprawa. Nikt.

Wskazuję na tablet.

– Ukradliśmy to. Wciąż próbujemy rozpracować działanie tego urządzenia, ale widzicie te czerwone kropki? Pokazują nam... ee... rozmieszczenie oddziałów wroga.

Sam odchrząkuje i zerka na ekran. Obserwuję, jak podąża wzrokiem za rojącymi się na ekranie czerwonymi kropkami. Nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy.

– Skoncentrowali siły tutaj i tutaj – mówi, wskazując miejsca na tablecie. – Dla nich to źle, dla nas to dobrze. Jedna zasadzka we właściwym momencie i zmieciemy ich.

Podnoszę plecak i wyciągam go w jego kierunku.

– Udało nam się również zdobyć...

– Ekwipunek waszych porywaczy – kończy Thomas, rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie.

Sam kiwa głową, a Sylvester bierze ode mnie plecak, rozsuwa zamek i zaczyna przetrząsać zawartość. Patrzę na tablet w rękach Sama i serce mi staje. Widzę, że około dziesięciu czerwonych kropek zaczyna przemieszczać się w poblize miejsca, w którym właśnie byłam: wejścia do skrzydła południowego.

– Możesz mi pokazać obraz z kamery monitoringu dla tego obszaru? – pytam Thomasa, wskazując punkt na ekranie.

Zabiera Samowi tablet i wywołuje obraz. To poczekalnia, w której właśnie byłam.

Wyciągam kartę magnetyczną z kieszeni i zaczynam rozważać przełamanie jej na pół. Żołnierze prawdopodobnie obserwowali mnie przez cały czas. Muszą dokładnie wiedzieć, którymi drzwiami wyszłam z pomieszczenia, ale z jakiegoś powodu krążą tylko pod drzwiami.

– Dostarczę ci trochę energii – mówię do Thomasa. – Ale najpierw może byś poświęcił ostatnie piętnaście minut baterii, żeby dowiedzieć się nieco więcej na temat, ehm, obecnej sytuacji.

Kiwa głową i salutuje.

– Tak jest!

Sylvester uśmiecha się do mnie i wymierza palec w stronę Sama.

– Widzisz? Nie wierzyłeś mi, a ja ci mówiłem, że po nas przyjdą. Mówiłem ci.

– Tak – mówi Sam, łypiąc na mnie. – To bardzo wygodne wyjaśnienie powodu ich obecności tutaj, prawda?

Odchodzi i opiera się o ścianę. Nie spuszcza nas z oka, zastanawiając się nad tym, czego się właśnie od nas dowiedział. Nie wiem, o czym myśli, ale wiem, że dłoń ma nadal zaciśniętą na trzonku toporka.

Rozdział 22.

Trzymam tabletki przed sobą i przygryzam wargi. Po minucie skupisko czerwonych kropek w rejonie recepcji się rozprasza. Oddycham z ulgą, ale nie tracę czujności. *Dlaczego się tak po prostu wycofali?*

Wolałabym porozmawiać o tym z Thomasem, ale nie chcę mu przerywać. Od czasu do czasu przyglądam się, jak pracuje. Na jego nieruchomej twarzy nie maluje się nic z wyjątkiem koncentracji. Kilka minut później zamyka komputer i przywołuje mnie gestem.

– Czego się dowiedziałeś?

– Ci kolesie są poważnie...

– Popieprzeni. Wiem. Nie mów głośno. Myślą, że są jeńcami wojennymi.

– No właśnie. Znalazłem całą masę plików, ale mogłem przejrzeć tylko ułamek tego wszystkiego. Generalnie są z sił specjalnych. To kilku z pierwszych pacjentów, którzy mieli być leczeni z powodu objawów stresu pourazowego za pomocą nowej techniki, która okazała się kompletnym niewypałem. To, czego doświadczają, określa się mianem paradoksalnego efektu leczenia. Żołnierze zostali uwięzieni w traumatycznych wspomnieniach, które lekarze starali się usunąć.

– Pewnie dlatego personel zachowywał się tak dziwnie, gdy chodziło o skrzydło południowe. Nikt nigdy o nim nie wspominał. Próbowali się zachowywać tak, jakby to miejsce w ogóle nie istniało.

– Myślę, że właśnie tutaj lekarze zsyłali pacjentów, którzy nie reagowali pozytywnie na leczenie polegające na modyfikacji pamięci. Odcięcie prądu musiało ich uwolnić.

– Tak, ale są wolni w bardzo ograniczonym zakresie. Nie wyjdą poza tę salę, ponieważ tylko to jest im znane. Sądzę, że nasze kurtki i buty całkiem ich dezorientują. Myślą, że są na pustyni.

– To również wyjaśnia, dlaczego są boso. Czytałem gdzieś, że jeńcom zabiera się buty, żeby nie mogli uciec. Może personel szpitalny starał się zrobić coś, czego żołnierze się spodziewali. Wykorzystali urojenia tych facetów, żeby sprawować nad nimi kontrolę.

– To potworne – mówię. – I naprawdę mnie to wkurza.

Elmer wstaje i sprawdza parametry życiowe Oscara, ale mam wrażenie, że tak naprawdę próbuje przysunąć się bliżej, żeby podsłuchać, o czym mówimy. Myślę, że Sam mógł kazać mu przysłuchiwać się naszym rozmowom – albo dołożyć starań, by było nam trudno porozmawiać na osobności.

Zerkam na Oscara. Oddycha głośno, pojękując przy każdym wydechu.

– Myślisz, że Oscar również jest ofiarą paradoksalnego efektu leczenia?

– Myślę, że to może mieć jakiś związek.

Pozwalam głowie opaść na moment na ramię, a potem podnoszę wzrok na Thomasa.

– To dzieje się naprawdę, tak? Niepokoję się po prostu... Może ja też staję się taka jak on? – Wskazuję na Oscara.

Thomas uśmiecha się krzywo i chwyta mnie za ramiona.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem? Jest beznadziejnie?

– Beznadziejnie na maksa – odpowiadam, kiwając głową.

– No właśnie. A zatem to rzeczywistość – stwierdza i trąca mnie pięścią.

– Czego się jeszcze dowiedziałeś? – pytam.

– Niewiele.

– Czegoś o tabletkach?

– Nic konkretnego. Tak jak powiedziałem, ten system komputerowy nie był podłączony do tego drugiego superkomputera, ale znalazłem informację o tym, że ktoś pożyczał leki z szafki na trzecim piętrze. Właśnie tam możemy zacząć szukać. Ile straciliśmy czasu?

– Nie mam pojęcia. – Patrzę na jego zegarek. Jest już po północy. – Mam jakieś czternaście godzin.

Podnosi tabletki i porównuje dwa miejsca: dwie szafki z lekami i te złowróżbne czerwone kropki. Wzdycha.

– Jest źle. Wiem – mówię.

– Jeśli lubisz misje samobójcze, to powiedziałbym, że masz idealne warunki, by takową przeprowadzić.

– Dam radę.

– Aniele, w jedynej części tego budynku, w której działa elektryczność, znajduje się równocześnie mnóstwo facetów z bronią. A ta szafka wygląda na ekranie jak jedna wielka, rozlana, czerwona plama.

Nie zwracam uwagi na te słowa, jakby nie było w tym nic nowego.

– Ile czasu zajmuje naładowanie baterii?

– Około godziny.

– Przeżyłam do tej pory, zdołam przeżyć jeszcze godzinę.

– Takie przechwałki cię zabiją.

– Mówię ci, że mogę to zrobić.

– Wiem, że możesz, ale to fatalny pomysł.

– To wszystko było fatalnym pomysłem – mówię, odsuwając się od niego. – Powinieneś był zrobić to, co ci kazał 8-Bit. Nie powinieneś był tu ze mną wracać.

– Mogłabyś wyrażać się z większym uznaniem o moich osiągnięciach w zakresie autodestrukcji. – Gestem wskazuje zabandażowaną nogę. – Nigdy w życiu nie udałoby mi się samodzielnie doprowadzić się do takich obrażeń, Aniele.

– Dzięki. Znakomicie poprawiłeś mi humor.

– Nie żałuję, okej? Więc możesz przestać tak na mnie patrzeć.

– Nie mogę się powstrzymać. – Z trudem wykrztuszam słowa. – Czuję się okropnie.

– Ja też. Ale i tak bym się tak czuł. To wszystko nie jest twoją winą, a przynajmniej w ten sposób mogę spędzić trochę czasu w twoim towarzystwie, zanim pożegnám się z życiem. Nie wspominając już o Oscarze. Możliwość bliższego poznania go była prawdziwą przyjemnością.

– Thomas, to nie jest śmieszne.

Przyglądamy się sobie w milczeniu. Thomas obdarowuje mnie zmęczonym uśmiechem.

– Dlaczego mi pomagasz?

– Bo zasługujesz na to, by ci pomóc.

– Ale poważnie.

– Może dlatego, że wiele zawdzięczam pewnej osobie, której nie mogę już spłacić zaciągniętego długu, więc wybrałem cię na odbiorcę tej wierzytelności. Czy powód ma jakieś znaczenie? Zresztą najwyraźniej nie ja jeden.

– Co masz na myśli?

– Pamiętasz, że zanim fantastyczny pan O Nie postanowił nas zgnieść jak łupinki orzecha, powiedziałem, że znalazłem coś interesującego?

– No i?

– Pierwszą rzeczą, którą zrobili ci najemnicy, kiedy się tutaj znaleźli, było wyłączenie jedyne go zewnętrznego zapisu z kamer monitoringu.

– Ale ciągle przeglądamy strumienie wideo z kamer monitoringu. Wiemy, że działają.

– Tak, wewnętrzny system monitoringu nadal działa. Ale jeden ze strumieni wyłączyli.
– To znaczy?
– To działa jak telewizja przemysłowa. Nikt z zewnątrz nie powinien mieć do tego dostępu. Ale ktoś go uzyskał. Silnie zaszyfrowany strumień wideo przechodził przez ten komputer i założyłem się o wszystko, że gdybym go prześledził aż do źródła, okazałoby się, że stoi za tym twój przyjaciel Larry.

Wzdycham.

– Proszę, przedstaw mi po prostu wnioski. Jestem tak zmęczona, że to wszystko mi się nie składa w żadną sensowną całość, ale obiecuję docenić twój niezwykły spryt i inteligencję.

– No dobra, słuchaj. Myślę, że to oznacza, że ktoś z zewnątrz ma tajny dostęp do monitoringu. Ktoś obserwował to miejsce od momentu, w którym zostałeś tu przywieziony.

– Kto?

– Powiem ci. Ktoś, czyj majątek wyceniany jest na siedem i cztery dziesiąte miliarda dolarów.

– Myślisz, że Erskine Claymore obserwował szpital?

– Nie szpital. Ciebie.

Rozdział 23.

Pomysł, że jakiś prowadzący pustelniczy tryb życia miliarder obserwował mnie dwadzieścia cztery godziny na dobę, jest mniej niepokojący niż to, co widzę, gdy podnoszę wzrok. Tym razem nie ma już wątpliwości. Sam ma już dość obserwowania naszej prywatnej pogawędki. Patrzy mi prosto w oczy, a jego spojrzenie jest zimne i nieustępliwe.

– Mamy tu bardziej naglący problem – mówię.

Thomas odwraca się i patrzy.

– Szeptane narady chyba nie przypadły do gustu naszemu Samowi, co? – stwierdza.

Wiem, co powinnam zrobić – to, co zawsze robiły pielęgniarki. Zachowywać się tak, jakby urojenia tych gości były rzeczywistością. Sądzą, że są żołnierzami wysłanymi na wojnę? No to ich przekonam, że my również.

Pochyliam się nad Thomasem i mamroczę:

– Przepraszam cię za to.

– Za co?

Chwytam go za włosy, przywołuję na twarz możliwie wściekły i ponury wyraz i mówię tak, by tylko on mógł mnie usłyszeć:

– A więc to tak. Jesteś rudy.

Puszczam jego włosy i odpycham jego głowę może nieco silniej, niż zamierzałam. Na twarzy Thomasa maluje się takie samo zaskoczenie i uraza jak wówczas, gdy go uderzyłam.

– Au! O co ci chodzi? Masz coś do rudych czy jak?

Przez zaciśnięte zęby cedzę:

– Ochrzaniam cię za... no wiesz, pyskowanie.

– To się nazywa niesubordynacja.

– Wszystko jedno. Po prostu się wczuj.

– Dlaczego?

Wymierzam palec w jego twarz i mówię:

– Będziesz robił, co ci każę, rozumiano?

Unosi obronny gestem dłonie.

– Już dobrze, już dobrze! Boże...

Trudno powiedzieć, czy wczuł się w rolę, czy jest po prostu wkurzony. Mówię cicho:

– Myślę, że trochę ich to uspokoi, jeśli pomyślą, że szepczemy dlatego, że cię ochrzaniam.

– A nie moglibyśmy poudawać, że jesteśmy parą? Wtedy to nasze przesiadywanie razem przestałoby wyglądać podejrzanie.

– Powiedziałaś im, że pracujemy w służbach specjalnych. Zakochanych par nie wysyła się na ratunek jeńcom wojennym.

– Może jesteśmy jedyni w swoim rodzaju.

– Thomas.

Wzrusza ramionami.

– No dobra. Możesz ochrzaniać mnie dalej.

Przykucam przed nim i wrzeszczę:

– Nie chcę więcej słyszeć takiego tonu, rozumiano?

Thomas kiwa głową i zaczyna zrzędzić:

– Mój pomysł był znacznie przyjemniejszy. Wolałbym udawać twojego chłopaka niż wysłuchiwać tych wrzasków.

Zaczynam krążyć po sali, starając się wyglądać na oburzoną. Sylvester podaje Samowi plecak, a ten zaczyna go przetrząsać.

– Nabrali się? – szepczę.

Thomas zerka za mnie i nagle na jego twarz wypełza strach.

– Co się dzieje? Co Sam teraz robi? – pytam.

– Wiedziałas, że w plecaku jest pistolet?

– Poważnie?

– Obawiam się, że tak.

– No to świetnie.

Thomas ponad moim ramieniem nie spuszcza wzroku z Sama.

– Na pocieszenie powiem ci, że nie wygląda na to, żeby widok pistoletu jakoś specjalnie go uradował.

Odwracam się w stronę Sama i kiwam głową. On zaś potrząsa głową, jakby wiedział, o czym myślę. Czasem niełatwo jest utrzymać dyscyplinę w oddziale. Mija dziesięć pełnych napięcia minut. Zastanawiam się, co Sam może zrobić z tym pistoletem, ale uzbrojony sprawia wrażenie znacznie bardziej odprężonego. Staram się nie okazywać niepokoju, kiedy na zmianę ładuje magazynek i wysuwa go z powrotem, jakby się bawił pajacykiem wyskakującym na sprężynce z pudełka. Przynajmniej czymś się zajął i przestał zwracać na nas uwagę.

Przysuwam się bliżej Thomasa, nie bardzo wiedząc, co teraz zrobić. Thomas się nie rusza. Ma zamknięte oczy i zastanawiam się, czy zasnął.

– Hej, chyba nie powinieneś spać.

– Nie śpię – mówi, nie otwierając oczu. – Widzę cię doskonale.

– Twoja kolejna magiczna sztuczka?

– No.

Uśmiecha się w stronę sufitu i nagle twarz mu się kurczy. Nie potrafię powiedzieć, czy z bólu, czy z jakiegoś innego powodu, ale zbyt długo się nie rusza. Robię się niespokojna.

Delikatnie szturcham go w ramię.

– Daj spokój. Musisz być czujny.

– Jestem absolutnie czujny. Swoją drogą, jakbyś się kiedykolwiek nad tym zastanawiała, to powiem ci, że działanie morfiny jest naprawdę przyjemne.

– Miło to słyszeć. O czym teraz myślisz?

– A dlaczego sądzisz, że w ogóle o czymś myślę?

– Ten bolesny grymas, który zobaczyłam przed chwilą.

– Czasem po prostu tak robię. Dziewczeta nie mogą się oprzeć.

– Daj spokój. Nie kupuję tego.

– Pomyślałem sobie... – Otwiera oczy i mruga powoli. – Może jak już to wszystko się skończy, to mnie również mogliby usunąć pamięć.

Otwieram usta ze zdumienia.

– Aniele, mówię poważnie.

– Dlaczego w ogóle o tym mówisz?

– Nie masz... Nie podejrzewasz... – Potrząsa głową. – Kiedy 8-Bit dostał to zlecenie, przeczytałem o was wszystko. O tutejszych pacjentach. O terapii Tabula Rasa pozwalającej usunąć wszystkie wspomnienia.

– I?

Spojrzenie jego brązowych oczu przeszywa mnie na wylot.

– Pozazdrościłem wam.

– *Pozazdrościłeś?* Jak można zazdrościć czegoś takiego?

– Cokolwiek zrobiłaś, nie musisz tego pamiętać. Możesz zacząć od początku, jakbyś narodziła się na nowo.

– Ale ja nie narodziłam się na nowo. Odebranie mi wspomnień niczego mi nie dało. Ani wolności, ani spokoju, ani niczego, co mógłbyś tam sobie wyobrazić. Uwierz mi, nie chciałbyś się czuć tak, jak ja się czuję. To coś koszmarne.

– Dlaczego?

– Zanim zaczęłam odzyskiwać swoje wspomnienia, czułam się nikim.

– Tak właśnie chciałbym się poczuć. Chciałbym nic nie czuć.

– Nie powiedziałam, że nic nie czułam. Powiedziałam, że czułam się nikim. Może tego właśnie nie zrozumieli, zanim zabrali się do grzebania w naszych mózgach. Kiedy odbierasz człowiekowi wspomnienia, odbierasz mu również tożsamość. Możesz sądzić, że czujesz się lepiej, ale wcale tak nie jest. Jest cię mniej, niż było kiedyś. W każdym razie ja się tak czuję.

– Posłuchaj, wiem o tobie wszystko – mówi.

– Ledwo co mnie poznałeś.

– Może i tak, ale mimo to potrafię dostrzec twoją wyjątkowość.

Próbuje podciągnąć się wyżej, ale bezskutecznie. Chcę mu pomóc. Chcę go objąć, by mógł oszczędzać siły. Ale dowódcy tak się nie zachowują.

– Moja matka podróżowała po świecie, skupując dzieła sztuki. Wyjeżdżała na całe tygodnie. Jest bogatą kobietą, zawsze była bogata, a przy tym niezmordowana, jakby szukała czegoś, nie mając pewności, co to właściwie jest. Im usilniej szukała, w tym gorszym była stanie. Myślę, że podróżując, miała poczucie, że robi coś wartościowego, chociaż tak naprawdę jeździła po prostu na długie zakupy, podczas gdy ja i moja siostra siedzieliśmy w domu z opiekunką.

– No i?

– Cicho bądź i słuchaj. Któregoś razu przywiozła z Japonii miseczkę, za którą zapłaciła sześć tysięcy dolarów. Była to po prostu miseczka na ryż, wielkości dwóch złożonych dłoni. Miała kilka rys i zapytałam matkę, dlaczego się nią tak podnieca, skoro jest potłuczona. Odpowiedziała, że spodobał jej się kolor. Rzeczywiście, coś w nim było. Była to bardzo jasna, kielkująca dopiero zieleń. Moja matka określiła ją jako wiosenną zieleń. Kolor czegoś, co dopiero ma wyrosnąć.

– Urocza anegdota, ale co to ma wspólnego ze mną?

– Twoje oczy mają taki właśnie kolor. Kolor tej miseczki. Kolor czegoś, co dopiero ma wyrosnąć.

Takie piękne słowa. Ale nie wiem, czy na nie zasługuję.

– Thomas... Ja...

Zerkam na swoje dłonie i widzę, że drżą. Thomas przykrywa je swoimi. One również drżą, ale kiedy składamy je razem, wzajemnie się uspokajają.

– Żałuję, że nie możesz zobaczyć tej miseczki. Zrozumiałabyś, co chcę powiedzieć. Ale nigdy jej nie zobaczysz.

– Dlaczego? Myślisz, że nigdy nie uda nam się stąd wydostać?

– Nie. Moja siostra rozbiła ją, próbując zemścić się za coś na matce. Matka nie odzywała się do niej przez miesiąc.

– Czy to właśnie tę siostrę zabawiałeś magicznymi sztuczkami?

– Tak. Lainey. Miała na imię Lainey.

Blednie, a jego spojrzenie przybiera nieobecny wyraz. Wiem, że ma to coś wspólnego ze wspomnieniem siostry.

– Thomas, jak umarła twoja siostra?

Opada na podłogę, twardo uderzając w nią potylicą.

– Zabílem ja.

Rozdział 24.

– Powinnaś wiedzieć, kim naprawdę jestem. Powinnaś wiedzieć, co zrobiłem – mówi Thomas.

– Wiem, kim jesteś. Jesteś człowiekiem, który pozwolił mi odzyskać tożsamość. I gdyby nie ty, byłabym już martwa.

– Myślisz, że mnie znasz, ale to nieprawda. Powinnaś to usłyszeć, Aniele.

– No dobrze. Powiedz mi.

– Moja siostra i ja dorastaliśmy razem i byliśmy sobie bardzo bliscy. Lainey była silna i inteligentna. No bo pomyśl, bogata dziewczynka, która miała wszystko. Sądziłabyś, że będzie rozpuszczona, ale wcale taka nie była. Zawsze myślałem, że gdyby nie urodziła się w bogatej rodzinie, wszystko byłoby dobrze. Nie przywiązywała wagi do pieniędzy. Nosiła niechlujne ubrania i dziurawe buty. Rodziców doprowadzało to do szału.

Patrzy na mnie. Chciałabym powiedzieć, że rozumiem, ale wcale tak nie jest.

– Uważałem kiedyś, że to nawet zabawne. Byłem adoptowanym dzieckiem, a Lainey była ich dzieckiem biologicznym. To ja powinienem stwarzać problemy, prawda? Ale nie. Była dość pokręcona. Po raz pierwszy wyłądownała na odwyku chyba wtedy, kiedy miałem piętnaście lat. Ale jej się poprawiło. Wszyscy tak sądziliśmy. Kiedy wyjechałem, była trzeźwa od roku. – Urywa i przełyka ślinę, jakby próbował przełknąć coś gorzkiego. – Kilka tygodni po tym, jak wyjechałem z 8-Bitem, rozbiła się samochodem o betonową barierę na poboczu jakiejś autostrady.

– I niby dlaczego to jest twoja wina?

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Szukała mnie po tym, jak wyjechałem z 8-Bitem. Nikt nie wiedział, dokąd pojechałem. Rodzice zgłosili zaginięcie. Myśleli, że coś mi się stało.

– To dlaczego powiedziałeś, że dopiero niedawno poznałeś swojego ojca?

– 8-Bit pojawił się znikąd w mojej szkole z internatem zaraz po mojej kolejnej, już chyba tysięcznej awanturze z przybranym ojcem. Zawsze wiedziałem, że jestem adoptowany, ale historia, którą mi opowiedział 8-Bit... Myślałem, że wygrałem los na loterii. Mój ojciec jest słynnym hakerem? Od wielu lat mieszkał za granicą, nie mogąc powrócić do Stanów ze względu na listy gończe, a pierwszą rzeczą, którą zrobił po postawieniu stopy na amerykańskiej ziemi, był przyjazd po mnie?

– Założę się, że poczułeś się jak ktoś wyjątkowy.

– Pomyślałem, że to wyjaśnia, skąd mam taki talent do pisania kodu. I przepisywania kodu napisanego przez innych. Zaproponował, że wprowadzi mnie w arkana swojego fachu, a ja natychmiast zdecydowałem się skorzystać z okazji. Wyjechałem bez słowa. Nie wiedzieli, co się ze mną stało. Mój przybrany ojciec rzeczywiście potrafił się zachować jak idiota, ale matka... Jest płytką, bogatą paniusią, która wydaje za dużo pieniędzy na głupoty, ale mnie kocha. Kochała. Dopóki nie zabiłem swojej siostry.

– Nie zabiłeś swojej siostry.

– Równie dobrze mógłbym ją zabić.

– Skąd się o wszystkim dowiedziałeś?

– Zadzwoiłem do nich. Dopadły mnie wyrzuty sumienia, że się o mnie martwią. No i do tego, wiesz, nie spodziewałem się, że życie z 8-Bitem okaże się tak skomplikowane.

Pociągam go za ufarbowane włosy.

– No właśnie. Ciągłe ukrywanie się przed policją to prawdziwa męka. A przy tym 8-Bit nie był tak naprawdę *ojcem*, rozumiesz? Pewnego wieczoru, kiedy graliśmy w gry wideo

i jedliśmy burritos z mikrofalówki dziesiąty dzień z rzędu, zdałem sobie sprawę, że mój przybrany ojciec pienił się o moje stopnie i różne takie rzeczy dlatego, że tak właśnie zachowują się ojcowie. I tak właśnie mają się zachowywać. A nie próbować pobić twój wynik w jakiejś strzelance.

– Co ci powiedzieli rodzice, kiedy zadzwoniłeś do domu?

– Nigdy nie zapomnę głosu matki. Powiedziałem jej, że nie mogę długo rozmawiać, ale wszystko u mnie w porządku. Potem zapytałem o Lainey i po drugiej stronie słuchawki zapadła martwa cisza. Matka powiedziała mi w końcu, że Lainey wbiła sobie do głowy, iż musi pojechać mnie szukać. Potem do słuchawki dorwał się ojciec i zaczął na mnie wrzeszczeć. Wykrzyczał, żebym już nigdy nie wracał do domu. Powiedział: „Wygrałeś, Thomas. Wygrałeś. Jak się z tym czujesz?”. I się rozłączył.

– Co to znaczy „wygrałeś”? Co wygrałeś?

– Myślę, że miał na myśli to, że wygrałem naszą bitwę o to, czyje będzie na wierzchu, moje czy jego. Nieustannie się ścieraliśmy, bo wywalali mnie ze wszystkich ekskluzywnych prywatnych szkół, w których mnie umieszczali, głównie za włamywanie się do szkolnych komputerów i grzebanie w nich. Powiedział mi, że włamuję się do systemów, bo w głębi serca jestem oszustem. Powiedział mi, że robiłem to, bo nie potrafiłem przegrywać. Nie miałem na tyle charakteru, by pogodzić się z porażką. Powiedział mi, że przyjmowanie porażek z podniesioną głową wymaga odwagi, której w gruncie rzeczy nie mam.

– To potworne.

– Potworne. Ale miał rację. I dlatego właśnie moja siostra nie żyje.

– Rozumiem, dlaczego możesz się tak czuć. Ja też czuję się winna temu, co ci się przydarzyło. Odpowiedzialna za to, że zostałeś ranny.

– To coś innego. Przyszedłem tu z własnej woli, pamiętasz? O ile sobie przypominam, upierałem się przy tym mało uprzejmie.

– Zbyt łatwo wybaczasz. Wszystkim, tylko nie sobie. – Ściskam go za rękę. – Przykro mi z powodu twojej siostry.

Ma mokre oczy. Potrząsa głową.

– Nie współczuj mi. Nie zasługuję na to. To siebie powinnaś żałować. Popatrz, co tutaj robią z aniołami. Przykro mi nawet z powodu tego głupiego Oscara.

– Nie, nie jest ci przykro.

– W sumie masz rację. Nie jest mi przykro. Nienawidzę Oscara i mam nadzieję, że spędzi resztę życia za kratkami, bojąc się schylić po mydło pod prysznicem.

Patrzę na siedzących w kręgu żołnierzy.

– Zastanawiam się, czy skończę jak ci faceci.

– Nie skończysz. Zdobędziemy dla ciebie tę ostatnią tabletkę. I dowiemy się, dlaczego cały elitarny szwadron próbuje cię dorwać. Słyszysz?

– Słyszę.

– To dobrze.

Z przeciwległej strony pomieszczenia dobiega nagły jęk. Oscar przekręca głowę na prawo i lewo, jakby miał się obudzić.

– O nie – wzdycham z rozpaczą.

– Nikt nigdy nie wymyślił bardziej adekwatnego przezwiska. – Thomas się uśmiecha i mruga do mnie, zmieniając pozycję.

Elmer mierzy Oscarowi tętno i unosi mu powieki. Oscar chwytą go za nadgarstek i wykręca mu rękę. Sam, Sylvester i Jerry dopadają go w sekundę, ale potrzeba ich aż trzech, żeby go obezwładnić. Podbiegam, żeby im pomóc.

– Nic się nie dzieje. Straciłeś przytomność. Oni chcą ci pomóc – próbuję go uspokoić. Oscar otwiera oczy, ale wydaje się, jakby nas nie widział. Zaczyna się rzucać tak wściekle, że sprawia to wrażenie ataku epilepsji.

Po kilku sekundach Elmer wbija mu strzykawkę wypełnioną jakimś środkiem i ciało Oscara się rozluźnia, ale tylko odrobinę. Elmer patrzy na mnie z niepokojem.

– Podałem mu taką dawkę środka uspokajającego, że powaliłaby nosorożca, ale nie wiem, jak długo jeszcze będzie spał.

Oscar się wzdryga i przekręca z boku na bok.

– Kilka szwów, które założyłem mu na głowie, puściło – mówi Elmer. – Może będziemy musieli założyć dodatkowe...

– Nie.

Ostatnie, czego nam trzeba, to przerażony Oscar, który po przebudzeniu widzi obcego kolesia zszywającego mu głowę.

– Aniele – odzywa się Thomas.

Podchodzę szybko i nachylam się nad nim.

– Powinnaś zabrać ze sobą dwóch z tych gości – szepcze. – Jako zabezpieczenie.

– Nie mogę!

– Oni i tak są na wojnie, więc co za różnica?

– Wyobraźnia ich nie zabije, a ci faceci z bronią strzelają... no wiesz, prawdziwymi kulami.

– Oboje dobrze wiemy, że oni nie mają przyszłości. Dlaczego nie dać im szansy wywalczenia sobie drogi ucieczki?

– Wykorzystalibyśmy ich w ten sposób.

– Owszem. Ale jeśli chcesz zdobyć tę tabletkę na czas, być może to właśnie będziesz musiała zrobić.

Rozdział 25.

Kłócimy się z Thomasem tak głośno, że nasze słowa docierają do uszu Sama.

– Zrobimy to – mówi Sam.

Thomas rzuca mi zdumione spojrzenie. Już mam coś powiedzieć, kiedy wpada mi w słowo:

– Jeśli macie wziąć udział w tej akcji, powinniście się najpierw czegoś dowiedzieć.

Zostaliście... zostaliście przeniesieni w nowe miejsce.

Sylvester jest kompletnie zdezorientowany.

– Co? Ale jak to?

– Odurzono was lekami i przywieziono tutaj – ciągnie Thomas. – Przewożono was w różne miejsca, żebyście stracili orientację i żeby nie można było was zlokalizować. Wiedzą, że jesteście cennym zasobem, który mogą wymienić na własnych, ehm, żołnierzy wziętych do niewoli.

Sylvester momentalnie zaczyna przytakiwać, ale Sam nie pozbył się jeszcze wątpliwości.

– Jak nas w takim razie znaleźliście?

– Szczerze mówiąc, my również uciekaliśmy i wpadliśmy na was przypadkowo.

Mieliśmy szczęście.

Sam zaczyna krążyć po pomieszczeniu. Po dłuższej chwili namysłu wydaje się pogodzony z tym, co właśnie usłyszał. Thomas na tablicy pokazuje żołnierzom rozkład górnych kondygnacji.

– Są trzy przejścia, które łączą to skrzydło z budynkiem głównym szpitala: na parterze, na trzecim i na szóstym piętrze. Możliwe, że piwnice są również połączone. Możliwe jest także, że łączący je tunel nigdy nie został ukończony. Połowa tego ośrodka jest nieukończona.

Thomas pokazuje im najkrótszą drogę do szafki z lekami, chociaż nie wyjaśnia, że taki jest właśnie „cel misji”. Mówi im, że szukamy centrum komunikacyjnego, gdzie możemy naładować baterię komputera, i mamy na wykonanie tego zadania tylko kilka godzin.

Kładzie palec na mapie i patrzy po kolei na każde z nas.

– Jestem prawie pewien, choć mogę się kompletnie mylić, że znajdziecie działające gniazdko w tym rejonie. Jest to jednocześnie na tyle daleko od obozu wroga, że niewielkie jest prawdopodobieństwo, że zostanieie ostrzelani.

Wręcza mi baterię i zasilacz.

– Podłącz to do prądu, nie daj się zabić i wróć tutaj.

Próbuję mu wyciągnąć baterię z rąk, ale nie puszcza.

– Drugie i trzecie jest ważniejsze niż pierwsze – mówi, patrząc mi w oczy.

– Zrozumiałam. – Wyszarpuję mu baterię i szybko rzuciwszy okiem na jego rozharataną nogę, mówię do Elmera: – Jeśli nie wrócę...

– Zamknij się – mówi Thomas, patrząc mi prosto w twarz.

Nie zwracam na niego uwagi i mówię dalej do Elmera:

– Na niższym poziomie, po drugiej stronie budynku głównego, jest garaż. W środku stoi mały traktor. Jeśli zdołacie umieścić Thomasa na wózku inwalidzkim, żeby go przewieźć...

– Zamknij się – powtarza Thomas.

Odwracam się i wbijam w niego wzrok.

– Jesteś pewien, że chcesz, żeby tak właśnie brzmiały ostatnie słowa, które do mnie skierujesz?

– Tak, jestem pewien. Pozwolę sobie na tę niesubordynację. Zamknij się.

Uśmiecha się od niechcienia, a ja próbuję odwzajemnić ten uśmiech. Staram się w każdym razie. Podejrzewam, że wygląda to, jakbym szczyrzyła zęby, próbując jednocześnie nie zwymiotować. Tak się mniej więcej czuję na myśl o tym, że Thomas może tutaj umrzeć.

Zakładam sobie komputer na przedramię tak samo jak żołnierz, którego Oscar wepchnął do wykopu. Sam wyjmuję różne rzeczy z plecaka i część wręcza Jerry'emu i Sylwestrowi, a część upycha sobie po kieszeniach i za paskiem.

– Proszę. Weź kilka – mówi do mnie.

Patrzę na to, co mi wręczył. To błyszczące krążki koloru grafitu o średnicy może pięciu centymetrów. Sylvester śmieje się, jakbym właśnie wyjęła zza pazuchy misia z jego dzieciństwa.

– Miny – mówi Jerry.

Wyjmuję mi jedną z ręki i rzuca niedbale o drzwi.

Uchylam się, ale słyszę tylko głośny brzęk, kiedy krążek uderza o drzwi. Nic się nie dzieje. Sam się uśmiecha.

– Magnetyczne – wyjaśnia. – Przekręcisz je, rzucasz w coś metalowego i się przyczepiają. Dziesięć sekund później... bum! Przekręcisz je odrobinę i wybuch jest mniejszy. Jak przekręcisz maksymalnie, potrafią wyrwać w pojeździe opancerzonym dziurę wielkości człowieka. Bardzo skuteczne. – Stawia plecak na podłodze i klęka obok. – Masz tu też kilka innych rzeczy: zapas amunicji, krótkofalówki, nóż... O, i to. – Pokazuje mi coś, co wygląda jak ciemnoszary kawałek gumy do żucia. – Wybuchowe paski C4. Byłyby bezużyteczne bez zapalników, ale te też macie. – To paczka z dwoma krążkami czegoś, co wygląda jak plastelina. Jeden krążek jest czarny, a drugi biały. – Zgnieć te dwa materiały razem, umieść je na dowolnej powierzchni, a wypalą dziurę na trzy centymetry, niezależnie od tego, jak gruba jest ta powierzchnia.

– A jak ona ma się przeczołgać przez dziurę o średnicy trzech centymetrów? – pyta Thomas.

– Nie musi. Bo jeśli umieści to na przykład na zamku...

Wszystkie te gadzety i drobiazgi niesłychanie cieszą Jerry'ego. Wydaje się, że potwierdzają to, co mówił Sylvester: że ja i Thomas jesteśmy jakimś nietypowym zespołem pracującym w siłach specjalnych.

– Melduję gotowość oddziału – mówi do mnie Sam, podnosząc trzonek swojego toporka. Thomas patrzy na mnie z dumą.

– Wygląda na to, że doczekałaś się awansu na polu walki.

Rozdział 26.

Biorąc pod uwagę, że wszyscy utknęliśmy w jakimś koszmarnym śnie, nie mogę liczyć na żaden inny oddział zabezpieczający niż tych trzech żołnierzy.

Sam, Jerry i Sylvester idą przede mną korytarzem wskazanym przez Thomasa. Sam kazał chłopakom nauczyć się rozkładu na pamięć, co uczynili niemal natychmiast. Ja niestety niewiele zapamiętałam i po trzech pierwszych zakrętach czuję się kompletnie zagubiona.

I wtedy napotykam pierwszy problem.

Klatka schodowa, z której chcieliśmy skorzystać, jest zasypana gruzem. Od góry wpadają silne podmuchy wiatru, nawiewające do środka śnieg. Sylvester unosi dłoń i z wyrazem zaciekawienia na twarzy chwyta płatek śniegu.

– Musimy być w górach – mówi. – Słyszałem, że tutaj śnieg pada nawet na pustyni.

Ta nieoczekiwana blokada nie skłania Sama do odwrotu. Gestem dłoni kieruje nas po prostu w inny korytarz. Jakies sześć metrów dalej znajdujemy drogę do góry: poszarpaną dziurę w suficie. Wielka belka spadła na dół, tworząc stromą rampę.

Sam wskakuje na belkę i sprawdza jej wytrzymałość, skacząc po niej, by się upewnić, czy wejście na nią będzie bezpieczne. Jedno po drugim wchodzimy na górę, pochylając się nisko i wciągając się po belce za pomocą rąk. Przypomina mi to wspinanie się w dzieciństwie na zjeżdżalnię. W połowie drogi przypominam sobie, że robiłam to już wcześniej, i to wielokrotnie. Teraz jestem jednak przerażona, chociaż od podłogi dzieli mnie zaledwie dwa i pół metra. Może usuwając mi wspomnienie wspinania się na niedokończone wieżowce, pozbawili mnie również odwagi. Jak to możliwe, że wspaniałam się na takie wysokości?

Wracamy na klatkę schodową powyżej zablokowanego przejścia i wspinamy się na kolejny poziom. Na końcu korytarza błyska cienki, pionowy promień światła. Może to szpara w drzwiach? Jeśli Thomas się nie mylił, powinniśmy się zbliżyć do pierwszego łącznika łączącego trzecie piętro skrzydła i budynek główny. Tutaj w ogóle nie powinno być drzwi. Patrzę na ekran i pokazuję Samowi uniesiony kciuk. Żadnych żołnierzy przed nami. Sam biegnie skulony korytarzem. Zatrzymuje się tuż przed drzwiami i chwyta za klamkę, ale drzwi są zamknięte. Szybko ugniata razem czarny i biały kit i przykleja go do zamka.

– Nie patrz wprost na to – mówi i dobrze, że mnie uprzedził, bo właśnie zamierzałam patrzeć.

Płomień czy jakaś chemiczna reakcja rozbłyskuje oślepiającą bielą przez pół minuty, a potem samoczynnie gaśnie jak wypalone zimne ognie. Gdy Sam uchyla drzwi, a potem otwiera je na oścież, w korytarzu robi się jaśniej.

Znaleźliśmy łącznik. A w każdym razie to, co miało się nim stać.

– Nieskończony – mówi Sam.

Patrzymy w nicość, ale się rozpromieniam. Łącznik wygląda jak dwa tory kolejowe połączone kilkoma skośnymi belkami usztywniającymi pokrytą grubą czapą śniegu konstrukcję, z której zwisają sopele. Gdyby ktoś spadł na znajdujący się dwa piętra niżej łącznik na parterze, niechybnie złamałby kark.

Wbijam wzrok w przestrzeń dzielącą dwa budynki. Coś jest nie tak. Liczę piętra, starając się rozstrzygnąć, gdzie wyjdziemy, gdyby udało nam się pokonać ten oblodzony most, ale trudno to jednoznacznie stwierdzić. Oba budynki znajdują się na górskim zboczu, a budynek główny położony jest wyżej.

Stawiam jedną stopę na belce i kiedy przenoszę ciężar do przodu, próbując iść, przesuвам się nieco zbyt mocno na bok i zaczynam się zsuwać. Sam chwyta mnie za ramię.

– Pójdę pierwszy – mówi.

Wychodzi pewnie na belkę, wyciągając dla równowagi ręce po bokach. Nie patrzy w dół. Porusza się drobnymi, szybkimi krokami, stopy stawiając niemal prostopadle do belki. Patrzę na jego bosc stopy. W pokonywaniu tego oblodzonego stalowego dźwigara mogą się sprawdzać nawet lepiej niż buty. Zdejmuję buty razem ze skarpetkami i zawieszam je sobie na szyi.

Dotykam belki końcem palucha i momentalnie cofam stopę, jakby coś mnie ugryzło. Lód jest tak zimny, że aż parzy.

Strach rozpełza mi się w piersiach jak kropla atramentu w wodzie. Zabarwia wszystko. Zwracam palce stóp na zewnątrz niczym baletnica, tak jak robili to przechodzący przede mną żołnierze. Zmuszam się, by przenieść cały ciężar ciała na stopy i zaangażować się w pełni w to, co robię. Wydaje mi się, że tak właśnie musiałam to kiedyś robić. Ludzie nie są odważni, jeśli nie muszą. Najpierw trzeba się zaangażować, a odwaga przyjdzie sama.

Idę – równie szybko i pewnie jak przede mną Sam, Sylvester i Jerry. Śledzą moje kroki w milczeniu. Ani jednego słowa zachęty. Nic. Pozwalają mi po prostu zmierzyć się z tym zadaniem, nie rozpraszając mojej uwagi.

Sam zużywa kolejną porcję kitu przepalającego ściany, by rozprawić się z zamkiem w drzwiach po drugiej stronie mostu, po czym otwiera je, przywierając do ściany na wypadek, gdyby ktoś był w korytarzu. Czekaemy i wreszcie Sam zagląda do środka. Gestem każe nam iść za sobą. W korytarzu jest ciemno, a Sam nie chce ryzykować posługiwania się światłem.

– Jerry, idź przodem i znajdź drogę. Pójdziemy przy ścianach – mówi.

Kładę dłoń na ścianie, by móc wymacać drogę. Po przejściu może dziesięciu metrów korytarzem faktura ściany się zmienia. Dotykam szkła.

Sam pyta w końcu:

– Co to za miejsce?

– Nie jestem pewna – odpowiadam. – Ale prawie na każdym piętrze są okna obserwacyjne.

Jerry wychodzi na czoło i kilka sekund później słyszymy łomot, a po chwili odgłosy stawania Jerry'ego z powrotem na nogi.

– Zablokowane – woła do nas.

Macamy ściany wokół siebie. Z jednej strony beton, z drugiej szkło. Utknęliśmy.

– Po prostu przetnijmy szkło – mówi Sylvester. – Albo je stłuczmy.

– Jak? – pytam.

– Możemy się znów posłużyć kitem przepalającym, co spowoduje popękanie szkła – wyjaśnia Jerry.

– Tak zrobimy – zgadza się Sam.

Chwilę później zamykam oczy i przygotowuję się, by nie patrzeć na chemiczny płomień. Słyszę, jak Jerry przykleja kit do okna.

– Osłonię je dłońmi na wypadek, gdyby ten obszar był pod obserwacją – mówi Jerry.

Czekamy. To nie powinno trwać długo. Opieram się o ścianę i dotykam czegoś głową. To niewielka tabliczka. Dotykam palcem napisu. Cyfra dwa. Nie trafiliśmy zatem na trzecie piętro. Jesteśmy na drugim.

I w tym momencie, gdy jest już za późno, przypominam sobie, dlaczego te ściany zrobione są ze szkła.

– Zdejmij to! – wołam. – Zdejmij to natychmiast!

– Nie mogę. Kiedy reakcja się rozpocznie, nie można jej przerwać – mówi Sam.

– To akwarium! Ciągnie się przez cały korytarz!

Obserwowanie tego ogromnego zbiornika z tropikalnymi rybkami miało wywierać kojący

wpływ na pacjentów. Steve powiedział mi kiedyś przy okazji narzekań na ostatnią mizerną podwyżkę, że mieści się w nim sto czternaście tysięcy litrów wody i kosztowało szpital dwa miliony dolarów.

Jerry odsuwa dłonie od ładunku. Kiedy blask się wzmaga, dostrzegam wewnątrz akwarium. Rośliny się nie poruszają, woda jest mętna. Większość ryb nie żyje, ale kilka trzyma się przy powierzchni, desperacko szukając tlenu.

Wstrzymuję oddech i czekam.

Pierwszy ładunek stapia grube szkło i się wypala. Prawie natychmiast słyszymy dźwięk wody wytryskującej na podłogę, jakby ktoś do oporu odkręcił szlauch. Pachnie rybami i słonymi, gnijącymi roślinami. Cofam się o krok i wsuwam stopy z powrotem do butów. Skarpetki zostają w palcach.

Wybucho następnego ładunku i wytryskuje kolejna struga wody. W korytarzu ponownie zapada ciemność. Kilka sekund później przez szum płynącej wody przebija się dziwny dźwięk. Brzmi to tak, jakby ktoś ciął diamentem powierzchnię szkła.

Włączam tablet i świecę sobie poświatą ekranu jak latarnią. Widzimy tworzące się pęknięcie. Łączy dwie dziurki, a potem biegnie poziomo, szybko jak błyskawica, przez całą długość zbiornika. Zaczynają się od niego rozgałęziać tysiące innych pęknięć.

Szkło pęka jak kra na rzece. Woda zaczyna się sączyć ze środkowego pęknięcia, początkowo tylko odrobinę, a po chwili... cisza.

Sekundę później cała ściana zbiornika eksploduje na zewnątrz.

Rozdział 27.

Woda rzuca mnie w tył i przyciska do ściany. Wydaje się, że trwa to w nieskończoność, ale wstrzymuję oddech z nadzieją, iż wytrzymam. Ktoś na mnie wpada. Biorę haust powietrza i uderzam głową w znak wyjścia na suficie. Chwytam go i podciągam się do góry, przeciwstawiając się prądowi wody spływającej w kierunku drzwi, którymi weszliśmy. Pod powierzchnią wody ktoś chwyta mnie za kostkę i pociąga.

Chwilę później ciśnienie napierającej wody wyrywa drzwi z zawiasów. Osoba trzymająca mnie za kostkę rozluźnia uścisk. Patrzę bezradnie, jak postać, której nie rozpoznaję, wypryskuje razem z wodą za drzwi i znika w pustce.

Woda w korytarzu szybko opada, raptownie wypływając na zewnątrz. Chwilę później osuwam się na podłogę. Korytarz zasłany jest kamyczkami i sztucznymi ceramicznymi koralowcami. Poślizguję się na sporej pasiastej rybie w jaskrawym kolorze piłki tenisowej. Sam jest w dalszej części korytarza, nadal uczepiony kawałka metalu zwisającego z sufitu. Metal jest ostry i na jego dłoniach widać głębokie, silnie krwawiące rany. Kaszle, próbując wykrztusić wodę z płuc. Rozglądam się za Jerryem. Nie widzę go. Zdejmuję sobie z szyi jakąś roślinę i chwiejnym krokiem ruszam do drzwi. Jerry trzyma się nogami jednej z rozpór nieskończonego łącznika, jakby jechał konno na oklep. Sylvester leży na brzuchu na ziemi poniżej. Nie rusza się.

– Jerry, czy możesz się wdrapać tutaj z powrotem?

Mamrocze coś przez moment, po czym kiwa głową. Woda zmyła z korytarza część gruzu. Przełazimy przez zniszczone akwarium na drugą stronę. Ani Sam, ani Jerry nie okazują żadnych emocji, kiedy mówię im, że Sylvester spadł i że wydaje mi się, iż nie żyje.

– Musimy iść dalej. Przyjdą i zaczną dociekać, co się tutaj stało – mówi Sam.

Jerry kiwa potakująco głową.

– Czekaj – mówię do Sama.

Zdejmuję buty i skarpetkami opatruję Samowi krwawiące dłonie. Kiepski to bandaż, ale lepsze to niż nic. Jestem pewna, że z tabletu nie będzie już żadnego pożytku, ale kiedy dotykam ekranu, rozjaśnia się, jakby się do mnie uśmiechał.

I wtedy ich słyszymy: grupę zbliżających się żołnierzy. Rozchlapiją resztki wody na podłodze, tuż za naszymi plecami.

Pospiesznie idziemy korytarzem i nagle gwałtownie skręcam w prawo. Wychodzę za róg, a Sam i Jerry idą za poświęcią tabletu. Wiem, gdzie jesteśmy: w korytarzu prowadzącym na salę gimnastyczną.

– Dokąd idziemy? – pyta Sam.

– Skrót – odpowiadam. – Przez szatnię.

Przeżywam idiotyczny moment zawahania, widząc tabliczkę „męska” na drzwiach, po czym popycham drzwi i wchodzę do szatni. Kilka rzędów szafek przewróciło się, uderzając jedna o drugą. Słyszę stały, niski pomruk – dźwięk prądu elektrycznego. Sam kiwa głową i stwierdza:

– Brzmi obiecująco.

Naszym jedynym źródłem światła jest tablet przypięty na moim przedramieniu. Kieruję go w stronę przeciwnego końca szatni, starając się zorientować, czy mamy wystarczająco dużo miejsca, by przycisnąć się na drugą stronę przy wszystkich tych szafkach blokujących drogę. Nie sądzę, żeby się udało. W każdym razie nie na stojąco.

Sam odwraca się do Jerry'ego.

– Pomóż mi to przesunąć.

Jerry sięga ku pierwszej z poprzewracanych szafek, by na powrót ustawić je prosto.

– Stop – mówię.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia z sufitu zwisa kabel, iskrzący i wijący się jak jadowita czarna mamba. Końcówka kabla dotyka jednej z szafek, a wszystkie szafki stykają się nawzajem, tworząc gigantyczny obwód. Każdy metalowy element znajdujący się w pomieszczeniu jest podłączony do prądu, a my ociekamy wodą. Nie mam czasu się nad tym zastanawiać – słyszę nadbiegających korytarzem żołnierzy. Od metalu dzieli nas dosłownie kilka centymetrów. Skóra zaczyna mnie szczypać.

Szukaliśmy prądu. No to chyba znaleźliśmy.

Nie mamy dokąd uciec. Głosy się zbliżają i nie mamy wyboru. Jeśli otworzą drzwi do szatni, będziemy zgubieni. Musimy prześliznąć się przez tunele pomiędzy przewróconymi szafkami, modląc się, by nie dotknąć przez przypadek niczego metalowego.

Nie chcę tam wchodzić. Przypomina mi to wjeżdżanie do urządzenia służącego do wykonywania rezonansu magnetycznego. Jakby grzebali mnie żywcem.

Sam wskazuje na podłogę.

– Na ziemię! Natychmiast!

Nie mogę. Sam widzi, że za bardzo się boję i pogrążę nas wszystkich, jeśli się zaraz nie ruszę. Popycha mnie w dół.

– Ręce miej przy sobie. I trzymaj się prosto.

Dosłownie wrzuca mnie w przestrzeń pomiędzy szafkami, jakby popychał krążek hokejowy po podłodze. Zaczynam posuwać się do przodu centymetr po centymetrze, czołgając się na łokciach. Słyszę, jak Sam nurkuje na podłogę za nami.

W chwili, w której wszyscy jesteśmy już upchnięci w tej niewielkiej przestrzeni, zapalają się górne światła. Sztywnieję ze strachu. Boję się, że ścigający nas żołnierze usłyszą wodę ociekającą z moich ubrań, mój ciężki oddech, gwałtowne bicie serca. Boję się, że przypadkowo dotknę którejś z szafek – z wiadomym skutkiem.

Kroki żołnierzy są powolne i ostrożne. Mechaniczny głos mówi:

– Ostrożnie. Tam jest kabel pod napięciem.

Inny mechaniczny głos odpowiada:

– Chodźmy na górę, zanim któregoś z nas porazi.

Po ich wyjściu Sam, Jerry i ja przeczołgujemy się na drugą stronę pomieszczenia. Nie mam pojęcia, jak udaje mi się posuwać naprzód z rękami przyciśniętymi do boków. Kiedy w końcu docieramy na drugą stronę szatni, zaglądam do sali gimnastycznej przez zablokowane w pozycji otwartej drzwi. Podłoga sali jest usiana piłkami do siatkówki, koszykówki i piłki nożnej. Są ich dziesiątki. Musiały się wysypać z siatek służących do ich przechowywania, kiedy budynkiem wstrząsnął wybuch. Wygląda to tak, jakby bawiły się tu setki dzieci, które później po prostu zniknęły.

I wtedy je dostrzegam: gniazdko. Podłączam do niego mokrą baterię, pełna obaw, że nie zadziała, ale niewielki punkt rozjarza się czerwonym światłem.

Prąd.

Sam i Jerry wślizgują się po moich obu stronach, wszyscy wsuwamy się pod biurko i przywieramy plecami do ściany. Odczekuję co najmniej dziesięć, a może nawet piętnaście minut, po czym odwracam się do Sama i mówię:

– Myślę, że już sobie poszli.

Sam siedzi ze splecionymi dłońmi opartymi lekko na kolanach.

– Część z nich najwyraźniej nie mówi po angielsku.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Z powodu urządzeń, którymi się posługują. Korzystaliśmy z nich, kiedy musieliśmy

porozmawiać z miejscowymi, a nie było pod ręką żadnego tłumacza. Każdy z nich ma własną słuchawkę. Rozkazy tłumaczone są na znany im język.

Opowiadał mi o cyborgu, który wydawał się pełnić funkcję dowódcy.

– Porozumiewa się ze swoimi żołnierzami niezależnie od ich własnego języka ojczystego.

– Najemnicy – stwierdza Jerry, spluwając.

W ciszy, która zapada, myślę o Sylwestrze. Żaden z nich o nim nie wspomniał. Może tak zostali wyszkoleni, ale jakaś część mnie wcale tak nie sądzi.

– Bardzo mi przykro z powodu waszego przyjaciela – mówię.

– Przyjaciela? – pyta Jerry.

– Sylwestra. Mężczyzny, który wyleciał za drzwi pod naporem wody z pękniętego akwarium.

– No tak – mówi Sam. – Był... dobrym żołnierzem.

Sam błądzi po ścianach nieobecnym wzrokiem, jakby nie wiedział, o kim mówię. Jerry zaś gapi się prosto przed siebie, a na jego twarzy maluje się całkowita dezorientacja. Sylvester był ich bliskim przyjacielem i towarzyszem broni, ale już o nim zapominają i żaden z nich nie wie, dlaczego tak się dzieje.

Czy to skutek uboczny? Czy ktokolwiek chciałby w taki sposób zapominać? Tak szybko? Tak łatwo? W wyniku zabiegów ci ludzie stracili zdolność do zapamiętywania, która odebrała im zdolność przeżywania żałoby, a ta z kolei odebrała im zdolność do miłości.

Czuję zimny, mokry, oślizgły ucisk w żołądku.

Czy taki właśnie będzie mój los, jeśli nie zdobędę ostatniej potrzebnej mi tabletki? Czy skończę jak Oscar, niezdolna odróżnić jawy od snu?

Mam wrażenie, że siedzimy tam we trójkę całe godziny. Właśnie mam wyciągnąć kabel zasilacza ze ściany, kiedy dioda zaczyna błyskać na zielono. Zerkam na komputer na nadgarstku i coś do mnie dociera: na ekranie powinni się pojawić ci dwaj żołnierze, którzy byli tu przed chwilą. Tak się jednak nie stało. Musieli wyłączyć urządzenia lokalizujące.

Wiedzą, że tu jesteśmy.

Rozdział 28.

– Wiedzą, że tu jesteśmy, i wiedzą, że mamy jedno z ich urządzeń – mówię do Sama i Jerry'ego.

Sam zaciska zęby i przetrawia bez słowa tę złą wiadomość.

Zawiązuję sobie kabel zasilacza wokół talii jak pasek.

– Myślę, że możemy przeciąć strefę basenową i wyjść przez szatnię damską do holu głównego. Stamtąd możemy... – już mam powiedzieć „dotrzeć do dyżurki pielęgniarek”, kiedy zdaję sobie sprawę, że nie znają tej części planu. – Zejdźmy schodami do piwnicy i znajdziemy drogę powrotną.

Nie mogąc już polegać na tablicie, poruszamy się po omacku. Dodatkowe ryzyko jest po prostu karą za okrężną drogę, którą nas prowadzi.

– Tędy – mówię.

Podążam za zapachem chloru. Przez pęknięte szkło nad basenem wpada śnieg. Wiatr ucichł i śnieg się zmienił. Do środka nie wpadają już lekkie drobinki, lecz ciężkie płatki wielkości monet.

Przebiegamy szybko na drugą stronę pomieszczenia przez damską szatnię. Jest w niej ciemno i zimno i pachnie intensywnie detergentem. Popychamy drzwi wahadłowe dzielące szatnię od zewnętrznego korytarza. Lekko dotykam ramienia Sama i wskazuję mu rząd wpatrzonych w nas spanikowanych oczu. Pod ścianą siedzi sześć zakneblowanych pielęgniarek ze skrępowanymi rękami i nogami.

– Zakładnicy – mówi Jerry.

Szybko omiatam grupę wzrokiem i natychmiast rozpoznaję siostrę Jenner. Nie potrafię się zorientować, czy na nasz widok poczuła ulgę, czy niepokój. Najwyraźniej wszystkie je nasz widok niesłychanie zdumiał.

Klękam i wyjmuję knebel z ust siostry Jenner, a Sam wyciągniętym z plecaka nożem przecina plastikową taśmę, którą związane jej nadgarstki.

– Jak to możliwe, że jeszcze żyjesz? – pyta pielęgniarka.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

– Wiesz, co się stało z innymi pacjentami z tego piętra? Oscarem? Williamem?

William? Aha, to ten chłopak w śpiączce.

– William nie żyje. Oscar żyje, ale nie jest... Coś jest z nim nie tak.

– To oczywiste. Myślisz, że my się tu bawimy? Te procedury są bardzo precyzyjne. Oscar potrzebuje ostatniego zastrzyku szczeliwa. Szybko. Nie wiem, czy już nie jest za późno. Czy wiesz, co czego zdolny jest ten chłopak?

Patrzy na mnie, jakbym celowo udawała głupią. Uświadamiam sobie, że zawsze tak na mnie patrzyła.

– Wiem, gdzie on jest – mówię. – Mogę mu dać ten zastrzyk.

Zaczynam rozplątywać grubą taśmę krępującą jej kostki, ale odsuwa nogi i kończy sama.

– Musimy dotrzeć do szafki z lekami w dyżurce na trzecim piętrze – mówi.

Sam patrzy na mnie. Jeden z tych żołnierzy w szatni powiedział coś o kierowaniu się na górę.

Zaczynam rozplątywać taśmę na kostkach kolejnej pielęgniarki, ale Jenner mnie powstrzymuje.

– Lepiej je zostaw. Co kwadrans kogoś tu przysyłają, żeby sprawdził, czy wszystko w porządku. Jeśli zobaczą, że wszystkie uciekłyśmy, zaczną nas ścigać i wystrzelają nas.

– Gdzie jest doktor Ladner? – pytam.

– Ladner – wymawia to nazwisko z obrzydzeniem. – To wszystko jego wina.

– Nie o to pytałam. Chciałabym wiedzieć, gdzie jest.

Patrzy na mnie z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Nigdy wcześniej jej się nie sprzeciwiłam.

– Zabarykadował się w swoim gabinecie na szóstym piętrze, zanim nas wszystkich otoczyli. Wyglądało to tak, jakby ze wszystkich sił starali się dopaść właśnie jego. I kogoś jeszcze.

Staram się zachować spokój i nie reagować na to stwierdzenie. Najwyraźniej przegapiła ekscytujące ogłoszenie w holu dotyczące poszukiwanej przez nich osoby, kiedy wparowali do środka. Wątpię, czyby mi pomogła, gdyby wiedziała, że ci faceci szukają właśnie mnie. Sam i Jerry biegną przodem. Siostra Jenner z niezwykłą zręcznością wspina się po schodach na trzecie piętro, przeskakując po drodze przewrócone bloki betonu. Ma właśnie otworzyć drzwi na korytarz, kiedy Sam wysuwa się przed nią.

– Pójdziemy z Jerrym pierwsi, żeby się upewnić, czy jest czysto.

Jenner próbuje pójść za nimi.

– Poczekaj. Dadzą nam znać, że wszystko jest w porządku – mówię.

Nie podoba jej się, że musi mnie słuchać, ale ustępuje.

– Czy jest jakiś sposób skontaktowania się ze światem zewnętrznym i przekazania informacji, że potrzebujemy pomocy? – pytam.

– Oczywiście, że jest – warczy. – Nie można prowadzić szpitala pełnego pacjentów takich jak ty bez planu ewakuacji.

– No więc jak to zrobić? – pytam, starając się, by zabrzmiało to lekko i niezobowiązująco.

– W głównym holu za kontuarem pracowników ochrony jest przycisk alarmowy. Po jego naciśnięciu powinien się pojawić oddział sił specjalnych. Chociaż w tej zawiei nie na wiele się to zda.

Słyszę dwa stuknięcia w drzwi przeciwpożarowe. Sygnał Sama.

– Szybko – mówi, przykucając przy głównym biurku.

Chociaż okna zewnętrzne podziurawione są pociskami, a część monitorów spadła na podłogę, w dyżurce pielęgniarek jest nadal pełno sprzętu działającego w trybie awaryjnego zasilania. Coś popiskuje nagłaco. Pochyleni, przemykamy obok, ukryci za biurkiem. Jenner podpełza do szafki z lekami, wbija kod i szybko przygotowuje strzykawkę.

– Daj to Oscarowi. – Sięga ponownie do szafki i wyciąga kolejną strzykawkę. – Gdyby sprawiał wam jakieś problemy, dajcie mu to. Przyłóżcie mu to do skóry, naciśnijcie guzik na górze, a strzykawka automatycznie wstrzyknie środek uspokajający.

Podaje mi obie strzykawki i nagle się prostuje, przestając się kryć. Rozgląda się na prawo i lewo, nerwowo omiatając wzrokiem ściany i zerkając w stronę sufitu.

– Ja też czegoś potrzebuję. Kapsulek z przezroczystym żelem – oznajmiam.

Zamiera, po czym odwraca się błyskawicznie w moją stronę.

– Kto ci powiedział o tych tabletkach?

Jakie sensowne wyjaśnienie mogłabym jej przedstawić? Co mogłoby ją skłonić do udzielenia mi pomocy bez zbędnych pytań?

Prostuję się i wbijam w nią nieustępliwe spojrzenie.

– Doktor Buckley.

– Kłamiesz. Buckleya tu nie ma, a gdyby nawet był, z zasady nie kontaktuje się z pacjentami.

Spogląda na moje ubranie. Na moje buty. Jakby próbowała poskładać wszystkie fakty

w sensowną całość.

– Ktoś pomógł ci stąd uciec. Kto?

– Nie wiem.

Napina mięśnie szczęki, myśląc intensywnie.

– To był Ladner, prawda? Tak, to musiał być on. Wiedziałałam, że w tej przerwie w dostawie prądu jest coś dziwnego. W tym ośrodku są systemy zapasowe systemów zapasowych. I to właśnie wtedy, kiedy pojawiła się tutaj ta konsultantka, by sprawdzić, czy twoje leczenie przebiega zgodnie z planem.

Jenner podchodzi bliżej. Jej niebieski fartuch jest brudny i poszarpany. Wygląda, jakby chciała mi własnoręcznie skrócić kark. Nie mam wątpliwości, że jest do tego zdolna.

Wzdycham głośno, pocieram oczy i siadam na fotelu biurowym w cieniu jej górującej nade mną sylwetki. Zaczynam mieć dość ludzi, którzy chcą mnie zabić. Naprawdę dość.

Chwyta za fotel i obraca mnie twarzą do siebie.

– Teraz zaczynam wszystko rozumieć. Wszystkie te opóźnienia. Twoja terapia powinna dobiec końca wiele miesięcy temu, ale za każdym razem, gdy zabieg był już zaplanowany, coś wypadło. Dwukrotnie doktor Buckley po prostu się nie pojawił, by przeprowadzić zabieg.

– Może był zajęty składaniem zabawek dla grzecznych dzieci?

– Co?

– Nic.

– Twoje leczenie wyglądało jakoś inaczej. I nie chcieli, by ktokolwiek się o tym dowiedział.

– Na czym to polegało? Co mi robili?

– Nie wiem. Nie dopuszczano mnie do asystowania przy twoich zabiegach. Powiedziano mi, że nie mam upoważnienia do dostępu do informacji objętych tą klauzulą tajności. Bzdura. Asystowałam przy dziesiątkach zabiegów modyfikacji pamięci. Wiem, gdzie pogrzebano wszystkie ciała. A potem ty się pojawiaasz i nagle nie można mi ufać?

Dzieli ją ode mnie zaledwie kilka centymetrów. Jej oczy płoną wściekłością. Patrzy na mnie, jakbym była żywym celem.

– Nikt nie miał prawa w tym uczestniczyć. Byłaś jakimś wielkim przełomem. Słyszałam, jak kiedyś tak powiedzieli, ale wówczas nic z tego nie zrozumiałam. Nie rozumiałam, dlaczego doktor Buckley i Ladner poddają cię jakiemuś szczególnemu leczeniu. Dlaczego właśnie ciebie?

– Nie mam pojęcia. Naprawdę nie mam pojęcia, ale chyba nie ma sensu jej o tym mówić.

– Nie uważam, żebyś była wyjątkowa pod jakimkolwiek względem. Myślę, że jesteś po prostu dziewczyną z mroczną przeszłością, niewłaściwym stosunkiem do życia i bez przyszłości. Jak cała reszta.

Drzwi za plecami siostry Jenner się otwierają. Widzę zarys sylwetki żołnierza, po czym słyszę szamotaninę, jęk i trzask. Sekundę później widzę już tylko ciemny, powyginany kształt na podłodze. Wchodzą Sam i Jerry, przekraczając ciało najemnika. Sam przykuca i przetrząsa jego pasy biodrowe i kieszenie. Wyjmuje jego broń i zarzuca sobie jego plecak na ramię. Jest wcieleniem profesjonalizmu.

Jenner patrzy na Sama i Jerry'ego i potrząsa głową.

– A teraz, jakby sytuacja nie była wystarczająco kiepska, otworzyłaś puszkę Pandory.

– Nie, oni są w porządku – mówię. – Trochę im się na razie płące geografia, ale nadal są tymi samymi dobrymi ludźmi, którymi byli wcześniej.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Umieścili tutaj tych mężczyzn, by przed ich śmiercią zgromadzić wszystkie możliwe dane na ich temat. Może powinnaś wyciągnąć wnioski z ich błędów? Ci ludzie to tylko efekt nieudanych eksperymentów medycznych, zdolni do...

– Do czego?

Nie odrywa ode mnie zimnego, przepelnionego nienawiścią wzroku. Korralowa szminka spłynęła jej w zmarszczki wokół ust. Nie musi się już o mnie troszczyć, nie musi się silić na uprzejmość, obie to wiemy.

Wysypuje tabletki ze słoiczka na podłogę i ciska go na ziemię.

– Jeśli chcesz wiedzieć, kim naprawdę jesteś, proszę bardzo, weź te tabletki. Ale żeby nie było, że nie uprzedzałam.

– Nie boję się dowiedzieć, kim jestem. Już nie.

– A powinnaś. Na czwartym piętrze umieszczali najgorsze przypadki, a ci żołnierze piętro wyżej, którzy cię szukają, kimkolwiek są... Pozwól, że ci to powiem: nie szukaliby cię, gdybyś sobie na to nie zasłużyła.

Jenner chwytła mikrofon z biurka pielęgniarek i dmucha w niego.

– Raz, dwa, trzy. Czy mnie słyszać? – słyszę jej głos spotęgowany systemem nagłośnienia. – Mówi Pamela Jenner. Mam upoważnienie do klauzuli tajności 2A. Jestem w dyżurce pielęgniarek na trzecim piętrze. Ona tu jest. Dziewczyna, której szukacie, tu jest. Sara Ramos.

Zapadam się w sobie. Nie dlatego, że zraniła moje uczucia czy zawiodła moje zaufanie – bądźmy szczerzy: ja nienawidzę jej, a ona nienawidzi mnie – ale dlatego, że wiem, co się za chwilę wydarzy.

– Nie wynagrodzą cię za to, że oddasz mnie w ich ręce, jeśli tego się właśnie spodziewasz.

– Chyba wolę jednak spróbować szczęścia z nimi niż z tobą. Albo z nimi – mówi, ruchem głowy wskazując Sama i Jerry'ego.

– Siostrzo Jenner, Pam czy jak tam się nazywasz, nie wiem, ile ci płacą za wykonywanie tej pracy, ale jest to zdecydowanie zbyt mało, biorąc pod uwagę, co ci za chwilę zrobią.

– Mnie? Powinnaś się martwić o siebie.

– Ależ martwię się. Możesz mi wierzyć. Nieustannie.

Niemal natychmiast do pokoju wlewają się żołnierze. Celują w biurko i trafiają w rząd monitorów za naszymi plecami. Sam patrzy na zbliżających się napastników. Mruży oczy, jakby miał wbudowane w źrenice nitki celownika.

Siostra Jenner rzuca się na mnie i chwytła mnie za nadgarstek, ale próba przytrzymania mnie jest jej wielkim błędem. Jeden po drugim odginam jej zaciskające się na moim ramieniu palce, a Jerry podchodzi do niej z takim wdziękiem, że nie mogę oderwać od niego wzroku. Unosi pistolet zabrany znokautowanemu żołnierzowi i dwukrotnie krótko pociąga za spust. Siostra Jenner upada na biurko i osuwa się na podłogę, zrzucając policzkiem telefon z podstawy. Jerry obraca się i jeszcze trzykrotnie pociąga za spust, uśmiercając trzech kolejnych żołnierzy.

Padam na kolana i próbuję wyszukać jedną z przezroczystych tabletek wśród błyszczących odłamków potłuczonego szkła.

Napływa kolejna fala żołnierzy. Jerry ostrzeliwuje ich, żebyśmy mogli się z Samem wycofać, ale nie chcę stąd wyjść bez tej tabletki. Przesuwam dłońmi po podłodze z nadzieją, że przy odrobinie szczęścia ją znajdę, ale Sam odciąga mnie za ramię z powrotem w stronę klatki schodowej.

Wyszarpuję się. Tabletki leży kilka centymetrów od twarzy Jenner, tuż przed jej nosem. Idę ku niej na czworakach. Sam chwytła mnie za kostkę w chwili, w której mam już dosięgnąć tabletki.

– Neeee!

Ciągnie mnie po ziemi, nie przestając się ostrzeliwać. Patrzę, jak pocisk rozrywa szyję

Jerry'ego, który opada na jedno kolano i nie przestając strzelać, przyciska dłoń do pulsującej rany. Osuwa się na podłogę, ale przedtem oddaje ostatni strzał w kierunku kamery monitoringu w rogu pomieszczenia.

Razem z Samem wypadamy na klatkę schodową. Podrywam się na nogi. Słyszymy zbliżających się do nas żołnierzy, tupot ich butów przypominający dźwięk werbla. Odgłosy dobiegają z góry i z dołu. Jesteśmy w pułapce. Sam wyciąga z plecaka kolejny pistolet i wręcza mi go, wydając prostą komendę:

– Wyceluj i strzelaj.

Następnie wyciąga coś z plecaka, zachowując przy tym kamienny spokój. Wiem, co planuje.

– Idziemy na górę czy na dół?

– Na dół.

Przekręca jeden z trzymanyh w dłoni krążków i go podrzuca. Krążek szybuje w kierunku metalowych drzwi przeciwpożarowych i przywiera do nich.

Mina eksploduje w chwili, w której dobiegamy do półpiętra. Łoskot jest tak ogłuszający, że próbując zakryć uszy, wypuszczam z rąk pistolet. Wypadamy z klatki schodowej do głównego holu, tuż obok rzędu wind.

Chyba nie mogliśmy trafić gorzej.

Rozdział 29.

Zginiemy. Tu i teraz. To właśnie tutaj wszystkie te wściekle czerwone kropki są skoncentrowane niczym w samym środku tarczy.

Sam opuszcza broń i staje przede mną, zasłaniając mnie przed tym, co może nadejść od strony holu. Wciskamy się we wnękę windy, przywierając do zamkniętych drzwi. Czekamy, aż lada moment zza rogu wyjdą żołnierze i zaczną do nas strzelać, ale nic takiego się nie dzieje.

– Powinniśmy spróbować dostać się do piwnicy. Sprawdzimy, czy tunel łączący budynki naprawdę tam jest – mówi.

Oczywiście może go tam nie być. Ale nie mamy wyjścia.

Sam naciska guzik i patrzę, jak winda zjeżdża powoli na parter. Z pewnością najemnicy zlokalizowali nas już na ekranach monitoringu.

Przypominam sobie, co powiedziała Jenner o przycisku alarmowym – że miną godziny, zanim pojawi się tu jakaś pomoc. Nie wiem, czy dożyjemy do tego czasu. Ale warto spróbować.

Patrzę w stronę biurka. Otwarta przestrzeń dzieląca windy od przycisku alarmowego mogłaby mieć równie dobrze kilka kilometrów długości. *Czy powinnam spróbować się tam dostać?* W czasie, który straciłam na rozmyślanie o tym, mogłabym już dotrzeć do biurka strażnika i z powrotem.

– Spróbuję dobiec do przycisku alarmowego, żeby wezwać pomoc. Poczekaj tutaj.

– Nie, pójdę z tobą, żeby cię w razie potrzeby osłaniać.

Wiatr zawodzi przez potłuczone okna. Robię krok w kierunku biurka. Spodziewam się ostrzału, ale nic się nie dzieje. Wokół nie ma nikogo. Razem z Samem pędem przebiegamy dziesięć metrów. Przycisk alarmowy zamontowany jest na ścianie i natychmiast rzuca się w oczy – żółty, wielki jak dłoń, z zamocowaną na nim plastikową pokrywą. Mam go właśnie nacisnąć, kiedy do holu wchodzi dwóch żołnierzy.

Cholera.

A potem Hodges.

Jasna cholera.

Padamy z Samem na podłogę. Słyszymy brzęk dzwonka, kiedy w końcu nadjeżdża winda. Żołnierze biegną w jej stronę z bronią gotową do strzału. Drzwi windy się otwierają, a żołnierze, widząc, że w środku nie ma nikogo, opuszczają broń.

Hodges jest tak blisko, że słyszę brzękanie jej bransolet. Widzę pod biurkiem czubki jej kremowych pantofli. Teraz ma na sobie długi płaszcz z futrzanym kołnierzem.

Drzwi windy się zamykają, a z gardła Hodges wyrywa się ciche warknięcie, gdy uderza dłonią o blat. Na ten nieoczekiwany dźwięk wzdrygam się gwałtownie, uderzając głową o spód biurka w chwili, w której żołnierz mówi do niej:

– Nie ma jej tu.

– No właśnie widzę. – Jej głos jest tak twardy i nieprzyjemny, jakby miała w ustach gwoździe. – Znajdźcie ją. To zaczyna się robić żalotne. Siedem milionów dolarów na najemników. *Siedem milionów.* Do tej pory wytropiłabym ją z pomocą zwykłego psa gończego.

Sam przyczołga się do skoku, gotów przy pierwszej sposobności nacisnąć przycisk alarmowy, ale wygląda to coraz mniej prawdopodobnie. Kiedy się rozglądam, rozważając dostępne możliwości, zauważam coś nieoczekiwanego.

To Steve!

Jego klatka piersiowa unosi się i opada w urywanym rytmie. Krwista wydzielina formuje wokół nozdrzy czerwone bańki. Nie wiem, jak to możliwe, że nadal żyje, ale tak jest.

Hodges odprawia dwóch żołnierzy. Jest teraz sama.

Sam wskazuje windę. Drzwi się otworzyły ponownie i winda wygląda, jakby czekała, aż do niej wsiądziemy. Przykucam na palcach, gotowa nacisnąć przycisk alarmowy i rzucić się w kierunku wind.

Hodges krąży po holu. Słyszę pikanie, jakby naciskała klawisze, wybierając wciąż na nowo ten sam numer telefonu, ale ciągle coś ją rozłącza. Kiedy wszystko inne zaczyna się zacierać, ona wydaje mi się coraz bardziej znajoma. Tak jakby ktoś umieścił mi przed oczami dwa zdjęcia, a ja nie wiedziałabym, na którym skupić wzrok: na tym z przeszłości czy na tym z teraźniejszości.

Czuje, że opadam na pięty i siadam na podłodze. Nie potrafię tego zatrzymać. Jestem znów na posterunku policji. To ten sam dzień, to samo wspomnienie. Wiem, bo Hodges jest nadal w swojej fioletowej sukni balowej.

Znów okręca bransoletkę.

– *Nerwy? – pytam.*

– *Nie. Nie denerwuję się.*

Ale natychmiast przestaje i składa ręce na kolanach.

– *Nigdy wcześniej cię nie spotkałam – mówię. – W jaki to konkretnie sposób rujnuję ci życie?*

– *No właśnie: w jaki sposób? Pozwól, że cię zapytam: jak uważasz, co robiłaś przez cały ten czas?*

– *Hm. Wspinałam się?*

– *Nie chodzi mi o żurawia. Węszylaś, wypytywałaś o plany budowy w departamencie planowania miasta. Wyjaśnij mi dlaczego.*

– *Te plany są publicznie dostępne. Jestem zainteresowaną tą kwestią obywatelką.*

Nie spuszcza ze mnie wzroku.

– *Nie. Próbowalaś przeszkodzić panu Claymore'owi. Myślisz, że znajdziesz coś, co może mu narobić kłopotów. Nie mam racji?*

– *Coś w tym rodzaju.*

Nieustannie zakłada nogę na nogę, jakby nie mogła sobie znaleźć na krześle wygodnej pozycji. Przez dłuższą chwilę nic nie mówi. Patrzy tylko w sufit, jakby się nad czymś zastanawiała.

– *Poszłaś do domu opieki koło kościoła Świętego Łukasza, aby zobaczyć się z żoną pana Claymore'a. Ta kobieta ma osiemdziesiąt dwa lata i cierpi na demencję. Po co tam poszłaś?*

– *Och, to był dom opieki? Zawsze otaczają domy opieki drutem kolczastym?*

– *Czego miałaś nadzieję się od niej dowiedzieć, Saro?*

– *Saro. Wiedziałaś, że tak ma na imię również pani Claymore? Ciekawy zbieg okoliczności, co?*

– *To popularne imię – mówi Hodges, poprawiając sobie kolczyki. – Bardzo popularne.*

– *No cóż, Sara i ja po prostu sobie pogawędziłyśmy. Wcale nie cierpi na demencję. Być może ma złamane serce, ale raczej nie jest wariatką. Ty pewnie również miałabyś złamane serce, gdyby trójka twoich dzieci zmarła, a czwarte było śmiertelnie chore. No, może ty akurat nie, ale inni tak. Nie wyglądasz na kogoś, komu można by cokolwiek złamać.*

– *Masz rację. Rzeczywiście raczej nie. Wiesz, co jeszcze powinnaś o mnie wiedzieć? Potrafię czytać w ludziach jak w otwartych książkach. Szmatławych i kłamliwych książkach. I wiem, że kłamiesz.*

– *Czyżby? Nie sądzę, żebym to właśnie ja kłamała przez wszystkie te lata. Opowiedziała mi wiele różnych rzeczy. Naprawdę fascynujących rzeczy o twoim szefie.*

Hodges wygląda, jakby z trudem zachowywała panowanie nad sobą. Przesuwa językiem po górnej wardze.

– *Wiedziałaś, że była kiedyś żoną starszego brata pana Claymore'a? Ale potem on nagle zginął w tragicznych okolicznościach, a ona, pogrążona w żalobie, wyszła za swojego wcześniejszego szwagra. W tym momencie nie ma się co nad tym rozwodzić, ale pan Claymore ma sporo na sumieniu.*

– *Zamknij. Pysk.*

Odchylam się na krześle i chociaż serce wali mi jak młotem, ona wcale nie musi tego wiedzieć.

– *Nie sądzę, byś się nadmiernie martwiła koniecznością obrony honoru swojego szefa. Myślę, że tak naprawdę niepokoi cię to, że wiem o rozmaitych brudach, o których ty nie wiesz.*

– *Nic nie wiesz. Jesteś nikim. I zawsze będziesz nikim.*

– *Ten twój uroczy południowy akcent pojawia się i znika. Jak to z nim jest?*

Uderza mnie w twarz. Nie będę oszukiwać: bolało. Bardzo. Ale uśmiecham się mimo wszystko, choć oczy wzbierają mi łzami. Uderza mnie jeszcze raz, tym razem grzbietem dłoni. Jej bransoletki pobrzękują, zsuwając się po nadgarstku.

Odwracam wzrok.

– Pożałujesz tego jeszcze, dziewczynko.

Ja pożałuję? To zakrawa na żart i roześmiałabym się, ale nie mam ochoty na kolejny policzek. Zaczynam myśleć o tym, jak bardzo jestem zmęczona. Ręce jeszcze mnie bolą po wspinaczce.

– Nie możesz mi niczego zabrać, paniusiu. Wszystko już straciłam.

– To prawda. Straciłaś wszystko. I ja chyba powinnam to wiedzieć najlepiej.

– To znaczy?

– Wiesz, czym się zajmuję, prawda? Dla kogo pracuję? Jestem prawą ręką pana Claymore'a. Załatwiam za niego wszystkie drobne sprawy. Takie jak ty na przykład.

– Czyżby?

– Wiem doskonale, dlaczego w ciągu ostatniego roku wzięłaś na celownik jego projekty, i od razu na wstępie ci powiem, że nie będę z tobą negocjować. Powiem ci, co się tutaj za moment wydarzy, a ty grzecznie się zastosujesz.

– A jeśli nie?

– Boże mój, nie będę ci wyjaśniać, co się wydarzy, jak się nie zastosujesz. Dowiesz się we właściwym czasie.

Niemal obojętny wzrok tej kobiety przesywa mnie dreszczem. Nawet w jej spojrzeniu czai się groźba. Ale znam swoje prawa. Nie muszę tego wszystkiego wysłuchiwać. Patrzę na lustro weneckie.

– Hej! Słyszycie to? Ta kobieta mi grozi.

Patrzę na jej odbicie, a ona na moje. Uśmiecha się.

– Nie ma tam nikogo, kto by ci przyszedł z pomocą. Pan Claymore ma wielu przyjaciół, a także wielu ludzi, którzy może nie są jego przyjaciółmi, lecz zdecydowani są trzymać właściwą stronę. Jego stronę. Jesteśmy więc tu same. I możemy pogadać jak dziewczyna z dziewczyną.

Dostrzegam w jej oczach coś, co budzi mój lęk. Jest w nich pustka. Jestem dla niej tylko rzeczą. Niczym więcej. Rzeczą, która z jakiegoś powodu jej zawadza. Nielatwo jest przestraszyć dziewczynę, która wspina się na dźwigi, licząc w głębi duszy na to, że z nich spadnie. Dziewczynę, która niczego się nie boi, bo nie ma po co żyć i chce już tylko wymierzyć karę tym, którzy na nią zasługują.

Może odwaga jest właśnie nieprzejmowaniem się możliwością straty? Właśnie dlatego odwaga jest bezwartościowa. Jak wszystko inne, co posiadam.

– Oto scenariusz zdarzeń. Przyznasz publicznie, że nękałaś pana Claymore'a i wyludzałaś od niego pieniądze. Następnie przeprosisz i poddasz się karze pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata i dozorowi kuratora oraz jednocześnie wykonasz prace społeczne w kilku osobistych przedsięwzięciach dobroczynnych pana Claymore'a.

Wybucham śmiechem. Przez ostatni rok starałam się przysporzyć Erskine'owi Claymore'owi kłopotów, pokazując światu, jaką jest szują. Wykorzystał moją matkę, a potem zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, kiedy ona pracowała, z trudem wiążąc koniec z końcem i klepiąc biedę. A ta falbaniasta ruda kobieta sądzi, że to wszystko odszczekam? Z jakiego niby powodu? Czekam, aż zaproponuje mi pieniądze. Tak właśnie robią bogacze. A kiedy już to robi, powiem jej, żeby wzięła sobie te pieniądze i...

– No więc? Czekam na odpowiedź – mówi.

– Próbujesz mnie przekupić?

– Nie powiedziałam, że dostaniesz cokolwiek w zamian.

Śmieję się teraz jeszcze głośniej.

– Co dokładnie cię tak śmieszy? Nie przyjmujesz mojej propozycji?

Wyciąga dłoń i delikatnie odgarnia mi kosmyk włosów z czoła. Odsuwam się ze wstrętem.

– Nie jesteś tego świadoma, ale już raz dałam ci szansę. Nie tak dawno temu. Nie leży to zupełnie w mojej naturze, ale zrobiłam to, bo próbowałam otworzyć nowy rozdział w życiu ze względu na mojego narzeczonego.

– O czym ty mówisz?

– Chcę tylko, żebyś zrozumiała, że pojęłam swój błąd. Ta przelotna skłonność do tego, by się zmienić, by stać się kimś, kim nie jestem, była błędem. Rozumiem już teraz, że trzeba mieć świadomość, kim się jest, Saro. Musisz rozumieć samą siebie. Robić to, co konieczne, z pełną świadomością.

– Jeśli sądzisz, że kiwnę choćby palcem, by ci pomóc, to możesz o tym zapomnieć.

Prostuje się nagle i gwałtownie wciąga powietrze.

– Zapomnieć... Hm. Zapomnieć. To jest pomysł.

Nagle zaczyna chichotać i przeraża mnie to jeszcze bardziej niż cała reszta wypadków dzisiejszego wieczoru.

– Czy jesteś więc gotowa złożyć oświadczenie? Możemy ci dostarczyć papier i długopis. Zakładam, że potrafisz pisać po angielsku. Nie to co twoja matka.

Blat podskakuje, kiedy zrywam się na równe nogi. Pochylam się w jej stronę, bliska uderzenia jej głową, ale się pohamowuję. Musiałabym zwariować. Mam już wystarczająco dużo kłopotów. Nie mogę rzucić się na tę kobietę na posterunku policji. Patrzę w lustro weneckie i powoli siadam.

– Słusznie, Saro. Siadaj, siadaj. Musisz nauczyć się odprężyć. Jeśli będziesz się tak wściekać, to zapuszczają cię, kto wie na jak długo.

Biorę głęboki wdech i zamykam oczy, starając się zachować spokój. Wiem, że próbuje mnie sprowokować.

– No właśnie. Jestem pewna, że potrafisz zachować przytomność umysłu. Do pewnego momentu, oczywiście. Wytrzymałość nas wszystkich ma swoje granice. – Zniża głos do szeptu i dodaje z najbardziej uroczym południowym akcentem, jaki potrafi z siebie wydobyć: – Wiesz co? Zobaczmy, tak dla zabawy, gdzie sięgają twoje.

Wyciąga rękę przez stół, by poklepać mnie po policzku. Próbuję gwałtownym ruchem odsunąć głowę, ale chwyta mnie za szczękę i wbija mi paznokcie głęboko w skórę.

– Sprawdźmy. Kiedy to było? Myślę, że zaledwie dwa lata temu. Twoja matka wracała do domu z pracy, przechodziła przez ulicę. Założę się, że była zmęczona po całym dniu ślania łóżek w hotelu. Pewnie dlatego szła tak wolno. Była taaaka wyczerpana. Wystarczyło, że trochę mocniej, niż trzeba, nacisnęłam pedał gazu i... ups! Wyleciała w powietrze, przelatując mi przez maskę. Zatrzymałam się, wyszłam z samochodu i sprawdziłam jej tętno. Gdyby ktoś mnie widział, byłam gotowa wręczyć mu małą finansową rekompensatę za kłopot i poprosić, żeby łaskawie powlókł się z powrotem do swojej klitki, ale nikogo nie było. Nigdy nie widziałam tak pustej nowojorskiej ulicy. Łut szczęścia, naprawdę, ale jak to się mówi, odważnym szczęście sprzyja. W każdym razie, kiedy tak stałam nad ciałem twojej matki, spojrzalam na chodnik i wszędzie były nasiona. Coś niesamowitego. Pomyślałam, że to strasznie dziwne, iż ta kobieta nosi ze sobą ziarno dla ptaków. Dlaczego? Jakże ptaki może karmić?

– To były pestki dyni – mówię.

– Co?

– Pestki dyni.

Zbrywa mnie machnięciem dłoni i wtedy popycham stół naprzód jak sanie. Blat uderza ją w klatkę piersiową i przewraca razem z krzesłem na plecy. Z krzykiem upada na podłogę, a jej balowa suknia nadyma się jak spadochron. Przewracam na nią stół, dociskając jej gardło krawędzią blatu, na którym opieram się całym ciężarem. Sekundę później ktoś przypiera mnie do przeciwległej ściany, a ja wrzeszczę, płaczę, miotam się i gryzę jak dzikie zwierzę, dopóki nie obezwładni mnie paralizatorem.

– To wariatka! – krzyczy Hodges. Trzyma się jedną ręką za szyję w miejscu, w którym ciężar blatu odcisnął się siniakiem. Druga ręka zwisa jej dziwnie bezwładnie. Myślę, że mogłam jej złamać obojczyk. – Zaatakowała mnie! Kompletnie niespodziewanie! Zaproponowałam jej

pomoc, a ona rzuciła się na mnie bez ostrzeżenia!

Jestem z powrotem. Siedzę pod biurkiem, ściskając się obiema rękami za łysą głowę.
To kobieta, która zabiła moją matkę.
Teraz ja zabiję ją.

Rozdział 30.

Zrywam się na równe nogi, jakby ktoś pociągnął za sznurki. Sam nadal siedzi pod blatem, nie rozumiejąc, co właściwie robię. Staję na widoku w holu. Nie mam broni, granatu, nie mam nic do obrony z wyjątkiem siły swego gniewu.

Hodges stoi odwrócona do okna, plecami do mnie. Rozmawia przez krótkofalówkę.

– Mów głośniej! Co? Gdzie ona jest?

Słyszę szumy, zakłócenia i gorączkowy krzyk:

– Ona jest tam! Tam! Za tobą!

– Za kim? – krzyczy Hodges. – Podaj mi swoją pozycję!

– Hol na parterze!

– Nie bądź głupi. Ja jestem w holu... na... parterze...

Odwraca się i patrzy mi prosto w twarz.

Robię kilka kroków w jej stronę, czując, jak wypełnia mnie gniew. Gotuję się z wściekłości. Mam wrażenie, że zaraz eksploduję, unicestwiając wraz ze sobą cały świat.

Obronnym gestem kładzie dłoń na szyi. Złote bransolety na jej nadgarstku zsuwają się w okolice łokcia.

– Sądząc z wyrazu twojej twarzy, pamięć zaczyna ci wracać, Aniele. – Odsuwa długi lok z twarzy i wydyma wargi. – Przeżyłam kawał drogi, żeby cię zabić. Mam nadzieję, że to doceniasz.

Czuję w koniuszkach palców ukłucia adrenaliny. Właśnie gdy mam zrobić krok w jej kierunku, kącikiem oka rejestruję ruch.

Żołnierze.

Przeskakuję przez biurko strażnika, jakbym przeskakiwała przez płot. Sam wstaje i zaczyna strzelać.

– Biegnij! – wrzeszczy mi do ucha.

Pędem dopadam windy, ale wiem, że mnie dorwą, zanim drzwi zdążą się zamknąć. Nagle obok mnie pojawia się Sam. Ostrzeliwując się, osłania drzwi windy i każe mi je zamknąć.

– Wsiadaj! – krzyczę.

– Zamknij drzwi!

– Wsiadaj!

Naciska przycisk i wychodzi do holu, by mnie osłaniać. Strzela, a oni się odstrzelują. Dostaje w ramię, potem w klatkę piersiową. Sekundę później uderza twarzą w marmurową płytkę. Przewraca się na plecy, przekręca jedną z min i przyciska ją do piersi.

Drzwi się zamykają. Po chwili wybuch wstrząsa szybem windy i przez moment wydaje mi się, że spadam. Winda delikatnie się przechyla i wydaje potworny zgrzyt o ścianę, po czym gwałtownie się zatrzymuje. Wydaje się, że zaklinowała się w miejscu, ale gdy robię krok, pod ciężarem mojego ciała chybocze się i zaczyna zjeżdżać dalej w dół szybu.

Niewielkie drzwiczki z napisem „Użyć wyłącznie w sytuacji awaryjnej” mam na wyciągnięcie ręki. Starając się mocno trzymać na nogach i nie zmieniać środka ciężkości, otwieram drzwiczki, żeby wyciągnąć klucz od windy. Patrę na niego. Jako dziecko nieustannie musiałam się posługiwać takim kluczem, bo stara winda w naszym bloku stała między piętrami przynajmniej raz w tygodniu. Wsiadanie do niej przypominało grę w jednorękiego bandytę. Mogłeś pójść schodami albo pojechać windą, ale jeśli już do niej wsiadłeś, ryzykowałeś, że utkniesz w niej na godzinę albo dłużej, czekając, aż komuś się uda skontaktować z gospodarzem domu, żeby cię uwolnił.

Podobnie jak wcześniej, próbuję odepchnąć od siebie to wspomnienie. Nie mogę mu się teraz poddać.

– Nie teraz! Nie teraz!

Ale nie mogę mu się oprzeć. Nie mam dokąd biec, by uciec od swojej przeszłości.

Widzę porysowane brązowe płytki w korytarzu mieszkania. Pamiętam dźwięk brzęczyka, gdy wpuszczano się kogoś do budynku. Pamiętam... Pamiętam...

Chodzenie do szkoły. I panią Esteban. Znów. Dlaczego te wspomnienia się ze sobą łączą?

Widzę wymalowane na jaskrawoczerwony kolor drzwi mojej eleganckiej szkoły w nowojorskiej dzielnicy Upper East Side. Każdego ranka są tu podrzucane bajeranckimi samochodami szczupłe dziewczęta o prostych, lśniących włosach, opowiadające historie o tym, co robiły w weekend: wejściówki za kulisy na koncertach, wycieczki do ekskluzywnych kurortów, miejsca w pierwszym rzędzie podczas tygodnia mody.

Zostałam wezwana do gabinetu pani Janklow. Jej zadaniem jest doradzanie uczniom w kwestii wyboru zajęć odpowiadających ich uzdolnieniom, ale jej zawodowe kwalifikacje wydają się ograniczać do pełnego współczucia kiwania głową.

– Debbie. Mów mi Debbie – mówi. – Strasznie mi przykro, że musiałam poprosić cię o przyjście, ale zastanawiam się, czy nie zaszła jakaś pomyłka.

– Ale o co chodzi? – pytam. Naprawdę nie mam pojęcia, o czym może mówić. Mam porządne stopnie. Nawet lepsze niż porządne. Udało mi się je nawet poprawić, odkąd... odkąd moja matka zmarła. Minęły trzy miesiące. Uczę się, bo tego oczekiwałyby moja matka.

– No cóż... Chodzi o czesne za szkołę. Nie odnotowaliśmy wpłaty w tym kwartale.

Patrzę na nią zdumiona i przyznaję z irytacją:

– Nie orientuję się, jak działa stypendium. Nie wiem, co ci odpowiedzieć.

– Stypendium? – pyta pani Janklow. Ma bardzo ładną skórę. Kremową czy brzoskwiniową, czy jak tam się mówi.

– Moje stypendium. Nie wiem, jak działa. Zakładałam, że to szkoła się o wszystko troszczy.

– Jakie stypendium?

Jakie stypendium? To, które pozwala mi chodzić do tej eleganckiej szkoły, której nienawidzę, czego nigdy nie powiedziałabym mojej matce, bo musiała harować jak wół, żeby zapłacić choćby za cholerny gryzący wełniany mundurek, który muszę tu nosić.

– Z tego, co mi wiadomo, nie masz żadnego stypendium – mówi.

– No to jak... Nie rozumiem. Skąd moja matka wzięłaby pieniądze, by mnie tu posłać?

– Nie mam pojęcia – mówi pani Janklow. Czy tam Debbie. – Twoje czesne było płacone,

tak jak wszystkich innych uczniów, czekiem. Czy twoja... Czy twoja matka zostawiła ci pieniądze w funduszu powierniczym? Pieniądze na twoją edukację?

Mam ochotę wybuchnąć okrutnym, drwiącym śmiechem. Fundusz powierniczy? Dla mnie? Gdybym posiadała fundusz powierniczy, czy mieszkałabym u rodziny zastępczej, u kobiety, która potrafi ugotować chyba tylko trzy dania, z których każde ma w składzie mieloną wołowinę i keczup w charakterze sosu?

Tak wygląda moje życie od śmierci matki: każdego dnia zwlekam się z łóżka, chociaż wcale nie chcę wstawać, nie chcę oglądać wschodu słońca, bo każdy mijający dzień powiększa dystans dzielący mnie od chwili, w której moja matka jeszcze żyła.

– Nie, poważnie – mówię. – Moja matka ledwo wiązała koniec z końcem. Coś się tutaj nie zgadza.

Pani Janklow tłumaczy mi cierpliwie, że moja matka płaciła moje czesne od lat i naprawdę nie chcieliby tracić takiej uczennicy, bo wnoszę do szkoły tak cenną różnorodność. No jasne, różnorodność biednej Latynoski. Dziewczyny z mojej dzielnicy miałyby niezły ubaw, oczywiście zanimby mnie skopały i wyzwały od białasek.

– No cóż, nie rozwiązuje to problemu – mówi pani Janklow. – Czesne nie zostało opłacone. Czy domyślasz się, kto mógł płacić za twoją edukację? Może powinnaś z nim albo z nią porozmawiać? Najwyraźniej masz mecenasa, który ci pomaga...

Godzinę później wbiegam po schodach mojego starego bloku. Muszę porozmawiać z panią Esteban. Wiem, że być może tracę czas. Od dawna niedomaga, ale pamiętam jej wygłoszony kiedyś komentarz na temat moich zielonych oczu. Chyba od razu wyrzuciłam go z głowy, bo wydawało mi się, że po prostu powtarza podle plotki. Ale teraz... kiedy już wiem, że ktoś płacił od lat moje czesne...

Biegnę do jej mieszkania, pokonując po dwa, trzy stopnie naraz. Drzwi otwiera jej córka. Najwyraźniej nie rozumie, dlaczego chcę rozmawiać z jej matką, ale prowadzi mnie do schludnego, choć bardzo skromnego pokoju dziennego, w którym pani Esteban ogląda telewizję i przebiera misę ryżu.

– Spędzi nad tym całe popołudnie – mówi jej córka, ruchem głowy wskazując misę na kolanach matki.

Biedna pani Esteban. Miała takie silne ramiona, a teraz trzeba jej wymyślać zajęcia jak dziecku. Nie widziałam jej od prawie dwóch lat, ale mnie rozpoznaje. Wnioskuje to z wyrazu jej twarzy, która zdaje się mówić: „A ty co tutaj robisz?”. Myślę, że nigdy nie zapomniała mi tego kopnięcia w kostkę.

– Pani Esteban, czy wie pani, dla kogo pracowała moja matka? Dawno temu? Muszę to wiedzieć.

– Twoja... matka... que bonita – wzdycha.

Kącik jej ust opadł lekko po niedawnym udarze.

Zadaję jej ponownie to samo pytanie, ale irytuje ją mój brak cierpliwości. Zna odpowiedź. Macha na mnie ręką, a palec wskazujący i kciuk ma mocno złączone.

Jej córka mówi:

– To znaczy, że chce coś napisać.

Wyciągam z plecaka papier i ołówek i jej podaję. Bardzo powoli stawia kolejne litery. Mam nadzieję, że napisze chociaż imię. Chociaż to. Patrzę, jak stawia litery E i C, a potem nieporadnie obwodzi je kółkiem.

Uśmiecha się do mnie, a ja staram się nie okazywać rozczarowania. E.C. Nic mi to nie mówi, ale dziękuję jej i zbieram się do wyjścia. Jej córka, wycierając ręce w kuchenną ścierkę, patrzy matce przez ramię, żeby zobaczyć, co napisała.

– Przykro mi. Ona naprawdę się stara. Prawda, mamo?

Jestem już prawie przy drzwiach, gotowa do wyjścia, kiedy córka pani Esteban dodaje:

– Hm. To wygląda jak symbol na szczycie Claymore Tower, prawda?

Rozdział 31.

Nic już więcej nie muszę sobie przypominać. Wiem to równie dobrze jak wówczas. Właśnie to popchnęło mnie ku mojej misji. Moim późnowieczornym nalotom na budowy. Pragnienie publicznego zawstydzenia i upokorzenia go, zszargania mu reputacji za wszelką cenę. Moja matka zawsze miała jakiś mroczny wdzięk. Wydawało się, że niesie na barkach ciężar tysiąca żyć. Była piękna. Musiał ją wykorzystać. Śliczne pokojówki są jak zwierzyna łowna. To jedyne możliwe wyjaśnienie.

Mężczyzna, który buduje wszystkie wysokie budynki w mieście.

Erskine Claymore.

Jakimś cudem przez cały ten czas udało mi się utrzymać w windzie równowagę. Powietrze w windzie jest ciepłe i skondensowane, do tego stopnia przesycone moją paniką, że wydaje się, jakby panował tu tłok. Palce ślizgają mi się od potu, kiedy przekręcam klucz awaryjny zgodnie ze wskazówkami zegara. Winda zsuwa się jeszcze kilka centymetrów, a metal zgrzyta niczym hamulce zatrzymującego się wagonu metra. W końcu klucz stawia opór.

Wciskam koniuszki palców między drzwi i rozsuwam je wolno i ostrożnie, centymetr po centymetrze. Winda jęczy, ale nie ustępuje. Utknęłam w trzech czwartych drogi między piętrami. Winda zaczyna się powolutku osuwać w dół, ale dzieje się to tak wolno, że początkowo nie jestem pewna, czy mi się nie zdaje. Po chwili winda przyspiesza i wiem już, że nie zostało mi wiele czasu. Rzucam się naprzód całym ciężarem ciała nogami do przodu i ledwie udaje mi się precyzyjnie przecisnąć przez otwór i wyciągnąć ręce, kiedy winda wydaje ostatni zgrzyt i spada z potwornym hukiem. Zsuwa się zaledwie o jedno piętro, ale sekundę później spada na nią przeciwwaga, miażdżąc ją doszczętnie.

Siedzę w korytarzu, rozglądając się wokół i starając się zorientować w swoim położeniu. Muszę odpocząć. Myślę, że zyskałam trochę czasu. Mam nadzieję, że założą, iż nie udało mi się wydostać i spadłam na dno szybu.

Jak wiele moich nadziei, ta również się nie spełnia.

Na dół zjeżdża druga winda. Patrzą na cyfry nad drzwiami, aż w końcu widzę rozjarzające się -1.

Staję i wyciągam ostatnią minę.

Czekaj.

Czekaj.

Przekręcam ją. Biorę zamach.

Czekaj.

Czekaj.

Słyszę brzęk dzwonka. Drzwi za chwilę się otworzą.

Czekaj.

Czekaj.

Rzucam minę i biegnę korytarzem w kierunku tunelu, który może się okazać drogą ucieczki lub pułapką – o ile w ogóle istnieje. Kilka pierwszych drzwi, które otwieram, okazuje się drzwiami do szafy, ale gdy pociągam kolejne, ukazuje się przede mną czarna, zatęchła pustka. Wchodzę do środka i zamykam drzwi za sobą. Nie mam pojęcia, jak długi jest tunel; idę na ślepo. Jakies dwadzieścia metrów dalej dotykam dłonią zimnego, gładkiego metalu. Znajduję klamkę, przekręcam ją i pociągam. Drzwi nie ustępują.

Ogarnia mnie fala paniki, ale w ostatniej chwili przypominam sobie o kicie, który wypala dziury w powierzchniach. Wykorzystuję kolejną porcję, by zniszczyć zamek, i chwilę później

wypryskuję z tunelu, jakbym wstawiała z grobu.

Trwa to kilka minut, ale w końcu udaje mi się znaleźć drogę powrotną do luksusowej poczekalni, w której znalazłam laptopa. Karta magnetyczna wpuszcza mnie do środka. Przeciągam ją przez czytnik z rezygnacją. Bo co to za różnica, czy poddam się teraz, czy za dziesięć minut? W końcu i tak mnie znajdą.

Odwijam sobie z talii kabel z zasilaczem i baterią i ciągnę je za sobą korytarzem jak dziecięcą zabawkę, w biegu próbując się zorientować, którą trasę pokonałam wcześniej. Myślę, że biegnę dobrze.

Wybiegam zza rogu, gdy rozlega się strzał. Kula chybia mojej głowy dosłownie o milimetry. Poślizguję się i upadam, lądując na plecach; czołgam się bokiem jak krab, próbując znaleźć jakąś osłonę. Strzał padł z okolic pokoju wypoczynkowego.

Wychylam się zza rogu i dostrzegam Oscara. Stoi na końcu korytarza, a krew cieknie mu z głowy cienką strużką. Wygląda, jakby wydrapał sobie z czaszki metalowe gniazda. Ma w ręku pistolet.

Staram się, by w moim głosie pobrzmiwało rozbawienie, kiedy wołam do niego:

– Co jest grane? Prawie mnie zastrzeliłeś.

– To nie ma znaczenia, skarbie. Ja zastrzelę ciebie, oni zastrzelą mnie. W końcu wszyscy się wystrzelamy.

– No cóż, mnie zastrzelą chyba przy innej okazji. Teraz mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

Jego śmiech brzmi jak groteskowe, wymuszone cha, cha, cha. Zerkam na niego jeszcze raz. Idzie w moją stronę, potrząsając pistoletem jak grzechotką. Widzę ten wymuszony uliczny luz, który widziałam już tyle razy w mojej dzielnicy u tylu innych chłopaków, zwłaszcza gdy pierwszy raz wracali do domu z więzienia. Tyle energii zmarnowanej na próbę nieokazywania strachu.

– Cokolwiek byś zrobiła, to i tak cię zabiją. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie uciekniesz od tego, więc po co się wysilać?

– Czy tobie w ogóle wolno teraz chodzić? Jesteś ranny.

– Ten konował kazał mi się nie ruszać, ale nie mogę, wiesz? Nie mogę. Bogaty dzieciak próbował mnie zatrzymać, ale nie dał rady. Nie mogę leżeć, muszę się ruszać, rozumiesz?

Konował. Bogaty dzieciak. Zakładam, że mówi o Elmerze i Thomasie. Patrzę, jak stawia małe taneczne kroczki.

– Gdzie oni są, Oscar? Konował i bogaty dzieciak?

– Nie słuchasz mnie? – krzyczy. Jego głos wydaje się dobiegać z oddali, ale nagle Oscar staje tuż obok mnie. Czuję, jak ciepła, twarda lufa pistoletu dotyka mojej skroni. – Próbował mnie zatrzymać i zastrzelił go. – Opuszcza pistolet i przytyka lufę do mojej piersi. – Prosto. W. Serce.

Wkładam rękę do kieszeni i wymacuję strzykawkę, którą dała mi Jenner. Odwracam się twarzą do Oscara, jakby to wszystko było jakimś superzartem, który sobie właśnie opowiadamy. Odprężam się i odsuwam lufę, uśmiechając się i potrząsając z niedowierzaniem głową.

– Nie ma czasu na wygłupy, Oscar. Idziemy. Czas się stąd wydostać.

Uderza mnie lekko w policzek i przyciąga do siebie, opierając się czołem o moją skroń. Czuję, jak przytyka mi lufę do potylicy, obejmując mnie szorstko.

– Masz rację, *chica*.

Patrzę na niego z bliska. Białka oczu ma upstrzone małymi, czerwonymi krwiami. Nadymam się jak ptak, który próbuje wyglądać na większego.

– Dzięki, Oscar. Chodź. Musimy się stąd wydostać.

Próbuję oderwać od siebie jego ramię i zrobić krok w tył, ale on tylko zacieśnia uścisk. Nagle odwraca mnie gwałtownie i zaciska mi ramię na szyi. Czuję nacisk jego bicepsu na gardle.

– Co ty tutaj robisz? – pyta. Jego usta dotykają mojego ucha. – Za co tu siedzisz, co?

– Nie wiem, człowieku – mówię. – I nie chcę wiedzieć.

– Jasne. Wiem, o czym mówisz. Tylko że... nagle to wszystko do mnie wraca. Widzę twarze tych wszystkich wpatrzonych we mnie ludzi. Chcą wiedzieć, dlaczego im to zrobiłem. Dlaczego ich puknąłem. A ja nie wiem. Nie pamiętam dlaczego. Otaczają mnie, cały czas. Nie mogę się ich pozbyć.

Wyciągam strzykawkę z kieszeni i dotykam kciukiem jej końca, gotowa nacisnąć guzik.

– Strzeliłeś do bogatego dzieciaka, Oscar? Czy on żyje?

Puszcza mnie, ale zaczyna krążyć wokół mnie. Jego twarz dzieli od mojej zaledwie kilka centymetrów.

– Oho! Teraz widzę, co się tu kroi! – Uderza mnie mocno w plecy. – Podoba ci się, co? Masz słabość do tego bogatego kolesia? – Chwyta mnie za ucho i ciągnie w bok. – Jesteś z dzielnicy? Bo coś mi się zdaje, że masz w sobie sporo białasa.

– Powiem ci, kim jestem. Jestem aniołem.

Tak mocno wciska mi lufę w policzek, że czuję ją na zębach. Właśnie w tym momencie sięgam za niego, wbijam mu strzykawkę w szyję i naciskam tłok. Zaskoczony ukłuciem, wypuszcza z rąk pistolet, który upada z brzękiem na podłogę. Chłopak traci równowagę i robi krok w tył. Natychmiast odzyskuje panowanie nad sobą, chwyta mnie za gardło obiema rękami i rzuca na ścianę.

– Coś ty mi zrobiła?

Nie mogę oddychać. Dławi mnie, jego paznokcie wbijają mi się w skórę. Ten środek uspokajający, który zastosowałam – albo go było za mało, albo zadziała wtedy, kiedy dla mnie będzie już za późno. To już koniec. Oscar patrzy mi prosto w oczy, zaciska zęby i ze wszystkich sił stara się wysłać mnie na tamten świat.

Kilka sekund później widzę już tylko niekończący się tunel. Osuwam się na podłogę.

Rozdział 32.

Wszystko jest czarne. Całe powietrze znikło. Coś jednak słyszę. Jakiś głos. Nie wiem, do kogo należy. Może to tylko echo głosu, który wołał mnie tak dawno temu. Drżał w powietrzu, cały ten czas próbując mnie znaleźć. Każe mi się trzymać.

Oscar pada na kolana i rozluźnia uścisk. Udaje mi się uwolnić i go odepchnąć. Patrzę, jak jego spojrzenie staje się szkliste, a usta otwierają się szeroko. Odrobina śliny spływa mu na dolną wargę i Oscar pada naprzód, jedną ręką cały czas oparty o ścianę. Wyjmuję teraz drugą strzykawkę, tę z lekiem, którego według Jenner Oscar potrzebuje, a biorąc pod uwagę, że właśnie miałam okazję obserwować kolejną odsłonę jego psychopatycznie zabójczej strony, skłonna jestem jej uwierzyć. Daję mu zastrzyk w ramię, chociaż mam ogromną ochotę wbić mu igłę prosto w oko.

Oscar się przewraca.

Zmuszam się do zachowania spokoju. Muszę dotrzeć do Thomasa. Kopię Oscara i jego bezwładne ciało buja się w przód, po czym przetacza się na bok.

Chwytam kabel zasilający i kopię pistolet Oscara przed sobą, biegnąc korytarzem do pokoju wypoczynkowego. Jestem tak zmęczona, że ledwo się ruszam. Kiedy tam w końcu docieram, widzę, że Thomas siedzi, trzymając skulonego Elmera na swoich kolanach. Zbroczoną krwią dłoń przyciska do klatki piersiowej Elmera. Rzucam baterię i kabel i padam na kolana, ślizgając się na gładkiej podłodze. Elmer jeszcze żyje. Ledwo.

Próbuje mi coś powiedzieć. W jego oczach pojawia się pytanie, na które staram się odpowiedzieć.

– Dobrze się spisałeś, żołnierzu. Wszystko będzie dobrze.

Umiera w ciągu kilku sekund. Odbieram go Thomasowi, kładę na podłodze i przykrywam mu twarz swoim płaszczem.

Thomas krzyczy:

– Zabiję tego cholernego...

– Możesz go zabić, jak się obudzi.

– On gdzieś śpi?

– Na razie. Znalazłam szafkę z lekami i jedna z pielęgniarek dała mi strzykawkę środka uspokajającego.

Reszty szczegółów już nie dopowiadam.

– Masz tę swoją tabletkę?

– Tak.

– Kłamiesz.

– Skąd wiesz?

– Potrafię wyczuć ludzi. Właśnie dlatego jestem niezłym hakerem. Potrafię połączyć fakty, wykombinować, jak ludzie się zachowają, jak mogą chcieć ukryć swoje sekrety i gdzie. Włamuję się przede wszystkim do ludzkich głów.

– Czyżby?

– Owszem. I dlatego wiem, że teraz kłamiesz. Myślisz, że dzięki temu poczuję się lepiej, tak jak on się poczuł. – Wskazuje na ciało Elmera. – Przydarzyło ci się coś koszmarnego.

Patrzę na Thomasa. Czuję pustkę. Nie chce mi się żyć.

– Powiedz mi – mówi. – Zaufaj mi.

– Ona ją zabiła.

– Moment. Kto kogo zabił?

– Kobieta, o której ci opowiadałam. Kobieta, którą słyszeliśmy przez radio. To ona zarządza całą tą akcją. Zabiła moją matkę, przejechała ją jak psa na ulicy. A teraz ściga mnie.

– Co?

Kładzie mi dłoń na policzku, a ja pozwalam swojej twarzy opaść w jej zagłębienie tak, że moja głowa spoczywa na jego ręce. Czuję, że jego dłoń zaczyna drżeć, i unoszę głowę, lecz nie potrafię się zmusić, by na niego spojrzeć. Zaczyna mi ciec z nosa. Wycieram go w rękaw i przełykam gorącą gulę w gardle, starając się wykrztusić właściwe słowa.

– Ona pracuje dla Erskine’a Claymore’a.

– Dla Claymore’a? Ale... to nie ma sensu. Dlaczego miałbyś chcieć zniszczyć projekt, który finansuje? I co to wszystko ma wspólnego z tobą?

– Nie mam pojęcia! Może jest po prostu wściekły, bo postawiłam go w złym świetle. – Patrzę w górę i wrzeszczę: – Ona zabiła moją matkę, Thomasie!

– Och, Aniele. Och... Ja po prostu... Tak bardzo chciałbym...

Przyciągam kolana do piersi. Czuję dotyk Thomasa na głowie, ale dłoń nagle opada. Podnoszę wzrok. Thomas jest w kiepskim stanie.

– Strasznie mi przykro – mówi. – Co mogę zrobić? Co mogę powiedzieć? Zrobię wszystko, co chcesz.

– Wiem, że nic nie może przywrócić życia mojej matce, ale nienawidzę tej kobiety. Nienawidzę jej przede wszystkim za to, że dokładnie w tym samym momencie przypomniała mi, jak bardzo kochałam moją matkę i jak moja matka zginęła.

Nie mówię mu o tym, że Claymore jest moim ojcem. Myślę, że nie mówię, bo nie chcę w to wierzyć. Nie chcę myśleć o tym, że mam w sobie pewną jego cząstkę. Z jakiegoś powodu pomaga mi to się pozbierać.

– Boli cię. – To raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Trochę. Myślę, że ten środek znieczulający przestaje działać. Znalazłaś prąd? – pyta, wskazując kabel, który opuściłam na podłogę.

– Tak.

Podaję mu kabel połączony z baterią i kiedy podłącza ją do laptopa, mówię, ile osób zginęło, by mu ją dostarczyć. Nie po to, by poczuł się winny. Ale powinien wiedzieć.

– Lepiej, żeby to było najbardziej spektakularne włamanie w twojej karierze.

Mija kilka godzin, ale nie potrafiłabym powiedzieć ile. W pewnym momencie zapadam w drzemkę, z której budzą mnie uderzenia palców o klawisze. Czuję łagodny dotyk dłoni na policzku i z powrotem zapadam w sen. Śnię, że jestem nadal w szpitalnym łóżku stojącym wśród nieskończonej bieli. Wszystko jest białe: niebo, ziemia, wszystko. Boję się, to wszystko mnie przeraża. Jak to możliwe, że wokół mnie jest taka pustka? Nagle przy moim łóżku pojawia się Jori. Ma długie blond włosy, a na nich czerwoną opaskę. Mówię jej, że jest śliczna, a ona przytakuje: „Tak, jestem”. Trzyma w ręce kredkę. Siada na podłodze i zaczyna rysować. „To papier – mówi, rozglądając się wśród bieli. – Czysta kartka. Chodź, porysuj ze mną”. Mówię jej, że nie jestem zbyt dobra w rysowaniu, a ona twierdzi, że mogę napisać bajkę. Jaką chcę. Mówię jej, że nie podoba mi się ten biały świat. Jest taki pusty. Uśmiecha się i mówi: „Nie jest pusty. Jest czysty. Pełen możliwości”. Znowu unosi kredkę i dodaje: „Mogę ci naprawić to złamane skrzydło, jeśli chcesz”.

Odmawiam. Nikt nie może naprawić moich skrzydeł za mnie.

Kładzie mi palec na usta i śpiewa: „Bądź sobą. Bądź sobą. Bądź sobą”.

Zwariowane gadanie Jori.

Budzę się, lecz przez długą, błogą chwilę nie otwieram oczu. Dzięki temu nie widzę, gdzie jestem, więc równie dobrze mogłabym być gdziekolwiek. Chyba spałam dość długo, bo

ręce i nogi mi ciężą.

– Nie powinieneś był pozwolić mi zasnąć. Ci goście mogą się tu pojawić w każdej chwili.

– Nie martw się. Przez ostatnie kilka godzin dostarczałem naszym kolegom najemnikom zajęcia, uruchamiając alarmy w całym budynku.

Siadam i opieram się o niego. Wzdryga się, więc się odsuwam.

– Przepraszam. Nie chciałam cię urazić. – Krzyżuję ręce na piersi. – Zimniej tu jakoś.

– Naprawdę?

Kiedy odzyskuję ostrość widzenia, patrzę uważnie na Thomasa. Nie wygląda dobrze.

Pochylam się i kładę mu dłoń na czole. Odsuwa się.

– Jesteś cały rozpalony.

– Pewnie tak – mówi, nie odrywając wzroku od ekranu. – Na pewno to bardzo źle.

Przerywa i patrzy na mnie. Nie mogę odczytać wyrazu jego twarzy. Cokolwiek by powiedział, nic mnie nie zdziwi.

– Kocham cię.

A jednak się myliłam.

– Zakładałam, że chcesz mnie rozśmieszyć. Ale to nie jest szczególnie zabawne.

– Nie, mam swoje powody, dla których to mówię. Egoistyczne powody.

– Wyznajesz mi miłość z egoistycznych pobudek?

– Mam dość dziwaczną listę rzeczy, które chciałbym zrobić przed śmiercią, i ta pozycja jest na samej górze. Nigdy nikomu tego nie mówiłem, a chciałem to komuś powiedzieć. Zanim umrę.

– Nie umrzesz.

– Wszystko na to wskazuje.

– Nie zamierzam dłużej o tym rozmawiać.

– Dobra.

– Co się wydarzyło, kiedy spałam? Znalazłeś coś przydatnego?

– Sama popatrz.

Odwraca laptop w moją stronę i nagle sobie uświadamiam, że opiera się o mnie, żeby nie upaść.

– Może powinieneś się położyć.

– Może powinienem.

Pozwala mi, bym ułożyła go na podłodze. Pochylam się nad nim i wkładam mu pod głowę przesiąkniętą krwią poduszkę. Wydaje się śpiący. Jakby zaraz miał zemdleć.

– No i jak było?

– Ale z czym?

– Jak się czuleś, mówiąc „kocham cię”?

– Och. W porządku. No wiesz, trochę dziwnie, ale myślałem, że to będzie bardziej przerażające. Uważaj, powiem to jeszcze raz. – Wbija we mnie spojrzenie i mówi cicho: – Kocham cię.

– Dobra, teraz się już popisujesz – stwierdzam, odwracając wzrok.

Uśmiecha się do mnie, ale wiem, że nie jest mu do śmiechu. Boli go i coraz trudniej jest mu to ukryć. Poprawiam mu poduszkę, ale tylko po to, by odwrócić jego uwagę od mojego własnego zażenowania.

– No cóż, cieszę się, że to powiedziałaś – mówię.

– Serio? Jak to?

– Z pobudek egoistycznych. Wątpię, żeby jeszcze kiedyś dane mi było to od kogoś usłyszeć. Niezależnie od tego, czy tu zginiemy, czy nie.

– Ty naprawdę jesteś poszkodowana na umyśle, co?

– Ej!

Wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby i oblizuje wargi, po czym mówi cicho:

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię, Aniele. Na tym świecie są dwa rodzaje dziewczyn: takie, którym można bez problemu powiedzieć „kocham cię”, i takie, którym niemal nie sposób tego powiedzieć. Należysz do tego drugiego rodzaju.

– To dla mnie żadna nowina.

– Nie rozumiesz. Widzisz, kiedy chłopak boi się powiedzieć dziewczynie, że ją kocha, to dlatego, że to, co czuje, śmiertelnie go przeraża. Niektóre dziewczyny wzbudzają strach, inne nie.

– Jestem przerażająca. No cóż, miło to słyszeć.

– Aniele, kompletnie nie chwytasz, co próbuję ci powiedzieć...

Czuję się dotknięta. Nie mam ochoty kontynuować tej rozmowy. Kiedy szukam wzrokiem tabletu na swoim ramieniu, dociera do mnie, że Thomas musiał go odpiąć, gdy spałam. Urządzenie leży na podłodze, ekran zgasł.

Widzi, że szukam tabletu, i potrząsa głową.

– Teraz jest już dla nas bezużyteczny. Ale to nic nie szkodzi, bo dowiedziałem się właśnie czegoś na temat przenośnych superkomputerów. Łatwiej się do nich włamać, niż można byłoby sądzić. Włamywanie się do systemu zaprojektowanego w celu włamywania się do innych systemów przypomina podwójny negatyw. Tak czy inaczej, nadal możemy śledzić obraz z kamer monitoringu.

– To dobra wiadomość.

– Tak. Ale jak już zapewne zdążyłaś zauważyć, dobrej wiadomości zazwyczaj towarzyszy zła.

– Jak zatem brzmi zła wiadomość?

– Jest tylko jedno miejsce, w którym możesz zdobyć kolejną tabletkę.

Zamykam oczy.

– Oczywiście.

– Jak wiesz, dostać się na szóste piętro nie będzie łatwo – mówi.

Wydaję z siebie smętny chichot. Podejmowanie kolejnych prób mimo przeciwności losu wydaje się żałosne. Pokonanie trzech pięter pochłonęło cztery istnienia i nieomal kosztowało mnie życie. A teraz mam pójść dwa razy wyżej? Samodzielnie?

– Thomas, daj spokój. To już koniec, oboje to wiemy. Nie zdobędę tej pigułki na czas. Nawet gdyby mi się udało, prawdopodobnie nie ujdę z tego z życiem.

– Nie chcę tego słuchać! Zdobędziesz to, czego potrzebujesz. Pomogę ci. Nie obchodzi mnie, czy chcesz się poddać. Możesz sobie powiedzieć, że teraz robisz to dla mnie. Niezależnie od tego, ile miałyby cię to kosztować. Słuchaj, w tym budynku są siedemdziesiąt dwie kamery monitoringu. Przejrzymy je wszystkie. Na ekranie będziesz widziała cztery obrazy jednocześnie. Powiedz mi, jak zobaczysz coś interesującego. A ja teraz trochę odpocznę.

Zamyka oczy i opiera głowę o ścianę.

Przeglądam pojawiające się obrazy. Niektóre kamery pokazują jedynie szumy, na innych widać tylko czerń. Po mniej więcej dwudziestu obrazach widzę w górnym rogu główny hol. Prześlizguję się po nim wzrokiem, ale nagle dostrzegam jakiś ruch przy podłodze.

– Czekaj.

Thomas zdejmuje dłoń z klawiatury.

– To Steve!

– Kto?

Nadal czuję złość, że chciał mnie oddać w ręce żołnierzy, ale kiedy widzę, co robi, trochę

łatwiej mi jest mu wybaczyć. Ciągnie swoje ogromne ciało po podłodze, centymetr po centymetrze, zostawiając za sobą smugę krwi. Przesuwa się w kierunku biurka strażnika.

– Myślę, że wiem, dokąd on zmierza. Tam! Patrz. Na ścianie. Przycisk alarmowy.

Thomas wydaje słaby, senny okrzyk triumfu i odpowiada:

– Rychło w czas. Mam nadzieję, że przywiezą balony i dużo środków przeciwbólowych.

Na kolejnym ujęciu ruchu jest już więcej. Czterech żołnierzy z karabinami w dłoniach zmierza w kierunku klatki schodowej. Widok z następnej kamery pokazuje, jak schodzą na dół. Znajdują się jedno piętro wyżej niż główny hol. Obserwuję, jak schodzą.

– Nie – mówię. – Nie, nie, nie.

– Co?

– Idą do holu – mówię. – Idą prosto po niego.

Obserwujemy, jak Steve przesuwa się po podłodze. Odpychając się łokciami, ciągnie swoją masywną sylwetkę po marmurowej podłodze, rozsuwając na boki odłamki szkła. Obserwowanie go jest nie do zniesienia. Przypomina kibicowanie jakiejś niehumanitarnej dyscyplinie sportowej.

Na zmianę patrzę i odwracam wzrok. Steve ma najwyżej kilka sekund, zanim żołnierze wejdą do holu. Powoli, bardzo powoli czołga się naprzód, a ręce mu drżą za każdym razem, gdy uda mu się odrobinę przesunąć. Po każdym ruchu pada na ziemię, a potem jakimś cudem znajduje w sobie energię, by podjąć kolejny wysiłek.

Potrzebuje tylko odrobinę więcej czasu.

– Gdzie to radio? – pytam.

– Jakie radio?

– To, które zabraliśmy żołnierzowi, który spadł do wykopu.

– Nie mam pojęcia. Myślę, że nadal jest w plecaku.

Znajduję je i włączam.

– Halo? Halo? Czy ktoś mnie słyszy?

Żołnierze na ekranie zatrzymują się i zaczynają się rozglądać wokół.

– Wygląda na to, że zwróciłaś ich uwagę.

Steve'a dzieli od przycisku jeszcze metr i wygląda, jakby siły go opuściły.

– Aniele – odzywa się słodki głos z krótkofalówki. – Sądziłam, że uzgodniłyśmy, iż nie będzie długich, łzawych pożegnań. Dla nikogo nie jest to przyjemne. Cały czas mam nadzieję, że możemy cię po prostu zastrzelić i spokojnie się oddalić.

– Pamiętam – mówię.

– Naprawdę? No, no. To musi być dla ciebie bardzo trudne.

Kiedy zdejmuję kciuk z przycisku krótkofalówki, Thomas mówi:

– Powiedz jej, że wiesz, co ci zrobili.

– Co?

– Powiedz jej, że wiesz, co ci zrobił Buckley.

Patrzę na ekran. Steve dotarł do biurka strażnika. Wyciąga rękę ku ścianie, macając na oślep w poszukiwaniu przycisku. Podciąga się, upada, podciąga się jeszcze raz. Czterech żołnierzy zbiega po schodach, kierując się w stronę holu.

– No dalej, dalej – błagam cicho ekran, wirtualnie próbując dodać Steve'owi sił.

– Mów! – ponagla mnie Thomas. Poszarzał na twarzy, spojrzenie ma coraz bardziej szkliste. – Powiedz jej, że masz to, czego ona chce.

– A co ja takiego mam, czego ona chce?

– Dane. Powiedz jej, że masz wszystkie dane dotyczące projektu Velocius. Do tej pory zorientowali się już pewnie, że zniknęły.

Naciskam przycisk nadajnika.

– Mam to, czego chcesz.

Słyszę syk i krótki pisk. A potem głos Hodges:

– Jestem pewna, że nie masz tego, czego chcę, chyba że masz przy sobie szpilki od Jimmy'ego Choo w rozmiarze trzydzieści osiem. Nie, możesz być pewna, że jedyną rzeczą, której teraz chcę, jesteś ty sama, martwa, najlepiej zabita w jakiś możliwie najbardziej brutalny sposób.

Thomas potrząsa głową. Ból go zżera.

– Mów dalej. Powiedz jej, że masz dane, które zabrał 8-Bit. Na temat projektu Velocius. Powiedz jej to!

Powtarzam słowa Thomasa, chociaż nie rozumiem, o czym mówi. Odpowiedź nie pada przez dłuższy czas. Zastanawiam się, czy nie nastąpiło zerwanie połączenia. Minutę później powtarzam to, co powiedziałam. Nagle słyszymy cichy szum i zapalają się wszystkie światła. W nieoczekiwanej jasności mrużę oczy z bólu. Jeszcze nigdy nie byłam tak niezadowolona na widok światła. Czuję się tak, jakby w moich piersiach utworzyła się nagła, wsysająca mnie do środka pustka.

– Wygląda na to, że się zorientowali, gdzie jesteśmy – stwierdza Thomas.

Patrzę na ekran komputera. Steve leży na podłodze z ręką wciąż wyciągniętą w stronę biurka strażnika. Jego dłoń dzieli od przycisku alarmowego zaledwie kilka centymetrów. Stoi nad nim żołnierz z dymiącym karabinem.

– To jest naprawdę, naprawdę potwornie zniechęcające – mówi Thomas.

Wyłączam nadajnik i zdejmuję mu komputer z kolan.

– Dopadnę ją.

– Nie, nie dopadniesz. W każdym razie nie teraz. Najpierw musisz zażyć tę ostatnią tabletkę. A potem wedle woli możesz ją zabić. Proszę, Aniele. Nie opuszczaj mnie teraz. To znaczy... zorientujmy się najpierw, czego jeszcze możemy się dowiedzieć.

Thomas osuwa się bezwładnie na podłogę i zdejmuje okulary, które wypadają mu z ręki.

– Muszę dać oczom chwilę odpocząć. Ty popatrz.

Naciskam raz za razem klawisz enter, przeglądając obrazy z kamer w poszukiwaniu czegoś przydatnego. Po przewinięciu kilku ekranów widzę mężczyznę przywiązanego do fotela biurowego.

– Thomas.

Nie odpowiada. Delikatnie poklepuję go po policzku. Podnosi wzrok, na chwilę mobilizując uwagę. Wskazuję mężczyznę na ekranie.

– 8-Bit – mówi, pochylając się naprzód i patrząc w roztargnieniu.

– Czy możemy usłyszeć, co mówią?

– Nie, sprawdzałem. Kamery monitoringu przekazują jedynie obraz, bez dźwięku.

Włącznie z tym strumieniem z zewnątrz, który znalazłem wcześniej.

Widzimy na ekranie, że głowa 8-Bita zwisa bezwładnie na bok. Początkowo sędzę, że jest martwy, ale po chwili porusza się i zaczyna mówić.

– Gdzie on jest? – pytam.

– Gabinet dyrektora, pierwsze piętro – Thomas odczytuje położenie kamery monitoringu.

Nagle w polu widzenia pokazuje się Hodges. Spinam się cała na jej widok. Patrzymy, jak zbliża się do 8-Bita, idąc ku niemu wolnym krokiem z rękoma na biodrach. 8-Bit uśmiecha się do niej.

Hodges zakłada sobie kosmyk włosów za ucho i grzbietem dłoni uderza go w twarz.

8-Bit podnosi na nią wzrok i ponownie się uśmiecha. Jakby wydawała mu się zabawna

albo uznał, że to, co jej robi, jest zabawne, choćby ona sama tak nie sądziła.

Kobieta gestem pokazuje jednemu z żołnierzy, by jej coś dał. Mężczyzna podaje jej pistolet.

Hodges przystawia pistolet do skroni 8-Bita, który patrzy prosto w kamerę monitoringu. Ma nieruchome, zrezygnowane, błagalne spojrzenie.

– Nie mogę na to patrzeć – mówię.

Thomas i ja wstrzymujemy oddech, niezdolni ani patrzeć dalej, ani oderwać wzroku od ekranu. Hodges pochyla się i składa na ustach 8-Bita długi, wilgotny pocałunek. Gwałtownie zderzamy się głowami. Nie wiem, kto jest bardziej wstrząśnięty, Thomas czy ja.

Po chwili namysłu stwierdzam, że zdecydowanie Thomas.

Rozdział 33.

– Ona chyba zrobiła mu jakieś pranie mózgu, prawda? To jedyne wyjaśnienie – mówię. Thomas nie odpowiada. Nie wiem, czy to ból promieniujący z rany, czy widok 8-Bita i Hodges razem sprawiły, że wygląda tak marnie.

– Dotrzemy do niego na czas – kłamię. – Wyciągniemy go stamtąd. Nie martw się.

– To nie o to chodzi, że... Odtwórz to jeszcze raz.

– Co?

– Muszę to zobaczyć jeszcze raz. To plik cyfrowy. Przesuń do tyłu ten mały znacznik na belce czasu, żebym mógł to zobaczyć jeszcze raz.

– Ale po co?

– Patrz uważnie na jego lewą dłoń, kiedy z nią rozmawia.

Zlekceważyłabym to jako tik nerwowy, ale kiedy teraz się na tym skupiam, widzę, że 8-Bit na zmianę zwija dłoń w pięść i prostuje palec wskazujący, jakby wskazywał prosto przed siebie, podczas gdy Hodges staje nad nim i wrzeszczy mu w twarz. Rzeczywiście wydaje się, że nie są to przypadkowe gesty. Odtwarzamy zapis jeszcze dwukrotnie.

– Co to jest? Język migowy?

– Coś w tym rodzaju. To kod binarny. Jedyńki i zera. – Unosi palec. – Jedyńka to „włączony”. – Zaciska dłoń w pięść. – Zero to „wyłączony”. To najbardziej podstawowy język maszynowy.

– No to co powiedział?

Thomas przez dłuższą chwilę patrzy w przestrzeń, zastanawiając się, po czym wpisuje coś do komputera.

– Idź.

– Co? Nie zostawię cię tutaj!

– Nie. To jest to, co on starał się mi przekazać. Wie, że tu jestem, i chce, żebym go zostawił.

Słyszymy nad głową jakieś trzaski przypominające zakłócenia radiowe. Uruchamia się system nagłośnienia. Najpierw słyszymy przez chwilę nieprzyjemne piski, po czym ktoś dmucha do mikrofonu i odchrząkuje.

– Saro.

To Larry. Sądząc po głosie, jest wyczerpany, ale wiem, że to on. Serce bije mi mocniej na dźwięk znajomego głosu.

– Myślę, że teraz powinienem mówić do ciebie Aniele... Właśnie usłyszałem od naszej bardzo rozgniewanej konsultantki świetną wiadomość, że nadal żyjesz i jesteś gdzieś w budynku. I że masz wszystkie dane dotyczące naszych badań. Jestem z ciebie bardzo dumny, chociaż wolałbym, żebyś była wiele kilometrów stąd, z dala od tego wszystkiego. Aniele, musisz mnie uważnie posłuchać...

Zamieniam się w słuch.

– Nie mogłem pozwolić doktorowi Buckleyowi tego zrobić. Nie mogłem mu pozwolić cię zniszczyć tylko dlatego, że ona chciała się ciebie pozbyć. Nie mam zbyt wiele czasu, a ty musisz się dowiedzieć pewnych rzeczy o sobie. Rzeczy, które mogą cię ocalić. Aniele, za kilka chwil wypowiem słowo. Uwolni ono zdolności, których posiadania do tej pory nie byłaś świadoma. Ale musisz być ostrożna. Korzystanie z nich wzmacnia cię i osłabia jednocześnie.

I najwyraźniej sprawia, że ludzie chcą mnie zabić.

– Proces, któremu zostałaś poddana, różni się od normalnej terapii Tabula Rasa. Twoje

wspomnienia zostały szczelnie zamknięte, ale przywróca ci je tabletki, które ci dałem. Dokonałiśmy pewnych dodatkowych zmian w chemii twojego mózgu. I za to chciałbym cię przeprosić. Mogę powiedzieć tylko tyle, że straciłem kompas moralny. Mieliliśmy tyle niepowodzeń i czasem, kiedy się pracuje nad czymś bardzo długo, człowiek zaczyna się frustrować i z pełną świadomością postępować źle. Wydaje mu się, że zdoła wszystko naprawić później. Wydaje mu się, że jego odkrycie usprawiedliwi to, co zrobił. To ona cię do nas przysłała, a ty okazałaś się naszym pierwszym sukcesem. Na początku nie wiedzieliśmy dlaczego. Ja nie wiedziałem dlaczego, ale doktor Buckley wiedział. Dowiedziałem się znacznie później i kiedy się dowiedziałem, co zamierzali ci zrobić podczas ostatniego zabiegu chirurgicznego, zdałem sobie sprawę, że nie mogę do tego dopuścić.

W tle słyszysz wrzaski ludzi dobijających się do drzwi.

– Przyszli po mnie, Aniele, i dłużej nie zdołałam ich powstrzymać, ale wyrównam teraz nieco szanse obu stron. Chcę ci dać szansę przeżycia, na którą zasługujesz. Czy wiesz, na czym polega mechanizm wyzwania reakcji psychologicznej? Stworzyłem go, byśmy mogli udostępnić ci twoje nowe zdolności, gdy przyjdzie na to czas. Kiedy wypowiem to słowo, uzyskasz dostęp do wszystkich swoich umiejętności. Początkowo może ci się wydawać, że to nic takiego, ale to, co zyskałaś dzięki naszemu projektowi Velocius, da ci ogromną przewagę w bitwie.

Bitwa.

Nigdy nie prosiłam o to, by znaleźć się w samym środku bitwy. Jak Larry mógł mi to zrobić?

Moja złość przygasa, zanim jeszcze na dobre zdąży się rozpaść, kiedy w głośnikach słyszysz strzały. Wstaję bezradnie. Jakieś drzwi uderzają o ścianę, potem słychać niewielki wybuch. Larry krzyczy. Nie słyszysz, co mówi, coś o imieniu mojej matki.

Głośniki milkną.

Larry.

Larry, który mnie ocalił. Chciałabym go spotkać, chociaż raz.

Słyszysz teraz głos Hodges:

– Aniele, musisz przyjść na górę i pozwolić się zabić. Koniec tej zabawy w kotka i myszkę, kochanie. Będę również potrzebować tego pliku z danymi. Wiem, że go masz. Jestem pewna, że twój chłopiec musiał ci go dać i tak, oczywiście, teraz już o nim wiem. Jestem pewna, że nie chciałabyś, żeby coś mu się przytrafiło. Ale coś ci powiem, Aniele: będziesz miała jego krew na rękach, jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co ci powiem.

Patrzę na Thomasa. Nie jest już w stanie nawet unieść głowy.

– Wiem, że jeśli nie zdobędziesz tabletki pozwalającej wypłukać plastyfikator z organizmu, kompletnie zaklei ci mózg. A ja mam je wszystkie. Albo raczej miałam, zanim nie rozgniotłam ich obcasem. Wszystkich z wyjątkiem jednej. Oto układ, który ci proponuję: ty przekazesz mi plik z danymi, a ja ci dam tabletkę i pięciominutowe fory. Tak wygląda moja oferta: wyjściowa, ostateczna i najlepsza.

Radiowęzeł milknie. Jestem otępiała, zagubiona i zdeorientowana. Co ja mam teraz zrobić? Próbuję się zastanowić, czy mam jeszcze jakieś asy w rękawie. Nie mam.

I wtedy przypominam sobie jedną rzecz. Jest jeszcze jedna, żalosna nadzieja, prawdopodobnie równie skuteczna jak wysłanie wiadomości w butelce. Ale to wszystko, co mam.

Strumień zapisu monitoringu transmitowany na zewnątrz. Ktoś nas przez cały czas obserwował. A jeśli to nie Claymore mnie obserwował? A jeśli to był ktoś inny? Nie mogę sobie nawet wyobrazić, kto to mógłby być, ale jestem gotowa zawierzyć bez reszty tej właśnie osobie.

Budzenie teraz Thomasa jest okrucieństwem, ale nie mam wyboru. Potrząsam nim, najpierw delikatnie, a później tak mocno, że zaczynam się obawiać, czy nie złamię mu karku.

– Thomas, potrzebuję od ciebie dwóch rzeczy! Musisz włączyć transmisję na zewnątrz! – krzyczę mu prosto w twarz. – Tę transmisję zewnętrzną, o której mówiłeś mi wcześniej.

Plask!

– Thomas!

Już mam go uderzyć ponownie, kiedy chwytą mnie za nadgarstek i przytrzymuje moją rękę.

– A ta druga rzecz? – pyta.

– Przepraszam. Sądziłam, że cię tracę.

Uchyła odrobinę powieki.

– Nadal tu jestem. Ze względu na ciebie.

– Co to jest? Co to jest ten projekt Velocius?

– Powinnaś mnie pocałować.

– Thomas, proszę.

– Nie, poważnie mówię. Te tragiczne okoliczności tego wymagają. A poza tym to jest druga rzecz na mojej liście przedśmiertnych życzeń: pocałować łysą dziewczynę. Nie możesz odmówić.

– Nie zostanę ofiarą tragedii i ty też nie.

– Pocałuj mnie, a powiem ci, czym jest Velocius. I czym ty jesteś.

– To nie w porządku.

– Wiem. Straszny ze mnie dupek.

Całuję go szybko.

– To się nie liczy.

– Thomas, nie mamy czasu na takie zabawy!

– Pocałuj mnie tak, jakbyśmy mieli dla siebie całą wieczność – mówi leniwie.

Pochylam się nad nim i całuję go jeszcze raz, tym razem miękko i delikatnie.

– Trochę lepiej, ale nie za bardzo. Zrób to jeszcze raz.

– Nie mam wprawy w całowaniu.

– Nic nie szkodzi. Mam pewne teorie dotyczące tego, co składa się na dobry pocałunek.

Jeśli miałabyś ochotę ich wysłuchać...

– Nie. Nie miałabym.

Dotykam dłońią jego policzka i zamykam oczy. Całuję go tak, jak prosił: jakbyśmy mieli dla siebie całą wieczność. Jakby to miała być ostatnia dobra rzecz, jaka mnie spotka. Ponieważ najprawdopodobniej tak właśnie jest.

Rozdział 34.

Jeszcze się od niego nie oderwałam, a już, nie otwierając oczu, zaczyna przebiegać palcami po klawiaturze.

– Wiem, że całujesz mnie tylko ze względu na moje oszałamiające talenty hakerskie, ale nic nie szkodzi. Skorzystam mimo wszystko.

Otwiera plik i widzę, że pokazuje mi rozprawę doktorską napisaną na MIT przez Josepha Purcella Wilsona.

– Naprawdę nie mam teraz czasu na czytanie całej książki.

– Szkoda. Bardzo interesująca tematyka. – Głos Thomasa przechodzi w najcichszy szept.

– Widzisz, ludzie w stanie skrajnego stresu zaczynają szybciej myśleć. Dosłownie. Właśnie dlatego osoby, które uczestniczyły w wypadku samochodowym czy czymś w tym rodzaju, mówią, że miały wrażenie, jakby czas zwolnił. To nie czas zwolnił, to mózg przyspieszył. Niesamowite, co?

– No. Chyba tak.

– I nie chodzi tylko o to. Można zmusić swoje ciało do znacznie większego wysiłku, przeżyć dłużej w skrajnych warunkach... Możesz być silniejsza, lepsza, szybsza... a wszystko dlatego, że twoje życie jest zagrożone. Problem polega na tym, że działa to tylko wtedy, gdy życie jest naprawdę zagrożone. Mózg potrafi się zorientować, czy nie próbujesz go oszukać.

– No dobra. I?

Thomas próbuje usiąść, ale zmuszam go, by z powrotem się położył. Jest wyczerpany, a jednocześnie rozentuzjasmowany. Ręce mu drżą, kiedy wskazuje komputer.

– Buckley chciał rozpracować metodę pozwalającą odtworzyć zachowanie organizmu w tych rzadkich momentach skrajnego stresu. Co by było, gdyby cały ten proces włączał się nie tylko w sytuacji zagrożenia życia, lecz także w dowolnym, wybranym przez ciebie momencie? Rząd przyznał mu znaczną dotację na przeprowadzenie dalszych badań. To właśnie znajduje się we wszystkich tych plikach, które mam na pendrivie. Ścisłe tajne badania. Z tego właśnie powodu doktor Wilson miał mały wypadek i stał się doktorem Buckleyem. Wiedzieli, że jeśli Buckleyowi uda się tego dokonać, że jeśli opracuje metodę zwiększania możliwości żołnierzy, będzie to na świecie przełom na miarę wynalezenia bomby atomowej. Wyobraź sobie całe armie facetów zdolnych myśleć szybko jak błyskawica, i to przez cały czas. Temu właśnie poświęcone były badania prowadzone w całym tym ośrodku: przekształcaniu żołnierzy w superżołnierzy, a następnie terapii tych, którzy nie byli w stanie poradzić sobie ze wspomnieniami o przemocy, której się dopuścili. Velocius i Tabula Rasa były początkowo niezależnymi projektami badawczymi, które w pewnym momencie zaczęły się mrocznie zazębiać. Prawdopodobnie wtedy, kiedy Buckley odkrył, że tylko pewien rodzaj ludzi można poddawać testom w ramach procesu Tabula Rasa, bo inaczej rezultaty są dalekie od zadowalających. Elmer, Sam, Jerry i Sylvester byli tego dowodem.

– Młodzi ludzie – mówię.

– Tak, początkowo tak właśnie sądzono. Dlatego pacjentów do badań klinicznych zaczęli szukać w poprawczakach. Mówili, że pomoże im to odzyskać ich życie, położyć fundamenty pod świetlaną przyszłość. Tylko w ten sposób mogli uzyskać zgodę na dalsze eksperymenty. Większość tych dzieciaków znajdowała się tak czy inaczej pod opieką państwa. Nie czekało ich nic z wyjątkiem więzienia, więc dlaczego nie dać im szansy poprawy własnego losu, nie? To wszystko miało sens. Właściwie każdy dzieciak, któremu zaproponowali tę możliwość, decydował się z niej skorzystać.

– Może dlatego ciągle nam powtarzali, jakimi jesteśmy szczęściarzami i że powinniśmy być wdzięczni za drugą szansę, którą otrzymaliśmy.

Thomas zaciska na chwilę powieki, zbierając resztki sił.

– Będę się streszczał, Aniele. Zorientowali się, że proces działa, ale tylko w przypadku nieuszkodzonego umysłu. Dlatego zadziałał w twoim przypadku.

– W moim?

– Buckley *ciebie* obdarzył możliwościami stwarzanymi w projekcie Velocius, tym wszystkim, co daje ci przypływ adrenaliny w chwili śmiertelnego zagrożenia. Ale ty możesz uzyskać do tego dostęp, kiedy tylko chcesz.

– Ależ nie mogę!

Dociera do mnie, że Thomas musiał przegapić moment, w którym Larry mówił o mechanizmie wyzwalań.

– Ale co z Claymore'em? – pytam. – Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

– Nie mam pojęcia. Od wielu lat finansuje tego rodzaju badania. Twierdzi, że pragnie wspierać rozwój medycyny, ale kto wie, o co mu naprawdę chodzi.

Thomas zaczyna gmerać w kieszeni kurtki. Wyciąga pendrive.

– Weź to i idź. Jak już będziesz wystarczająco daleko, zniszcz to. To jest przerażające. – Otwiera oczy i wbija we mnie spojrzenie. – Ty jesteś przerażająca.

– To prawda. Jestem przerażająca.

– Niesamowicie przerażająca – mówi, dotykając palcami mojej twarzy.

Chwyta mnie za koszulkę i podciąga się ku mnie. Pochylam się nad nim, a on całuje moją dolną wargę.

– To moja teoria, tak przy okazji – mówi.

– Twoja teoria?

– Moja teoria pocałunku. Całujesz jedną wargę, a potem drugą. – Całuje moją górną wargę. – A potem obie jednocześnie.

Całuje mnie w taki sposób, że Śpiącą Królową zżarłaby zazdrość. Powoli, rozkosznie, z obietnicą, że wszystko będzie dobrze, bo już on się o to zatroszczy, żeby nie umknęło mi moje szczęśliwe zakończenie. Gdy patrzę mu w oczy, nie czuję się już niewystarczająco dobra. Wiem, że to nie ma nic wspólnego ze mną, lecz wypływa z niego. Kiedy ktoś tak na Ciebie patrzy, unosisz się jak na skrzydłach.

Przynajmniej przez chwilę. Mrugam oczami i wszystkie jasne myśli znikają.

– Weź to i idź – powtarza.

Odpycham od siebie pendrive.

– Myślisz, że po tym wszystkim tak po prostu sobie pójdę? Nie zostawię cię tutaj! Ta kobieta cię zabije!

– Musisz iść.

– Thomas, proszę.

– Ona mnie nie zabije, Aniele.

– Oczywiście, że tak!

– Otworzyłem plik.

– Jaki plik?

– Plik „Gdyby coś mi się stało”, który zostawił mi 8-Bit. Nie musiałem nawet łamać szyfru. Hasłem było jej imię.

– Czyje imię?

– Evangeline.

– Nie rozumiem. Dlaczego...

– Aniele, ona jest moją matką.

Rozdział 35.

Mam wrażenie, jakby pokój się zakołysał. Thomas odwraca się ode mnie i krzyżuje ręce na piersiach. Z powodu gorączki ma takie dreszcze, że aż szczęka zębami.

Trzykrotnie próbuję wydobyć z siebie słowa, zanim w końcu udaje mi się wydusić:

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Powiedziałem ci, że jestem adoptowany. 8-Bit pojawił się i zabrał mnie osiem miesięcy temu. Nigdy nie poznałem tej kobiety, ale niektóre rzeczy, które mi mówił przed podjęciem pracy nad tym zleceniem... teraz zaczynają układać się w spójną całość.

– Nie – mówię, odsuwając się od niego. – To jakaś pomyłka. To nie może być prawda.

– Sama zobacz! – Pochyla głowę. – Widzisz? Widać już odrosty. Rude.

Przeczesałam dłońmi jego włosy.

– Ona prawdopodobnie farbuje włosy. Może ma już siwe – mówię.

– Jasne. Może farbuje włosy na taki sam kolor, jaki miały, gdy była młodsza. Czy nie tak właśnie robią kobiety?

– Wielu ludzi ma rude włosy.

– Aniele.

Gapię się na niego, próbując zrozumieć ten potworny fakt i cały czas mając nadzieję, że się myli.

– Ta kobieta odebrała mi wszystko, co kiedykolwiek posiadałam.

– Wiem. Dałbym wszystko, żeby to nie była prawda. Wszystko.

Thomas z trudem powstrzymuje się od zamknięcia oczu. Przewraca się na bok, kuląc się przy komputerze i nie będąc w stanie się podnieść. Biorę go w ramiona i opieram jego głowę w zgięciu swojego łokcia.

– Byli małżeństwem. 8-Bit mówi, że dowiedział się o mnie dopiero wtedy, gdy zostałem adoptowany. Wówczas miał już całą masę własnych problemów. Musiał uciekać z kraju.

Thomas jeszcze raz wyciąga ku mnie pendrive.

– Nie. – Odpycham urządzenie w jego stronę.

– Weź to.

– Nie. Zabierz to i schowaj. Ona tego chce. Musisz mieć coś, czym będziesz mógł się z nią wymienić.

– Nie potrzebuję tego, by ocalić życie. Nic mnie już teraz nie ocali.

– Co masz na myśli?

– Powiedziałem ci, sporo czytam. Znam się na różnych rzeczach. Wiem sporo na przykład o wstrząsie septycznym. O sepsie... Aniele, chcę, żebyś mi coś obiecała.

– Nie.

– Weźmiesz ten dysk i obiecasz mi, że nie przekazesz im tych danych. Możesz zdobyć tę tabletkę w inny sposób.

Jego głos gaśnie.

– Jak? To niemożliwe!

– Nie dla ciebie, Aniele. – Powoli unosi dłoń i wskazuje sufit. – Masz skrzydła.

Nie chcę go zostawiać, chociaż on mnie właśnie zostawił. Wiem, że stracił przytomność, i nie mogę mu w żaden sposób pomóc, ale jestem rozdarta.

Nagle wybór zostaje mi odebrany.

Nad głową słyszę wybuch. Nadchodzą żołnierze. Brzmi to tak, jakby kolejnymi eksplozjami torowali sobie drogę przez zarzuconą gruzem klatkę schodową. Mam dosłownie

kilka minut, by się stąd wydostać. Jeśli będę miała szczęście.

Myślę o Hodges. A potem o mojej matce. Oślepia mnie gniew, żal i strach. Chcę uciec, a jednocześnie chcę się zwinąć w kłębek i płakać. Nie mogę zrobić obu tych rzeczy naraz. Muszę wybierać.

Thomas ma rację.

Wiem, co powinnam zrobić. Jest tylko jedna droga ucieczki: muszę znów stawić czoła zawiei. A potem dostać się na górę.

Kurtka Thomasa leży tuż obok na podłodze. Biorę ją razem z czapką i rękawiczkami. Przerzucam przez ramię plecak żołnierza. Już mam wyjść, kiedy wracam po jeszcze dwie rzeczy. Biorę czołówkę, bo mogę jej potrzebować. A potem szepczę Thomasowi do ucha:

– Ja też cię kocham.

Bo nawet jeśli kiedyś to już komuś wyznałam, to nic nie pamiętam.

Rozdział 36.

Wracając po własnych śladach, staram się trafić na drogę, którą tu dotarliśmy. Dochodzę do pokoju konferencyjnego w pobliżu miejsca, w którym po raz pierwszy zobaczyłam Sama i jego toporek strażacki. Wychodzę zza rogu i widzę Oscara. Stoi, trzymając się ściany, jakby próbował zachować równowagę na łodzi.

O nie!

To jest właśnie to, czego teraz nie potrzebuję. Zaciskam dłoń w pięść. Patrzy na mnie i również zaciska dłoń, po czym zaczyna uderzać samego siebie w skroń. Powinnam po prostu mu na to pozwolić, jednak podbiegam do niego i chwytam go za ramię.

– Wszystko boli. Wszystko tutaj – mówi, wymierzając sobie kolejny cios.

Cokolwiek znajdowało się w strzykawce, którą mu wbiłam, przenicowało go na drugą stronę. Patrzy na mnie jak przerażony mały chłopiec. Mam już odejść, naprawdę jestem tego bardzo bliska, ale się zatrzymuję. Teraz rozumiem, co Thomas próbował mi powiedzieć i jak uda mi się wprowadzić jego słowa w czyn.

– Oscar, chcesz to wszystko naprawić? Musisz mi pomóc, okej? Musisz mi natychmiast pomóc. Musimy stąd wyjść, ścigają nas.

– Kto?

– Żli ludzie.

– Ja jestem złym człowiekiem.

Co ja mam mu powiedzieć? Jest. Najwyraźniej w tej strzykawce był eliksir prawdomówności.

– Oscar, pamiętasz tego żurawia, prawda? Tego wielkiego, takiego, jakich w mieście używają do budowy wieżowców?

Słyszę krzyki mężczyzn i ich zbliżające się mechaniczne głosy. Snopy światła tańczą po korytarzu. Szukają nas.

– Oscar, chodź. Musimy się stąd wydostać.

Wypryskujemy przez drzwi na biały świat na zewnątrz. Nie mam pojęcia, która może być godzina. Zawieja ucichła, ale powietrze jest nadal przesywająco zimne.

Wskazuję na żurawia.

– Czy potrafisz tym kierować?

Przechyla głowę na jedną i na drugą stronę, jakby się zastanawiał nad odpowiedzią.

– Potrafię to rozgryźć.

To musi wystarczyć.

Wiem, że robiłam to wcześniej. Wielokrotnie. Niestety nie pamiętam jak.

Wewnątrz konstrukcji żurawia znajdują się szczeble prowadzące do góry. Chwytam jeden z nich i podciągam się z nadzieją, że wszystko sobie przypomnę. Jakies dwa metry nad ziemią dociera do mnie, że nie muszę się wspinać. Inaczej niż w Nowym Jorku, gdzie zawsze zakradałam się na place budowy nocą, możemy skorzystać z kabiny operatora.

Oscar przygląda się drążkom sterowniczym. Żuraw jest napędzany benzyną i po kilku próbach uruchomienia zimnego jak lód silnika udaje mu się go odpalić. Eksperymentuje przez chwilę z drążkami, testując je. Kabina wznosi się i opada o metr. Słyszę jęk wysięgnika obracającego się nad moją głową. Potem cały żuraw zaczyna się obracać i patrzę, jak hak na końcu wysięgnika kołysze się w przód i w tył jak wahadło. Wiatr nadal wieje, wprawiając hak w ruch obrotowy. Zaczynam się bać. Powinnam się bać. To szaleństwo.

Kabina urywanym ruchem posuwa się w górę metr czy dwa i Oscar uznaje, że wie, o co

w tym chodzi. Na jego twarzy maluje się jakiś nowy wyraz.

– To koszmar.

Mówi to w taki sposób, że nie jestem pewna, czy mi to oznajmia, czy zadaje mi pytanie.

– Tak, Oscar. To koszmar.

Kabina zatrzymuje się ze zgrzytem na szczycie. Oscar bierze moją czapkę i owija ją sobie wokół dłoni, po czym wybija okno. Kilkoma silnymi kopnięciami usuwamy resztki szyby z ramy. Wypełzam na wysięgnik dźwigu.

Na tej wysokości wiatr wieje znacznie silniej. Oceniam czekającą mnie długą wspinaczkę, patrzę na bujający się hak, i chcę już skończyć to szaleństwo. Kiedyś podobało mi się na górze. Wiem to. Ale już mi się nie podoba.

Ramię żurawia przechyla się podstępnie w prawo i spadam na jedną z rozpór, lądując dokładnie na kości łonowej. Boli jak cholera, ale trzymam się mocno rękami i nogami. Chyba powinnam się spodziewać takich gwałtownych ruchów. Można odnieść wrażenie, że wiatr się na mnie uwziął.

– Przesuń wysięgnik nad szczyt dachu – krzyczę do Oscara.

Porusza jakieś drążki i czuję, że żuraw skręca. Najpierw obraca się w niewłaściwą stronę i zatrzymuje się z dygotem. Potem Oscar przesuwam ramię na pozycję bezpośrednio nad głównym budynkiem i zaczyna opuszczać hak.

Najszybszą metodą dostania się na koniec wysięgnika jest położenie się na brzuchu i podciąganie się do przodu. Wyciągam się i podciągam, wyciągam i podciągam, a moje ciało płonie z bólu, gdy walczę z porywami wiatru. Ta próba dzielności jest możliwa tylko dzięki kurtce Thomasa i jego czapce. Ach, i jego rękawiczkom. Bez nich moje dłonie spływałyby już krwią.

Zastanawiam się, czy znaleźli już Thomasa, a jeśli tak, to czy ona... Czy Hodges naprawdę by to zrobiła? Kazała najemnikom zabijać nieuzbrojonych ludzi, ale czy wydałaby rozkaz zastrzelenia własnego syna?

Hodges jest jego matką.

Nie obchodzi mnie to.

Nie zmienia to ani na jotę moich uczuć do niego. Jestem tu – żyję – tylko ze względu na niego. Podciągam się więc raz za razem, aż wreszcie docieram do końca wysięgnika.

Oscar ma opuścić hak tak nisko, jak będzie to możliwe, najlepiej aż na dach, jeśli zdoła, ale nic się nie dzieje. Odwracam się i patrzę w kierunku kabiny, która... zjeżdża na dół! Nie tak się umawialiśmy. Mam ochotę sobie przywalić za to, że znów mu zaufałam, ale nie mogę tracić energii na rozmyślanie na ten temat – muszę się skoncentrować. Przede mną najgorsza część. Muszę się zsunąć na linę i opuścić na hak na jej końcu, co oznacza, że muszę się opuścić na rękach z końca ramienia i chwycić linę nogami. Przez chwilę będę się trzymał liny tylko nogami. To najbardziej niebezpieczny moment. Ponieważ gorsza od obawy przed upadkiem jest chęć rzucenia się w dół.

Czułam ją za każdym razem, gdy się wspinałam. Za każdym razem, gdy ją poczułam, udawało mi się ją zwalczyć.

Zamykam oczy, starając się nie patrzeć w dół. Słyszę go: mój własny strach ukryty pod postacią tęsknoty. Woła mnie. *Nigdy więcej bólu. Nigdy więcej samotności. Nigdy więcej strachu.*

Puść.

Puść.

Puść.

Muszę skupić na czymś myśli, na jakimś momencie w przyszłości, na miejscu, do którego chciałabym dotrzeć. Potrzebuję czegoś, co przewycięży pokusę grawitacji.

Nie mogę odzyskać swojej matki. Być może nigdy nie odzyskam wszystkich swoich wspomnień. Ale jest coś, czego bardzo pragnę.

Chcę ponownie zobaczyć Thomasa.

Wierzę, że wciąż żyje.

Wierzę w to ze wszystkich sił. Nie uda mi się znów go zobaczyć, jeśli przez to nie przebrnę.

Hak jest nadal niemożliwie wysoko nad dachem, a Oscar mnie zostawił. Nawet jeśli zsunę się na sam dół, a potem opuszczę na rękach, i tak będzie to upadek z wysoka. Trudno mi stąd ocenić odległość, ale od dachu dzieli mnie przynajmniej jedna, jeśli nie dwie złamane kostki.

Otwieram oczy, by po raz ostatni się rozejrzeć. To nie jest złe miejsce na umieranie – piękne, dzikie i obojętne. Na swój sposób przypomina miasto. Pokryty bielą trawnik skrzy się w promieniach słońca przebiegających tu i ówdzie zza zasłony chmur. Taki czysty, niedawno spadły. Jak czysta kartka papieru.

Śnieg!

Musiało napadać co najmniej półtora metra. Śnieg złagodzi moje lądowanie – może na tyle, żeby udało mi się nie połamać nóg.

Opuszczam się z końca wysięgnika żurawia i prawie tracę równowagę.

I nagle... przebłysk wspomnienia. Delikatny jak odbicie na wodzie. I ona tam jest. Odpowiedź. Słyszę w głowie głos Larry'ego i nagle zaczynam rozumieć, co próbował mi powiedzieć.

Czasem odpowiedzi na wszystkie pytania mamy tuż pod nosem.

Ta biel, ta czysta biała przestrzeń, którą widzę za każdym razem, gdy przypominam sobie matkę. To nie jest jakaś okrutna sztuczka. To odpowiedź.

Blanca. Moja matka miała na imię Blanca.

Nagle mój umysł ogarnia spokój. Tym właśnie jest jasność: spokojem. Powoli poruszającym się spokojem. Spokojem na moich własnych warunkach. Zaciskam nogi na linie i puszczam wysięgnik. Jestem pewna siebie. Nie puszcę. Nie będę słuchała podszeptów. Zawsze mnie okłamywały.

Na zmianę zaciskam nogi na linie i rozluźniam uścisk, opuszczając się w kontrolowany sposób w kierunku haka. Do końca opuszczam się na rękach. Wiem, że muszę zejść możliwie nisko, by maksymalnie skrócić skok na dach.

Wiszę tak, na końcu haka, kołysząc się w przód i w tył na wietrze.

Czas się puścić.

Jedną ręką rozpinam kurtkę i w chwili, w której puszczam hak, rozkładam ją szeroko, próbując złapać wiatr. Radosny lot trwa ułamek sekundy. Upadam z głuchym łomotem. Moje rzepki są jak dwie przejrzałe śliwki spadające na beton. Upadek wyciska mi z płuc resztki powietrza i przez kilka chwil sprawia mi trudność nabranie go ponownie. W końcu chwytam oddech i przewracam się na plecy. Ruszam nogami i rękami w górę i w dół, by sprawdzić, czy działają.

Kiedy chwilę później wstaję, zauważam, że zrobiłam w śniegu aniołka.

Poniżej, w pobliżu podstawy dźwigu, zapalają się światła betoniarki. Co ten Oscar wyprawia? Cofa, zatrzymuje się, jeździ w kółko, po czym nagle dodaje gazu. Betoniarka zasuwa w śniegu jak pług. Jedzie prosto w dźwig i kiedy jest już blisko jego podstawy, uświadamiam sobie, że wcale nie zamierza się zatrzymać.

Nie dociera do mnie w pełni, jak chwiejnie trzymam się na nogach, dopóki nie próbuję pobiec. Rzepki, które zamortyzowały moje lądowanie, niezbyt sprawnie działają.

Ale nadal czuję ten spokój. Pewnie to właśnie dał mi projekt Velocius. To drobiazg,

a jednocześnie ogromny atut. Owszem, myśli będą szybciej niż zwykle, ale jest w nich też spokój, a wszystkie zmysły są wyostrzone.

Strach? W ogóle nie czuję strachu. Są tylko pytania i odpowiedzi. Co trzeba zrobić i jak należy to zrobić.

Patrzę, jak Oscar z pełną prędkością uderza w podstawę dźwigu. Nie uderza całkiem na wprost i taki chyba miał plan. Jedna z podpór wygina się i dźwig traci stabilne podparcie. Wiem, w którym miejscu ma runąć zgodnie z planem Oscara.

Nie odrywam wzroku od betoniarki. Nie wiem, czy taki był jego zamiar, ale betoniarka sunie poślizgiem obok podstawy dźwigu i wpada do wykopu. Nie ma szans, by zdołał przeżyć ten upadek, ale nie mam już czasu, by się nad tym dłużej zastanawiać, bo dźwig zaczyna się przechylać.

Prosto na dach.

Rozdział 37.

Dźwig przechyla się coraz bardziej, a czas jakby zwolnił. Podbiegam do krawędzi dachu i patrzę na szklany korytarz łączący główną część budynku ze skrzydłem południowym, taki sam jak oblodzony most, którym przeszłam razem z Samem, Jerryem i Sylwestrem, z tą tylko różnicą, że ten jest ukończony. A w każdym razie ma dach.

Dzieli mnie od niego jakieś sześć metrów. Zdejmuję plecak i przetrząsam go. Zostały mi dwie miny. Wszystko to dzieje się w ułamkach sekund. Patrzę przez ramię. Dźwig zgiął się u podstawy i przechyla się coraz bardziej. Ramię uderzy w sam środek dachu, ale prawdziwych zniszczeń dokona dziesięcotonowa przeciwwaga, która spadnie tuż za nim.

Przekręcam minę, trzymam ją, jak mi się wydaje, trzy sekundy dłużej, niż jestem w stanie wytrzymać, i rzucam na metalowy dach korytarza poniżej. Przewracający się dźwig jest coraz bliżej. Jakaś część mnie krzyczy, by natychmiast skakać. *Teraz, teraz, teraz!* Ale to nie ta część mną steruje. Wyczekuję odpowiedniego momentu i skaczę ułamek sekundy po wybuchu miny, który utworzył w dachu dziurę na tyle dużą, bym mogła przez nią wskoczyć do środka. Trzymam ręce przy sobie i opadam na dół jak nurek w toń, a żuraw spada na dach, rozłupując go na dwie części. Przeciwwaga spada z łomotem, a ramię żurawia wbija się w krawędź budynku. Rozlega się potworny łoskot, zupełnie jakby eksplodujący samolot rozbił się o moją czaszkę. Dociera do mnie, że to koniec, dopiero wówczas, gdy widzę papiery i segregatory wyfruwające z dziury z boku budynku.

W pierwszej chwili nie mogę się ruszyć. Twardo wylądowałam i mocno się potłukłam, chociaż nie jestem pewna, gdzie dokładnie mnie boli. Myślę, że „wszędzie” jest najbardziej adekwatną odpowiedzią. Kiedy próbuję odepchnąć się od podłogi, zauważam, że uszkodziłam sobie lewe ramię. Chyba mam zwichnięty bark.

Ale żyję. Tylko dzięki temu, co mi zrobili. Bo potrafię nie ulegać panice. Bo potrafię znaleźć w sobie spokój, jasność umysłu i siłę w chwili, w której najbardziej tego potrzebuję – teraz i w każdej innej chwili od teraz, zakładając, że mam w perspektywie jakieś „od teraz”. Pierwszy raz jestem skłonna przyjąć to założenie. A co ważniejsze, pragnę swojej przyszłości.

Ponieważ mam zadanie do wykonania.

Jako sposób na odwrócenie uwagi obalenie dźwigu na dach jest bardzo skuteczne. Kuśtykam w kierunku budynku głównego, zastanawiając się, jak głęboko wbił się żuraw. Prawdopodobnie płonne są nadzieje na to, że Hodges została przygnieciona stalową belką lub przywalona stertą gruzu, ale mimo to pozwalałam sobie je pielęgnować. Oczywiście wiem, że żuraw mógł przy okazji zniszczyć szafkę z lekami, ale ostatnia szansa, jedyna szansa, szansa jedna na milion to jedno i to samo. Szansa to szansa.

Otwieram drzwi między korytarzem-łącznikiem a budynkiem głównym. Przez rozwalony dach wpada śnieg, lecz jakimś zdumiewającym zrzędzeniem losu część piętra pozostała nietknięta. Muszę się dostać na szóste piętro i nie zastanawiam się zbyt długo nad szaleństwem wbiegania na oślep do niestabilnego, w połowie zrujnowanego budynku, prosto w objęcia kobiety zdecydowanej mnie zabić.

Najwyraźniej mam zwichnięty bark. Ramię zwisa mi bezwładnie jak tusza na haku. Nieważne, w jakim stanie są moje nogi. Muszą działać. Wyjaśniam im to bez ogródek i nie zwracam uwagi na ból trawiący piszczele.

Rozkład tego piętra nie różni się od innych. W środku znajduje się duża, otwarta przestrzeń, gdzie mieści się częściowo zniszczona dyżurka pielęgniarek. Otaczają ją pokoje pacjentów zajmujące resztę piętra. Na przeciwległych krańcach znajdują się dwie klatki

schodowe. Jestem pewna, że klatka schodowa na drugim końcu została zdruzgotana żurawiem, ale tę bliższą chyba można przejść – z tego, co mogę się zorientować.

Głośno i ciężko gramolę się po schodach. Mam wrażenie, że wspinam się przez godzinę, ale to na pewno nie może trwać aż tyle. Gdy docieram na górę, moim oczom ukazuje się pozbawione dachu szóste piętro. Żuraw zaklinował się w ścianie budynku, a jego gigantyczne metalowe truchło zastygło bez ruchu.

Słyszę zgrzyt. A potem jęk.

Znajduję leżącego na boku żołnierza przyszpilonego długim kawałkiem metalu – jedną z podpór dźwigu. Nitowana metalowa belka przebiła mu brzuch i wyszła plecami.

Żołnierz ma bardzo ciemną skórę, ciemne oczy i grube brwi zrastające się niemal w jedną linię. Ma skupione, lecz pozbawione emocji spojrzenie. Może zakłada, że go zabiję, i po prostu czeka.

Ma urządzenie tłumaczące mowę. Pewnie nie mówi po angielsku. Podnoszę urządzenie i mówię do niego wyraźnie:

– Gdzie ona jest?

Język zsyntetyzowany przez urządzenie jest dla mnie niezrozumiały. Słyszałam go już wcześniej, ale nie mam pojęcia, z którego zakątka świata może pochodzić. Przytrzymuję mu je przed twarzą i czekam na jego odpowiedź. Nie odpowiada, prostuje tylko słabo palce. Dostrzegam jego karabin leżący obok mojej stopy. Odkopuję go daleko od siebie. Odpada mu kolba i kilka innych części.

Nie wiem, ile trzeba zapłacić człowiekowi, żeby był w stanie zdobyć się na *taką* lojalność. Przy tak potwornych obrażeniach, stojąc już nad grobem, nadal próbuje mnie zabić?

Podnoszę tłumacza i mówię:

– Twoją broń szlag trafił.

Ciekawe, czy to w ogóle można sensownie przetłumaczyć. Mało mnie to obchodzi.

Odpycha urządzenie. Ciągle powtarza to samo. Patrzy na mnie błagalnie. Przystawiam mu tłumacza to ust.

– Proszę, zastrzel mnie.

Powtarza to w kółko. W jakimkolwiek języku by mówił, wiem już teraz, jak w nim powiedzieć: „Proszę, zastrzel mnie”.

Wskazuje na swój but i widzę, że do kostki ma przymocowaną kaburę, w której znajduje się niewielki pistolet. Wyjmuję go. Nie zastrzelę tego człowieka, choćby miało to być aktem miłosierdzia. On tego oczywiście nie wie.

Przystawiam sobie tłumacza do twarzy i mówię:

– Powiedz mi, gdzie ona jest, a cię zastrzelę.

Dziwnie mi to mówić. Zupełnie jakbyśmy odgrywali tę scenę na opak. Powinam mu zagrozić, że go zabiję, jeśli mi czegoś nie powie.

– Gabinet dyrektora.

– Kto z nią jest? – pytam.

– Haker, czterech żołnierzy i chłopak.

Thomas. To może wszystko skomplikować.

Zabieram mu radio; mogę go potrzebować. Zamyka oczy i czeka, aż nacisnę spust, lecz ja odchodzę z pistoletem w dłoni w stronę klatki schodowej. Kiedy docieram do stopni, schylam się i silnym pchnięciem puszczam pistolet po podłodze w stronę żołnierza. Broń zatrzymuje się na jego ciele. Sięga po nią. Nie zabiję go, ale jeśli chce, może to zrobić sam.

Kiedy schodzę już po schodach, słyszę strzał.

Chociaż wszystko mnie boli, kuśtykam z trudem, nadal mam mnóstwo dziur w głowie,

a moje wspomnienia to zaledwie nieuchwytny przeblyski, to jest mi lzej na duszy. I wiem dlaczego.

Jestem potwornie wkurzona.

Nie wiem dlaczego, ale czuje gniew, jakiego dotad nie czulam. Jest krystalicznie czysty. Uwalniajacy. Przeplywa przeze mnie niczym prąd. Jak to mozliwe, by gniew tak poprawial humor? Moze to dlatego, ze nie czuje nienawisci. Nie rozumiem tego, ale tak wlasnie jest.

Wchodzac na korytarz na trzecim pietrze, naciskam przycisk krótkofalówki. Zaczynam od zwyklych uprzejmosci.

– Witam.

Hodges odpowiada niemal natychmiast.

– To nieładnie z twojej strony, że próbowałaś nas wszystkich tutaj zmiażdżyć.

– Chciałabym przypisać sobie tę zasługę, ale niestety nie mogę.

Idę dalej korytarzem w ciemność. Wiem, gdzie jestem. Nie potrzebuję mapy ani nawet światła. Liczę kroki tak, jak kiedyś liczyłam kafelki na podłodze.

– Nie chcę już słuchać tych bzdur. Masz tutaj zejść, żebyśmy mogli zrealizować nasz układ. Powinam cię ostrzec, że odkąd omal nie spuściłaś mi żurawia na głowę, nie wiem, czy jeszcze się zdobędę na taką wielkoduszność jak wcześniej. Zapomnij o tych pięciominutowych forach. Zablokowałam wszystkie wyjścia. Przynies mi te dane. Natychmiast.

– A co dostanę w zamian?

– Ty nie dostaniesz nic, ale zachowam przy życiu twojego przyjaciela.

– Masz na myśli *swojego syna*?

Jej odpowiedź poprzedza długie milczenie.

– Nie twoja sprawa, czy to mój syn, czy nie.

– Nie mam tych danych – mówię spokojnie takim tonem, jakim tłumaczyłabym komuś, że skończyła się już zupa dnia. – Nic nie poradzę.

– Twój przyjaciel twierdzi, że masz.

Już chcę znów zaprzeczyć, ale przypadkiem kładę dłoń na przedniej kieszeni kurtki i wzdycham ciężko. Ten chłopak i jego prestidigitatorskie sztuczki.

– Wygląda na to, że on ma rację.

– No to się pośpiesz. Jeśli się szybko tutaj nie zjawisz, wyślę kilku ludzi, żeby cię przyprowadzili.

– Rozumiem. No cóż, w takim razie chciałabym przeprosić – mówię.

– Och, za co?

– Idę po ciebie, ale jeśli będę musiała najpierw rozprawić się z twoimi żołnierzami, mogę się trochę spóźnić.

Wyrzucam radio przez najbliższe otwarte okno i zbiegam na dół, żeby zgromadzić trochę potrzebnych materiałów.

Rozdział 38.

Zbieram teraz owoce nieznośnej nudy mojej wcześniejszej egzystencji. Wszystkie te dni wypełnione liczeniem kafelków na podłodze i klamek w drzwiach, całe to dochodzenie, które drzwi prowadzą do magazynku, a które do składziku z pościelą. Mam przewagę, bo gram na własnym boisku. Ci żołnierze stają dziś na *mojej* murawie.

Znów nie ma prądu w całym budynku, ale nie ma to już znaczenia. Wiem, jak się tu poruszać. Zakładam czołówkę Thomasa. Nie po to, by oświetlała mi drogę, bo bateria jest prawie wyczerpana, ale chyba na szczęście.

Zmierzam w kierunku wschodniej strony piętra, do sal zabiegowych. Zatrzymuję się przy szafce z zaopatrzeniem medycznym i przypominam sobie, że najpierw muszę nastawić wybity bark. To bolesna perspektywa, ale udaje mi się to zrobić. Kiedyś wspinałam się na ogrodzenie i spadłam. Pielęgniarka w przychodni nastawiła mi ramię. A potem do mnie mrugnęła. Myślę, że wiedziała, kim jestem.

Znajduję rozmaite użyteczne rzeczy – stetoskop, rurki chirurgiczne, taśmę – i wykorzystuję to wszystko, by zrobić sobie procę. Jestem gotowa.

Prędkość jest moim atutem – nie tyle właściwie sama prędkość, ile niezakłócona płynność ruchów. Nie muszę przystawać, zastanawiać się i znów ruszać. Mam wrażenie, że albo ja przyspieszyłam, albo otaczający mnie świat zwolnił. Niezależnie od tego, jak faktycznie jest, moje myśli i moje działania zawierają się w pewnych, szybkich ruchach. Usłyszawszy kroki na prowadzących w górę schodach, zwałam wszystkie możliwe koce i poduszki na nosze na kółkach, które ustawiam przed drzwiami klatki schodowej. Nie zatrzyma to oczywiście żołnierzy, ale nie to próbuję osiągnąć. Chcę im tylko zasłonić widok, kiedy otworzą drzwi przeciwpożarowe.

Wskakuję na kontuar w dyżurce pielęgniarek i kładę sobie procę na kolanach, zwieszając nogi tak, jakbym siedziała na szczycie kościelnej wieży. Żołnierze dotarli już do drzwi i za chwilę odkryją, że zbroje, które noszą, mogą być czasem sporym minusem.

Słyszę przekręcanie klamki i zaczynam ugniatać w dłoni kleisty ładunek. Zakładam go na procę i wypuszczam. Trafiam prosto w pierś pierwszego żołnierza, który odsuwa właśnie na bok stertę koców. Strzelam drugim ładunkiem, tym razem trafiając go w udo. Patrzy na dół i uświadamia sobie, co się do niego przyklepiło. Próbuje zduścić jaskrawobiałe płomienie, strącić je z siebie, ale wie, że to nic nie da. Cofa się o krok, blokując stojącego za nim człowieka, i rzuca karabin na podłogę. Jeśli będzie wystarczająco szybki, zdąży zdjąć z siebie zbroję, zanim kit przepali mu skórę, lecz będzie przy tym na tyle zajęty, że nie będzie przeszkadzał, gdy zajmę się jego kolegą.

Przerzucam nogi przez kontuar i zeskakuję na podłogę, kiedy do pomieszczenia wpada drugi żołnierz. Zostały mi tylko dwie miny, a dla tej ostatniej mam już przeznaczenie. On musi za mną pójść. Jak można się było spodziewać, ostrzeliwuje dyżurkę pielęgniarek gradem pocisków, ale ja jestem już prawie za giem.

Początkowo mnie nie widzi, więc staję, macham i wołam:

– Hej, ty tam!

Celuje, a ja biegnę korytarzem i wpadam do gabinetu zabiegowego, przez moment przytrzymując otwarte drzwi stopą, by się upewnić, że wie, dokąd pobiegłam.

Kilka sekund później kopnięciem otwiera drzwi. I oto stoję na środku pustego pomieszczenia, w ogóle się nie kryjąc. Podnoszę ręce do góry. Schwytał mnie.

– Ręce za głowę – mówi.

Robię, co każe.

Chyba mówi po angielsku, bo wyszczekuje rozkazy, nie używając tłumacza.

Po dwóch krokach zatacza się niezgrabnie na lewo. Potrząsa głową. Wygląda, jakby miał zawroty. Przekrzywiam głowę, jakbym była zaniepokojona i zastanawiała się, czy nie potrzebuje pomocy. Idzie naprzód, ale z każdym krokiem jest mu coraz ciężej.

Nie zauważył tego, ale odkąd wszłam do pomieszczenia, wstrzymuję oddech. Nie muszę oddychać. Tak jakbym przerwała na moment wszystkie funkcje życiowe z wyjątkiem bicia serca. Pozwalam mu bić. Raz. Dwa. Tylko tyle, by krew nie przestała płynąć w żyłach. Tylko tyle.

Chwieje się, trzepocze powiekami i upada.

Staję nad nim i zastanawiam się, czy nie wziąć jego karabinu. Do tej pory radziłam sobie doskonale bez broni palnej, ale mimo wszystko decyduję się go wziąć. Dobrze jest mieć jakąś dodatkową opcję w zanadrzu.

Przed wyjściem zamykam dysze wysokiego zbiornika z gazem znieczulającym. Biorę wdech dopiero wtedy, gdy jestem już daleko od gabinetu.

Jeśli słowa umierającego żołnierza z szóstego piętra są prawdą, to Hodges zostali tylko dwaj żołnierze. Rola 8-Bita w tym wszystkim pozostaje niejasna. Nie mam pojęcia, czy pomaga Hodges, czy nie, ale muszę założyć, że tak.

W korytarzu słyszę pokrzykiwania mężczyzn. Przypadam do podłogi, trzymając się znacznie poniżej szklanego przepierzenia oddzielającego korytarz od pokoju wypoczynkowego. Wiem, że okna pokoju wypoczynkowego wychodzą na południe. Tego właśnie chcę. Na końcu tego korytarza znajduje się druga szafka z zaopatrzeniem medycznym. Mój ostatni ładunek załatwia sprawę zamka. W środku znajdują kilka zbiorników z tlenem. Przechylam je na bok i nogą jeden po drugim turlam do holu. Toczą się hałaśliwie po podłodze i wpadając na siebie, zatrzymują się pod ścianą nieopodal pokoju wypoczynkowego.

Muszę się dostać w pobliże tego szeregu zewnętrznych okien. Drzwi do pokoju wypoczynkowego są zamknięte. Zawsze są. Pielęgniarki otwierały je, wpuszczały nas do środka, po czym zamykały z powrotem po naszym wyjściu. To jednak nie będzie problemem, zwłaszcza że ściana jest zrobiona ze szkła, a ja mam karabin.

Widzę, że okna zewnętrzne są popękane, lecz nie wypadły z ram. Strzelam w ścianę, która się roztrzaskuje na kawałki. Strzelam ponownie, tym razem w okna. Żołnierze są już blisko. Upuszczam karabin, biorę rozbieg i szczupakiem wpadam przez strzaskaną szklaną ścianę do pokoju wypoczynkowego. Przetaczam się po podłodze i wstaję.

W chwili, w której pojawiają się żołnierze, rzucam na korytarz jedną z dwóch pozostałych min. Żołnierze unoszą karabiny, by mnie zastrzelić. Odchrząkuję i celuję. A potem obserwuję ich twarze, gdy patrzą w dół i dociera do nich, że mogą albo mnie zastrzelić, albo ocalić własne życie.

Wychodzę przez okno i przez chwilę utrzymuję równowagę na wąskiej półce, a potem skaczę. Nie mam pojęcia, co ostatecznie postanowili. Jedyne, co słyszę, to naprawdę duże bum.

Rozdział 39.

Spadam dwa czy trzy metry, po czym sięgam ku treliżowi na ścianie budynku. Zaciskam dłoń i krzyk wyrywa mi się z ust. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy z tego, że te śliczne, furkoczące na wietrze kawałki folii są ostre jak brzytwy. Kiedy czepiam się treliżu, obracają się na wietrze jak tysiące miedzianych pił tarczowych. Z łatwością przecinają materiał moich spodni, a kiedy próbuję je chwycić, tną mi wewnątrz dłoni do krwi.

Muszę załadować procę, co oznacza, że na chwilę muszę się puścić i oprzeć o obracające się ostrza, by nie spaść. Próbując wydobyć z kieszeni ostatnią minę, za bardzo przysuwam się do ściany i ostrza zacinają mnie w koniuszek nosa i policzek.

Pięćdziesiąt metrów dalej dostrzegam helikopter. Nie pokrywa go warstwa śniegu. Pewnie jest ogrzewany.

Muszę wykonać naprawdę daleki strzał. Jeśli wyślę minę łukiem do góry, być może wyląduje na tyle blisko helikoptera, by siła przyciągania magnetycznego dokonała reszty. Będę musiała wystrzelić minę natychmiast po jej przekręceniu, inaczej wybuchnie w powietrzu. Nie mam złudzeń. Szanse powodzenia są niewielkie, ale nie chcę, by Hodges uciekła, zanim skorzystam ze sposobności, by ją zabić.

Kiedy przygotowuję się do strzału, dociera do mnie, że nie ma sposobu, żebym mogła się trzymać i jednocześnie na tyle mocno naciągnąć procę, by mina doleciała do lądowiska. Żeby wystrzelić z procy, będę musiała się puścić. A kiedy już się puszcę, nie zdołam się z powrotem chwycić. Ten strzał będzie wycieczką w jedną stronę.

Nie mogę marnować więcej czasu na rozmyślania. Opieram się o treliż i czuję, jak folia wbija mi się w plecy i nogi w tysiącu miejsc, ale ignoruję ból. Przekręcam minę i szybko kładę ją na procy. Już mam puścić się treliżu, gdy słyszę daleki strzał i czuję, że coś uderza mnie w bok. Upuszczam procę, a mina szybuje w kierunku metalowego treliżu i przywiera do niego.

Ziemia zbliża się w oszalamiającym tempie. Ostatnia myśl jest taka, że w miarę możliwości powinnam się obrócić. Mina wybuchła. Czuję wbijające się we mnie odłamki metalu. Z wysiłkiem opuszczam głowę i robię salto w powietrzu. Jeśli wyląduje płasko na plecach, być może uda mi się przeżyć ten upadek.

Zakładając, że nie będę martwa, zanim uderzę w ziemię.

Nie mogę stracić przytomności. Moje ciało jest bezwładne, gdy wciągają mnie po schodach i z powrotem do holu. Jestem niemal pewna, że prawe płuco mi się zapadło. Mam wrażenie, jakby w ogóle go tam nie było, jakby było bezużyteczne.

Mówią, że gdy umierasz, całe życie przelatuje ci przed oczami. W moim przypadku jakoś tak się nie dzieje. Może dlatego, że niewiele jest do wspomnienia, a może dlatego, że nie pozwalam sobie na przywoływanie wspomnień. Wspominanie teraz nie na wiele się zda – w przeciwieństwie do myślenia o tym, co dzieje się tu i teraz.

Spowolniłam swój puls i chociaż mogę go z powrotem przyspieszyć, wykrwawić się i opuścić ten padół, nie zrobię tego.

Za bardzo jestem wściekła, żeby teraz umierać.

Żołnierze ciągną mnie po tonącym w gruzie holu. Uchylam odrobinę powieki – tylko tyle, by się zorientować, dokąd mnie zabierają. Do gabinetu dyrektora.

Kładą mnie jak trofeum na podłodze u stóp Hodges, tuż obok fotela biurowego, do którego przywiązany jest 8-Bit. Przez uchylone powieki widać mi jedynie najcieńszy pasek źrenicy. Uznaję, że dzięki temu sprawiam wrażenie jeszcze bardziej martwej.

Dolna warga 8-Bita wygląda jak ugotowana kiełbaska, na której pękła osłonka. Nozdrza

oblepia mu zaschnięta krew. Jest wysoki jak jego syn, właściwie składa się głównie z nóg. Siwieje na skroniach, a jego oczy mają ten sam ciemnobrązowy kolor co oczy Thomasa.

– Czy ona nie żyje? – pyta Hodges.

– Tak – odpowiada mechaniczny głos.

– Jesteś pewien? Już wcześniej udawała. Sprawdź dokładnie.

Żołnierz kładzie dłoń nad moimi ustami i zaciska mi nos, odcinając mi dopływ powietrza na prawie minutę. Nie reaguję. Hodges wydaje się usatysfakcjonowana.

– Jak to się stało?

– Wspiwała się po ścianie budynku, kiedy ją ustrzeliliśmy. Spadła z wysokości około dwunastu metrów.

Hodges wybucha śmiechem.

– Upadły anioł. Bardzo mi się to podoba! – Przerywa raptownie świętowanie. – Czy można przeżyć upadek z dwunastu metrów?

– A skąd mam wiedzieć? – mówi 8-Bit. – Zapytaj kogoś z personelu medycznego. Ach, czekaj, nie możesz. Bo ich wszystkich wystrzelałaś.

Hodges nie podchodzi do mnie. Każe jednemu z żołnierzy odpiąć kurtkę, którą mam na sobie. Kurtkę Thomasa. Żołnierz odwraca mnie na jedną i na drugą stronę, przetrząsając mi kieszenie. Kiedy przewracam się na bok, widzę leżącego obok na kanapie Thomasa. Skórę ma wilgotną, włosy sklezione potem. Oddycha szybko i urywanie, ale nadal żyje.

Czuję dłoń żołnierza sięgającą do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyjmuje pendrive.

– Znalazłem.

Hodges wciąż ma na sobie płaszcz, ale się trzęsie. Włosy ma trochę przetłuszczone i rozczochrane. Najwyraźniej nie planowała tak długiego tutaj pobytu. Siada ciężko na szezlongu stojącym obok biurka doktora Buckleya. Trzyma coś na kolanach. Coś ciężkiego i połyskującego. To kryształowa misa podobna do tej, którą widziałam w recepcji skrzydła południowego, z wytrawionymi inicjałami E.C.

Stawia ją na biurku z takim impetem, że wydaje się niemożliwe, by jej nie rozbiła.

– Au. Co się dzieje, Ev? – pyta 8-Bit.

– Szczerze mówiąc, jestem nieco rozczarowana.

– Sądziłem, że cały ten czas polowałaś właśnie na tę dziewczynę. A teraz została zabita z zimną krwią, na twój rozkaz. To z jej powodu zgładziłaś całą masę niewinnych ludzi. Sądziłem, że będzie to dla ciebie chwila triumfu.

– Och, zamknij się, Davidzie. Jestem rozczarowana, bo miałam zamiar postawić tę misę z tabletką na podłodze i kazać jej się czołgać ku niej jak psu, zanim poprosiłabym jednego z tych miłych panów, by ją zastrzelili.

– To dość tandetny chwyt, nie sądzisz? Lekka przesada, powiedziałbym.

– Nie doceniasz fantazji i elegancji całej tej operacji.

8-Bit stara się zaśmiać, ale wydaje z siebie tylko świszczący kaszel.

– Zmieniłaś się, Ev.

– Owszem. Dlatego ja rozdaję tutaj karty, a ty jesteś przywiązany do krzesła. – Obraca 8-Bita, jakby z nim tańczyła. – I nie bądź taki kategoryczny w swoich sądach. Ta dziewczyna zasłużyła sobie na taki los.

8-Bit patrzy na moje ciało i wzdycha.

– Wątpię.

Hodges macha mu przed nosem pendrive'em.

– Przynajmniej będę mogła powiedzieć panu Claymore'owi, że mimo niefortunnnych wypadków dzisiejszego dnia byliśmy w stanie odzyskać badania Wilsona. Wszystkie dane

wskazujące na to, że nowe procedury wyglądają obiecująco.

– Cudownie. Niesamowita robota, Ev.

– Zostaje tylko jedna rzecz.

– Co takiego?

– Będę potrzebowała hasła, oczywiście.

– Thomas ustawiał hasło, a jak widzisz, w obecnym stanie raczej nam go nie zdradzi.

Hodges podchodzi do kanapy i patrzy na leżącego na niej Thomasa. Krzyżuje ręce na piersiach, fuka z irytacją i nagle się odwraca.

– Więc je złam. Po to cię zatrudniłam.

– Nie.

Pochyliła się i syczy mu prosto w twarz:

– Złam. Je.

– Chyba powinnaś była zatrudnić kogoś, komu mniej kłopotów sprawia wypełnianie rozkazów.

– Wierz mi, gdybym wiedziała, że cię zatrudniam, oszczędziłabym sobie kłopotów i od razu cię zastrzeliła.

8-Bit wydaje z siebie zmęczony, gorzki śmiech i zwiesza głowę.

– Nie przypominam sobie u ciebie takiej determinacji, Davidzie. Z tego, co pamiętam, byłeś niechlujny i leniwy. A jednak udało ci się opracować plan wyrównania rachunków między nami. Nie podejrzewałam, że jesteś do tego zdolny.

– No cóż, byłaś moją żoną. I pozwoliłaś mi gnić w jakimś zagranicznym więzieniu.

A kiedy już powiadomiłaś mnie, że mam syna, nie pozwoliłaś mi go zobaczyć. Nie wspominając już o tym, że *oddalałaś go do adopcji po tym, jak doprowadziłaś do oficjalnego uznania mnie za zmarłego*. Myślę, że wszystkim, czego w gruncie rzeczy potrzebowałem, była właściwa motywacja.

Hodges pstryka palcami w kierunku Thomasa.

– Czy właśnie dlatego go tutaj przyprowadziłaś? Myślałaś, że na niego spojrzę i zmięknię?

– Uznałem po prostu, że powinnaś go zobaczyć.

– To było podłe – mówi Hodges i wymierza 8-Bitowi policzek.

– A zatem jesteśmy kwita.

– Zdecydowanie nie jesteśmy kwita. Nie zdecydowałam jeszcze, co mogłoby to oznaczać w twoim przypadku. Może coś podobnego do tego, co zrobiłam temu tutaj aniołowi. – Trąca mnie czubkiem buta. – W ten właśnie sposób traktuję ludzi, którzy sprawiają mi kłopoty.

Thomas jęczy i się wierci. Widzę, jak zgina i prostuje palce, jakby próbował coś złapać. Wszystko, co mogę zrobić, to nie wyciągać ręki i nie dotykać jego dłoni, choć chciałabym dać mu znać, że żyję.

– Słuchaj, zrób ze mną, co chcesz, ale pozwól odejść Thomasowi – mówi 8-Bit. –

W końcu kiedyś już raz to zrobiłaś.

Hodges krąży po gabinecie, obracając swoje bransoletki. Kilkakrotnie zerka na Thomasa, jakby nie mogła się powstrzymać. Zatrzymuje się i wymierza palec w twarz 8-Bita.

– To nie było łatwe, miej tego świadomość! Zrobiłam to, bo nie miałam innego wyjścia.

Nie byłam gotowa zostać samotną matką po tym, jak mnie porzuciłeś!

– Zostałem schwytyany i wtrącony do więzienia. Tylko ty mogłabyś to uznać za porzucenie.

Hodges opiera dłonie na biodrach i wzdycha.

– Nie mam czasu na odgrzebywanie przeszłości, Davidzie. Naprawdę.

– To powinnaś go znaleźć. Los zetknął nas ponownie z jakiegoś powodu.

– Nie, to nie los nas zetknął. To ty mnie znalazłeś. Wmanewrowałeś mnie w zlecenie ci tej roboty.

– Nie wmanewrowałem cię. Szukałaś najlepszego, a tak się składa, że to właśnie ja. Wziąłem twoje pieniądze i umieściłem je w bezpiecznym miejscu. A to całkiem spora suma. Od naszego ostatniego spotkania nieźle się wybiłaś.

– Wybiłam się. I zamierzam się utrzymać. Wykonałam swoje zadanie. Co więcej, wykonałam je *idealnie* i zostanę za to odpowiednio wynagrodzona. Muszę tylko załatwić tę ostatnią sprawę.

Hodges staje nade mną i obraca mi głowę w prawo i w lewo swoim wysokim obcasem. Rozluźniam szyję, by moja „śmierć” była bardziej przekonująca. Miałam nadzieję, że nadarzy się taka okazja: pozwalam dłoni opaść na podłogę i prostuję palec wskazujący.

Jeden.

Włączony.

Żyję.

Mam nadzieję, że 8-Bit to widzi. Mam nadzieję, że rozumie. Potrzebuję tylko odrobinę więcej czasu, by wymyślić, co zrobić.

Wchodzi najemnik i rozprasza na moment uwagę Hodges, mówiąc coś o odlodzeniu helikoptera i jego rychłej gotowości do odlotu. Hodges go zwalnia, idzie z powrotem przez pokój i siada na biurku Buckleya.

8-Bit odchrząkuje i pyta:

– Co się dzieje?

– Nic, co powinno cię interesować.

Czuje, jak 8-Bit naciska stopą moją dłoń. Stawiam lekki opór z nadzieją, że to poczuje. Zrozumiem, że jeszcze się nie poddałam.

– Ev, powiedz mi. Muszę to wiedzieć.

– Co mam ci powiedzieć?

– Dlaczego się uwzięłaś na tę dziewczynę? – pyta 8-Bit, wskazując mnie ruchem głowy.

– Ta *dziewczyna* jest córką mojego narzeczonego.

– Narzeczonego? Jesteś zaręczona z Erskine'em Claymore'em? Przecież to starzec. – Słowa 8-Bita są wiernym odbiciem moich myśli.

– Nie sądz, że bym za niego nie wyszła, bo owszem, wyszłabym. Ale nie. Jestem zaręczona z Virgilem.

– Z Virgilem? Jak on może być jej ojcem? Sądziłem, że cierpi na stwardnienie zanikowe boczne czy coś takiego. Czy on nie jest od wielu lat obłożnie chory?

– Owszem. I to bardzo szlachetnie z mojej strony, że staram się nie zwracać uwagi na wszystkie te okoliczności ze względu na jego *dobre serce*. Swoją drogą, nigdy nie zrozumiem, dlaczego ludzie zwracają sobie głowę uprzejmością. Nie ma w niej nic, co czyniłoby ją godną polecenia.

Czuje, jak 8-Bit ponownie trąca moje palce butem.

– No dobra, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego musiałaś usunąć ją z drogi. Mogłaś poślubić jej ojca, nie zabijając jej. I pozwól, że to powiem: byłby z ciebie niezły kawał złej macochy.

Hodges piorunuje go wzrokiem i zgrzyta zębami. Przez moment wydaje mi się, że posunął się za daleko.

– Dlaczego cię to tak ciekawi? – pyta Hodges.

– Wcale nie. – 8-Bit chłodno wzrusza ramionami i prycha. – Wszystko jedno. Nie chcesz, to nie mów.

Kobieta przez chwilę się nie odzywa, po czym mówi:

– Owszem, Davidzie, powiem ci. Bo ty jeden możesz w gruncie rzeczy zrozumieć i docenić strategię, której wymagała ta operacja.

Hodges mija mnie, kopniakiem usuwając moją głowę ze swej drogi.

– Virgil i matka *tego czegoś* – odwraca się i wbija mi obcas w spód dłoni – dawno temu mieli romans. Trzeba Blance oddać sprawiedliwość, że szybko się zorientowała, że jest żalonym, pazernym śmieciem z nizin społecznych, i kiedy się dowiedziała, że jest w ciąży, wycofała się z życia Virgila, prosząc tylko o co? O odrobinę pieniędzy na edukację dziewczyny. Jakie to niewiarygodnie przewidywalne. – Podchodzi do jednego z żołnierzy i odsuwa mu od twarzy urządzenie tłumaczące mowę. – Udało mi się dowiedzieć tego wszystkiego dzięki temu.

– Urządzeniu tłumaczącemu i syntezującemu mowę?

– Tak. Claymore'owie mają smutną historię rodzinną. Mieli czwórkę dzieci. Każde z nich w taki czy inny sposób spotkał marny los. Wypadek na żaglach. Starsza córka uduszona przez swojego chłopaka. Młodsza wjechała do garażu, nie zgasiła silnika i zasnęła za kierownicą... W ten sposób Virgil został jedynym spadkobiercą Claymore'ów. Próbował zerwać kontakty z resztą rodziny. Czy możesz uwierzyć, że w pewnym momencie zrzekł się spadku? Kto postępuje w ten sposób? Był niewiarygodnie dobrym człowiekiem. Nadal jest. W każdym razie kiedy u Virgila zdiagnozowano stwardnienie zanikowe boczne, jego ojciec nabrał głębokiego przekonania, że rodzina jest przeklęta.

– Ale co z tym wszystkim ma wspólnego syntezator głosu?

– To konkretne zastosowanie technologii wojskowej pozwoliło Virgilowi odzyskać głos. Jego ojciec zainwestował ładną sumkę w prace nad urządzeniem, które jest w stanie przetransponować wzorce fal mózgowych Virgila na zrozumiałą mowę. Początkowo były to tylko proste zbitki wyrazowe, które z czasem przybrały postać złożonych myśli i wyrażeń. Po dziesięciu latach braku możliwości komunikowania się ze światem Virgil nagle znów mógł mówić. I w tym momencie wkroczyła ja. Właśnie zostałam zatrudniona jako lojalna asystentka pana Claymore'a. Virgil, chociaż mógł mówić, nie rozmawiał ze swoim ojcem. Nienawidził go. Uznałam, że moja pozycja się wzmocni, jeśli uda mi się zaprowadzić pokój między ojcem i synem. Erskine Claymore byłby mi wdzięczny, a ja stałabym się dla niego jeszcze bardziej niezastąpiona. Zaczęłam więc zaprzyjaźniać się z Virgilem. Przesiadywałam z nim, od czasu do czasu coś mu czytałam. Całe wieki zabrało mi zdobycie jego zaufania, ale w końcu się udało.

– Z pewnością wykorzystywałaś ten swój południowy urok.

– Dobrze zgadłeś, kotku – mówi, eksponując swój akcent w całej okazałości.

– A więc Virgil ci ufa. I co ci to daje?

– Nic, jak się okazuje. Virgil odmawia pogodzenia się z ojcem. W międzyczasie Erskine nabiera przekonania, że znajdzie lekarstwo dla syna i że Virgil przejmie jego imperium, chociaż wszyscy lekarze bez wyjątku mówią mu, że to nie ma prawa się zdarzyć. Nie dał im wiary i zaczął inwestować we wszystkie badania dające choćby cień szansy na wyleczenie syna, niezależnie od tego, jak byłyby kontrowersyjne etycznie. – Hodges rozkłada ręce i rozgląda się po gabinecie doktora Buckleya. – Na przykład takie.

– Ale...

– Pozwól mi skończyć. Widzisz, pewnego dnia Virgil, uznając mnie za zaufanego powiernika, opowiedział mi o Blance i jej... ich córce, błagając mnie, żebym je obie odnalazła. Powiedział, że popełnił koszmarny błąd. Nie powinien był pozwolić jej odejść. Myślał o niej codziennie, niezdolny wyrazić swoich uczuć słowami, i to go zjadało. Zrobiłam więc to, o co prosił. Znalazłam ją, udając dobrą emisariuszkę, której leży na sercu tylko powtórne zejście się tych przeklętych przez los kochanków. Powiedziałam jej, że Virgil nie przestał o niej myśleć

i nadal ją kocha. Była bardzo podekscytowana. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że moja pozycja pozwoli mi czerpać w przyszłości znaczne profity. Oto ja, zaufana asystentka bardzo bogatego człowieka, którego jedyny spadkobierca prawdopodobnie umrze młodo. Pomyśl, jakie to stwarza możliwości. No, w każdym razie ja o nich myślałam. Często.

– Mogę się domyślić, do czego zmierzasz – mówi 8-Bit.

– Tak. Dokładnie. Świeżo odnaleziona wnuczka krzyżowała mi wszystkie plany. Nie mogłam do tego dopuścić. Powiedziałam więc Blance, że jest pewien mały problem. Wiedziała, że Virgil nigdy nie chciał, by dziewczyna zetknęła się z rodziną Claymore'ów. Myślę, że był głęboko przekonany, że Claymore'owie są przekłeci, a ich pieniądze ściągnęły na nich wyłącznie nieszczęście. Powiedziałam jej, że ojciec Virgila, Erskine, również nie byłby zachwycony jej nagłym pojawieniem się. Założyłby naturalnie, że interesują ją tylko pieniądze Virgila. I oczywiście, chociaż każdy król chce mieć następcę, nie oznacza to, że chce, by była nim córka pokojówki.

I właśnie w tej chwili oczyma duszy widzę piękną twarz mojej matki. Nie ma już białej pustki. Widzę jej śmiejące się brązowe oczy. Przypominam sobie sposób, w jaki na mnie patrzyła. Taka dumna. Taka dumna, że jestem jej aniołem.

Wzbiera we mnie gniew. Z trudem go powstrzymuję, ale jednak się udaje. Robię to dla mojej matki.

– I co się stało? – pyta 8-Bit, a jego zdławiony głos pobrzmiwa mieszaniną wstrętu i uznania.

– A stało się to, że zadałam Blance przesadzające o jej losie pytanie. Zapytałam ją, czy jej córka wie, kim jest jej ojciec. I wiesz, co mi odpowiedziała? Że nie. Dziewczyna nie miała o niczym pojęcia. No cóż, właśnie w tamtej chwili Blanca przypieczętowała swój los.

8-Bit przekrzywia głowę i mruży oczy, a Hodges kontynuuje:

– Nie uwierzysz, ale tuż przed ponownym spotkaniem z utraconą miłością, ojcem jej jedyne dziecko, została śmiertelnie potrącona przez kierowcę, który zbiegł z miejsca wypadku. Tragiczne, doprawdy. Jak... no nie wiem... z greckiej tragedii. Musiałam wrócić do Virgila i powiedzieć mu, że Blanca nie żyje i nie jestem w stanie odnaleźć jej dziecka. Był zdruzgotany. Ale wiesz, należą mi się wyrazy uznania, bo dziewczynie nic nie zrobiłam. Nic. Mogłam jej coś zrobić, a jednak nie zrobiłam. Nie było potrzeby. Po śmierci Blanki dziewczyna zniknęłaby w systemie opieki zastępczej, co kończyłoby sprawę. Nie mogłaby rościć sobie praw do fortuny Claymore'ów, bo nie miałyby pojęcia, że jest jedną z nich.

– A jednak tu jest – mówi 8-Bit.

– Tak. A ile przy tym sprawiła kłopotów!

– Bo się dowiedziała.

– Tak. Nie mam pojęcia jak. Trudno byłoby wybrać gorszy moment. Właśnie wtedy, gdy planowałam już wesele... A tak przy okazji, Davidzie, ślub będzie w przyszłym miesiącu, ale z przykrością cię informuję, że nie zmieścisz się już na liście gości.

– Na pewno będziesz piękną panną młodą. Chociaż mam nadzieję, że nie zamierzasz pojawić się w bieli.

– Prawdę mówiąc, owszem, zamierzam. O czym to mówiliśmy?

8-Bit pociera butem mój palec.

– Miałś mi właśnie opowiedzieć, co zrobiła ta dziewczyna, że ci wszystko popsuła.

– Ach, słusznie. A więc przeglądam ofertę pałaców weselnych i podejmuję właśnie decyzję, czy podać gościom koreczki, czy minitarty, i nagle się dowiaduję, że ktoś robi naloty na kolejne budowy pana Claymore'a. Plotka głosi, że stoi za tym jakaś nastolatka. Media robią z niej gwiazdę. A ja wiedziałam! *Wiedziałam*, że moja litość była błędem. Gdybym zdołała ją

schwytać, zanim zrobiła to policja, całego tego zamieszania można byłoby uniknąć. Ale złapali ją. A ona im powiedziała, kto jest jej domniemanym ojcem. Nie wiedzieli, co zrobić z tą informacją, więc zadzwonili do mnie, żeby sprawdzić, czy jej twierdzenia mają jakiegokolwiek podstawy. Niestety, Virgil usłyszał przypadkowo moją rozmowę na jej temat z policją. Powiedziałam mu, że chciałam mu oszczędzić bólu oglądania jej. Dziewczyna zeszła na złą drogę, była zwykłą przestępczynią. Powiedziałam mu jednak, że być może zasługuje na drugą szansę, wolna od pieniędzy Claymore'ów i cięższej nad nimi klątwy. Zgodził się wysłać ją tutaj, do ośrodka. Dla wszystkich było to idealne rozwiązanie.

– Rozumiem – mówi 8-Bit.

– Tak, ale dalej jest jeszcze lepiej. Widzisz, ojciec Virgila zainwestował znaczne pieniądze w badania Wilsona i wiedział, że projekt jest zagrożony. I właśnie w tym miejscu wszystko się perfekcyjnie spina.

– W którym miejscu?

– Wilsona dzieliły dosłownie dni od dokonania przełomowego odkrycia, a rząd lada dzień miał ostatecznie zamknąć cały ten ośrodek. Trudno byłoby wymarzyć sobie lepszą sytuację.

– Dlaczego?

– Bo rząd odzęgałby się od projektu Velocius i przestał nim interesować, a Wilson, bez męczących etycznych ograniczeń i nadzoru państwa, mógłby posunąć prace naprzód. Gdyby zostały uwieńczone sukcesem, wszystkie wyniki badań, za które zapłaciło głównie wojsko, przypadłyby w udziale Claymore Industries, w efekcie czego moglibyśmy swobodnie rozwijać tę technologię na potrzeby sektora prywatnego. W dowolnie wybrany sposób.

– A Claymore Industries najwyraźniej takie właśnie miało plany.

– W rzeczy samej. Kto nie chciałby myśleć dziesięć razy szybciej? Który przedsiębiorca czy dyrektor zarządzający nie chciałby skosztować tej technologii?

– A zatem sprzedasz im po prostu te możliwości? Każdemu, kto będzie chciał?

– Nie mnie oceniać, kto ma prawo do tego czy innego kawałka informacji. My musimy tylko wiedzieć, kto ma pieniądze, żeby za nią zapłacić. Powiedzmy sobie szczerze: całe te badania to miecz obosieczny. Można je wykorzystać do czynienia dobra albo wyrządzenia wielkiego zła. Zależnie od tego, kto trzyma miecz. A teraz akurat trzymam go ja.

8-Bit spuszcza wzrok na mnie, a potem przenosi go na Thomasa, który teraz jęczy, jakby próbował coś powiedzieć.

– Ev. Dziewczyna. Pytałem o dziewczynę.

– Cierpliwości, cierpliwości. Już do tego dochodzę. Wilson powiedział mi, że potrzebuje nieuszkodzonego mózgu, by przetestować procedurę. Nie tych wyrzutków i młodocianych przestępców, których próbowaliśmy ponaprawiać. Przez chwilę mu się wydawało, że wystarczy, by pacjenci byli po prostu młodzi, ale okazało się, że to za mało. Widzisz, ironia polega na tym, że ta procedura działa znakomicie... tylko nie w przypadku ludzi, dla których została zaprojektowana. Jeśli rzeczywiście cierpisz na zespół stresu pourazowego, terapia okazuje się katastrofą. Wilson musiał tylko przez chwilę utrzymać obecność dziewczyny w ośrodku w tajemnicy. Na tyle długo, by rząd oficjalnie zerwał kontrakt i się wycofał. Potem mógł już posłużyć się nią, by się dowiedzieć, czy jego teorie są prawidłowe. Okazało się, że są.

– A zatem była waszym pierwszym sukcesem.

– Tak. Wilson chciał zachować ją przy życiu w celu dalszego prowadzenia badań, ale powiedziałam mu, że albo ona umrze, albo jego kariera. Banalnie proste. Miało dojść do małego wypadku podczas zabiegu chirurgicznego. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, ten cały raczej dość drogi nalot nie byłby wcale konieczny.

– A co poszło nie tak?

– Asystent Wilsona. – Hodges każde słowo akcentuje teraz uderzeniem w biurko. – On. To. Wszystko. Zniszczył!

Larry!

– Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie nieustannie próbują jej pomóc. Popatrz na nią. Jest chudym, żalonym, brzydkim stworzeniem, niemającym więcej wdzięku niż ta jej mułowata matka.

Mam wrażenie, że zaraz eksploduję niczym ładunek wybuchowy, ale jeszcze nie czas. Jeszcze nie.

– Muszę teraz szybko pomyśleć i posprzątać ten cały bałagan. Uznałam, że najlepiej będzie zrównać to miejsce z ziemią. Zatrzaszczyć się, żeby wszystko wyglądało tak, jakby to służby jakiegoś innego kraju zdecydowały się zniszczyć ten ośrodek. A żeby wyglądało to przekonująco, nie mogliśmy jej tak po prostu zabić. Zwróciłoby to uwagę. Nie, musieliśmy zabić wszystkich.

– Pozbędziesz się więc dziewczyny, zachowasz wszystkie dane dotyczące wielomiliardowego projektu badawczego i ożenisz się z miliardami Claymore'ów – podsumowuje 8-Bit. – Wypracowałaś niezłą dniówkę.

– Dziękuję ci! – mówi Hodges. – Wiem, że nie powiedziałbyś tego, gdybyś naprawdę tak nie myślał. Zbyt dużo tutaj zainwestowałam. – Podchodzi do mnie i słyszę szelest jej spódnicy i pobrzękiwanie jej bransoletek. – A zatem ta mała jest martwa, doskonale. Chociaż biorąc pod uwagę wszystkie kłopoty, jakich mi przysporzyła, miałam nadzieję na bardziej spektakularny wycisk. Ale chyba nasze nadzieje rzadko idealnie się spełniają.

Grzebie przez chwilę w torebce i wyciąga szczotkę do włosów.

– Jeśli mi wybaczysz, muszę się teraz odrobinę odświeżyć. Spieszę się na samolot.

– A zatem nigdy nie uregulujemy spraw między nami, prawda? – pyta 8-Bit.

Hodges siada mu na kolanie i przez chwilę bawi się kołnierzykiem jego koszuli.

– Ależ tak, Davidzie. Ależ tak. – Całuje go w policzek, a następnie, nie podnosząc wzroku, mówi: – Zastrzel go, proszę. Celuj mniej więcej w to miejsce. – Dotyka jego klatki piersiowej tuż poniżej serca, po czym zeskakuje mu z kolan.

Żołnierz posłusznie unosi karabin. W chwili, w której oddaje strzał, Thomas resztką sił zrzuca się z kanapy, mocno potracając misę, która spada na podłogę. Obserwuję trajektorię wylatującej z naczynia tabletki, po czym przewracam się na bok i odwracam, chwytając ją w usta. Hodges jest zbyt zdekoncentrowana, by to dostrzec. Zerka na leżącego teraz na podłodze obok mnie Thomasa, a potem odwraca się do nas plecami i klęka przed 8-Bitem.

8-Bit krwawi i z trudem chwyta powietrze.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo muszę wymazać przeszłość, Davidzie. Wymazać ją całkowicie. Czyli wymazać ciebie.

Na nagły dźwięk lądującego helikoptera Hodges raptownie pochmurnieje. Najwyraźniej się go nie spodziewała.

8-Bit krzywi się z bólu, próbując się uśmiechnąć.

– Czyżby ryna na twoim perfekcyjnym planie?

– Daj mi lornetkę – mówi Hodges do żołnierza, który właśnie strzelił do 8-Bita. – Zaraz wracam. Zastrzel wszystkich, którzy ośmieliliby się ruszyć. W gruncie rzeczy możesz ich zastrzelić, nawet jakby się nie ruszali. Rób, jak chcesz.

Wychodzi i po chwili z powrotem wparowuje do gabinetu.

– Złe wieści, kochanie. Ten helikopter ma na burcie E.C.

Odwraca się plecami do 8-Bita, jakby już zapomniała, że on tam jest, i staje na moment

na środku gabinetu, nie przestając obracać sobie bransoletek na nadgarstku.

Kiedy dźwięk helikoptera staje się coraz głośniejszy, mechaniczny głos ją ponagla:

– Co mamy zrobić z chłopakiem?

Nie odpowiada.

– Proszę pani?

Fuka zirytowana i zamyka oczy. Macha dłonią na oślep w kierunku podłogi.

– Dajcie mi chwilę...

Klęka obok Thomasa, jakby ugięły się pod nią nogi, i szorstko przesuwając palcami po jego włosach. Jestem pewna, że widzi rude odrosty. W jej głosie pobrzmiwa cień uczucia, nieobecna wcześniej miękkość, nawet gdy mówi ze złością:

– Weźmiemy go ze sobą i zobaczymy, czy da się go posklejać. Nie jest nawet taki brzydki. Tak naprawdę jest bardzo podobny do mnie. Może wezmę go pod swoje skrzydła.

I tu kończy się moja wytrzymałość. Dokładnie tu.

Zrywam się na równe nogi i przykucam nad Thomasem, kładąc dłonie na jego piersi.

Mówię spokojnie, prawie szeptem:

– Nie dotykaj go.

Hodges niezgrabnie robi krok w tył i jeden z jej wysokich obcasów się łamie. Wygląda na zaskoczoną i wstrząśniętą, jakby zobaczyła wychodzącego z grobu Łazarza.

8-Bit zdobywa się na ostatni uśmiech, po czym głowa mu opada, a podbródek opiera się na klatce piersiowej.

Hodges krzyczy wysokim, piskliwym głosem:

– Na co czekacie? Strzelajcie do niej! Zabijcie ją! Przecież to właśnie próbowaliśmy zrobić przez dwa ostatnie dni, więc czego teraz stoicie?!

A jednak nie strzelają. Jeden z żołnierzy przykładá dłoń do ucha, jakby nasłuchiwał czegoś w swoim hełmie.

Hodges podbiega do każdego z żołnierzy po kolei, próbując wyrwać im karabiny z rąk.

– Co wy wyprawiacie? Zapłaciłam dużo pieniędzy za to, byście robili dokładnie to, co wam każe!

Dowódca odpycha ją tak mocno, że Hodges potyka się i przewraca, po czym wymierza w nią broń. Jest wściekła i zdezorientowana. Żołnierz poprawia coś w swoim urządzeniu tłumaczącym i zaczyna mówić. Mechaniczny głos zwraca się do Hodges. Słowa wydobywają się powoli i urywanie:

– Zaletą najemników jest to, że można ich kupić. Niestety wadą najemników jest to, że można ich kupić.

Helikopter ląduje. Dźwięk obracającego się wirnika wdziera się rytmicznie do pozbawionego okien holu. Czuję powietrze uderzające falami w bębny. Hodges patrzy na drzwi gabinetu, a na jej twarzy wściekłość walczy ze strachem. Wstaje i wygładza włosy i pogniecione ubranie.

– Kim jesteś? Dlaczego tak do mnie mówisz?

– Nie rozpoznajesz mojego głosu?

– Oczywiście, że nie! Wszystkie głosy w tym brzmiały dokładnie tak samo.

– Mówi Virgil.

– Virgil? To nie...

– Ten mężczyzna z bronią właśnie zmienił zleceniodawcę. Teraz pracuje dla mnie. Od wielu miesięcy obserwowałem postępy tej dziewczyny. Zapis z systemu monitoringu urwał się, ale kilka godzin temu został przywrócony. Wszystko widziałem.

Hodges potrząsa głową tak szybko, że rude włosy fruują jej wokół twarzy jak płomień.

– Wyłączyliśmy transmisję na zewnątrz – mówi.

– On włączył ją z powrotem – oznajmiam. – Twój syn. Ocalił mnie.

Mechaniczny głos zwraca się teraz do mnie:

– Saro, jest wiele elementów tej historii, których nie rozumiem. Chciałbym, byś mi ją opowiedziała.

– Aniele. Nazywają mnie Aniołem.

Wyglądam za drzwi, omiatam wzrokiem ruinę, którą kiedyś był hol, i patrzę na helikopter. Obserwuję obracające się łopatki. Widzę, jak się poruszają, i zastanawiam się, jak pilot zdoła poderwać maszynę, której wirnik obraca się tak powoli.

Nie widzę nigdzie w pobliżu Hodges. Próbuję zadać pytanie. *Gdzie ona jest? Już jej nie ma?* Chcę się upewnić, że nie dopadnie ani mnie, ani Thomasa. Ale nie mogę wydobyć z siebie słów. Usta i umysł nie współpracują ze sobą.

– Moi ludzie wyprowadzą ją z budynku.

Nagle w pomieszczeniu pojawia się więcej ludzi. Musieli być na pokładzie helikoptera. Zakutą w kajdanki Hodges wyprowadzają na zewnątrz, choć wije się i kopie ich swoimi spiczastymi butami.

Czy wszystko będzie w porządku? Czy to się naprawdę dzieje? Czy to jest rzeczywistość?

Otwieram zaciśnięte pięści i podpieram dłońią łędwie. Przez cały ten czas udawało mi się spowolnić krwawienie, ale nie mogę go już dłużej powstrzymać. Nogi się pode mną uginają i padam na kolana.

– Potrzebujesz pomocy? – pyta Virgil.

– Nie.

Dlaczego to powiedziałam? Siła nawyku. Ale potrzebuję pomocy. Powinam to przyznać. Wykrzyzczyć to. *Pomocy! Niech mi ktoś pomoże!* Próbuję coś powiedzieć, ale tym razem słowa nie wydobywają się z ust.

Ludzie krzątają się wokół mnie w zwolnionym tempie i słyszę coś, co muszę uznać za słowa, ale w tym momencie to tylko dźwięki pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Chcę zapytać, czy urządzenie tłumaczące tego żołnierza się popsuło. Nie rozumiem, o co mnie pyta. Coś związanego z Nowym Jorkiem.

Wydaje mi się, że użył słowa „dom”.

Czas wydaje się przyspieszać i zatrzymać, a potem znów przyspieszać. Pojawiają się sanitariusze. Obracam głowę i widzę, jak zajmują się Thomasem. Na nic nie reaguje. Resztką sił, czując, że serce mi pęka, podpełzam do niego. Chcę mu powiedzieć, żeby się trzymał.

Wyciągam rękę, by dotknąć jego włosów, ale osuwam się na podłogę, nie dosięgając go. Próbuję wymówić jego imię, ale nie mogę. Jest już za późno, by mówić. Mój czas się skończył. Nieświadomość w końcu po mnie przyszła, ale nie zamierzam poddać się bez walki.

Rozdział 40.

Nie mogę się pozbyć nawyku patrzenia pod nogi i liczenia płytek. Na chodnikach w pobliżu parku jest ich mnóstwo. Tysiące małych granitowych sześciokątów.

Obok mnie śmiga taksówka, trąbiąc klaksonem. Odwracam się i patrzę, jak przejeżdża. Wlekę się bardzo powoli, więc szybko wyprzedzają mnie ludzie spieszący się do domu po całym dniu pracy.

Tempo tego miasta jest takie samo jak zawsze. Po prostu ja przestałam nadążać.

Nienawidzę chodzenia z laską, ale bez niej jeszcze sobie nie radzę. Z każdym tygodniem jestem coraz silniejsza, a mój fizjoterapeuta mówi, że jeśli będę kontynuowała rehabilitację, to zanim się zorientuję, odzyskam pełną sprawność. Ale wcale się tak nie czuję. Każdy stuk laski przypomina mi, że moje życie toczy się frustrująco powoli. A ta część o odzyskaniu pełnej sprawności? Nie jestem pewna, czy to się w ogóle kiedykolwiek uda.

Owszem, różne rzeczy do mnie wracają, ale nie w takim stopniu ani nie tak szybko, jak miałam nadzieję. I chociaż jestem wdzięczna za to, co faktycznie pamiętam, chciałabym mieć coś więcej niż wspomnienia. Coś więcej niż grób mojej matki. Chodzę tam mniej więcej raz w tygodniu i łuskam pestki dyni. Część zjadam, część zostawiam dla ptaków.

Jeśli chodzi o Thomasa... Nie mam nic. Nic z wyjątkiem wspomnień, a to za mało. Zdecydowanie za mało. Znałam go trzy dni. To wszystko. Ale myślę, że od tamtej pory jestem w nim zakochana.

Czy zakochanie się we wspomnieniu jest szaleństwem? Prawdopodobnie tak. Żałuję, że nie mogę zapytać o to Thomasa, bo jestem pewna, że miałby na ten temat swoje zdanie.

– *Jasne, to trochę zwariowane, Aniele. Ale nie żebym nie rozumiał. Faktycznie jestem dość niesamowity.*

Toczę z nim dyskusje we własnej głowie, żebyśmy mogli skończyć omawianie wszystkich tych rzeczy, których nie mieliśmy czasu przegadać w ośrodku. Wtedy, kiedy jeszcze wszyscy próbowali mnie zabić. I zawsze się śmiejemy. Myślę, że gdybyśmy tylko mieli sposobność, często byśmy się razem śmiali.

– Pamiętasz, jak mi powiedziałeś, że mnie kochasz, bo myślałeś, że umierasz?

– *No. To było koszmarnie krępujące, nie?*

– Powiedziałaś ci to samo.

– *To się nie liczy, kiedy osoba, do której to mówisz, jest nieprzytomna, Aniele.*

– No wiem. Byłeś znacznie odważniejszy ode mnie.

Dochodzę do skrzyżowania i obracam się z laską, by stanąć twarzą do schodów kościoła. W środku jest znacznie więcej stopni niż to, co widać na zewnątrz. Winda jeszcze nie działa, co odstrasza większość turystów. Droga na wieżę jest długa, liczy ponad pięćset stopni. Mój fizjoterapeuta uznałby zapewne, że ćwiczę zbyt intensywnie. A może niewystarczająco intensywnie. Fizjoterapeutów trudno zadowolić.

Zawieszam sobie uchwyt laski na przedramieniu i chwytam się poręczy. Ból kręgosłupa będzie narastał z każdym stopniem i kiedy już będę na szczycie, myśl o nim przesłoni mi wszystko inne. Prawdopodobnie nie jest to najlepsza metoda radzenia sobie z żalem po stracie, ale nigdy nie udało mi się zorientować, co właściwie należy w takiej sytuacji robić. Moim jedynym pomysłem było zawsze pięcie się w górę. Góra wydaje się bliższa miejsca, do którego

się udali wszyscy ci ludzie, których kochałeś i straciłeś.

Kilka razy muszę się zatrzymać i odpocząć, ale w końcu popycham drzwi prowadzące na platformę widokową i patrzę na zegarek. Trzydzieści dwie minuty to nowy rekord, jednak wiele mnie to kosztowało. Jestem wyczerpana. Krótkie uklucia w plecach zlały się teraz w jeden ciągły, nieustępujący ból.

Znajduję ławeczkę i siadam. Tutaj na górze jest zawsze zimniej, niż się spodziewam, ale zostanę tu aż do zamknięcia. Nie mam dokąd pójść. No, w każdym razie nie ma żadnego innego miejsca, które chciałabym odwiedzić. Powrót do domu okazał się niełatwy. Nie mogę wrócić do swojego starego życia, a wymyślenie nowego oznacza porzucenie niektórych rzeczy i zatrzymanie innych. Na razie nie działa to specjalnie dobrze. Nie udało mi się do tej pory opracować właściwej kombinacji, która przywróciłaby mi poczucie normalności, więc chyba tak jakby przestałam próbować.

Obserwuję matkę z dwójką dzieci. Na żadnym z nich widok nie robi wrażenia; rzucają się w kierunku drzwi wyjściowych. Jest też jakiś chłopak opierający się o barierkę i zaciskający na niej dłonie. Mam nadzieję, że zaraz też sobie pójdzie, żebym mogła mieć to miejsce tylko dla siebie.

Opieram dłonie na lasce i wciskam ją w ziemię. Staram się emitować możliwie smutne i niecierpliwie wibracje, które mogłyby zachęcić go do odejścia. Słyszę wyjące w dole syreny. Stają się coraz bardziej uporczywe, coraz głośniejsze, gdy kierują się na północ Amsterdam Avenue.

Ktoś ma dziś spore kłopoty. Cieszę się, że tym razem nie ja.

Prawie natychmiast chłopak odwraca się i przecina platformę. Odwracam głowę w kierunku zachodzącego słońca, kątem oka obserwując, jak chłopak się zbliża. Początkowo sądzę, że idzie w kierunku schodów. Po sekundzie rozpoznaję go, ale nie mogę uwierzyć w to, co widzę.

Tyle razy sądziłam, że go widzę. W tłumie albo na peronie metra. Kuśtykałam bliżej tylko po to, by się przekonać, że się myliłam. Nie chcę kolejnego rozczarowania, więc czekam do chwili, w której staje tuż przede mną. I wtedy zamykam oczy.

– Jesteś prawdziwy?

– Jestem.

– Nie możesz być.

– Dlaczego nie?

– Bo nie jest beznadziejnie.

– To jedyny wyjątek od reguły.

Chcę rzucić mu się w ramiona, ale upadam. Łapie mnie w ostatniej chwili.

– Czy teraz łatwiej ci uwierzyć?

Wyjmuje swoje toporne okulary i je wkłada. Całuję go z tak niezgrabnym entuzjazmem, że strącam mu te okropne okulary z nosa.

– Nie miałam sposobu, by cię znaleźć – mówię. – Nic mi nie mówili. Nie powiedzieli mi nawet, czy żyjesz.

– Wiem. Tylko ja wiedziałem, że przeżyjesz. Wiedziałem, że ci się uda. Wiedziałem, że cię jeszcze znajdę.

– Ale skąd wiedziałeś, że znajdziesz mnie właśnie tutaj?

– Mówiłem ci. To, że jestem dobrym hakerem, wynika między innymi z tego, że nieźle mi wychodzi wczuwanie się w czyjś sposób myślenia, rozpracowywanie czyichś nawyków i działań. Przez kilka ostatnich tygodni dużo rozmyślałem nad tym, dokąd możesz chodzić. I wtedy zobaczyłem w „Timesie” artykuł na temat otwarcia tego miejsca. Nowa platforma

widokowa w kościele Świętego Filipa. W Upper West Side. Pomyślałem: Ha, to jest to! Tam właśnie pójdzie mój anioł. Bardzo się cieszę, że dobrze zgadłem. Wiedziałem, że będę miał tylko jedną szansę, żeby cię znaleźć.

– Dlaczego?

– Jestem jakby... w areszcie domowym.

Podwija nogawkę dzinsów i pokazuje mi nadajnik na kostce.

– Za co?

– Wydano przynajmniej kilkanaście międzynarodowych listów gończych za 8-Bitem, ale ponieważ nie udało im się go dopaść, poprzestali na mnie. Jestem zamknięty w domu z rodzicami. Bez telefonu, bez komputera, generalnie bez kontaktu ze światem zewnętrznym. Nie mogę nawet chodzić do szkoły.

– Jak długo to potrwa?

– Dopóki nie podejmą decyzji, co ze mną zrobić, i mój prawnik nie wynegocjuje ugody.

Łagodny wyrok w zamian za informacje.

– Areszt domowy. Założę się, że twoja mama jest tym uszczęśliwiona. To znaczy uszczęśliwiona tym, że żyjesz.

– Jest. Ja... Ja wiem, że muszę im to wszystko jakoś wynagrodzić. Staram się, jak mogę. Ojciec jest nadal wściekły.

– Ale Thomas... Bez komputera? Jak ty to znosisz?

– Bez trudu. Biorąc pod uwagę, bez czego jeszcze muszę się obywać.

Całuje mnie, ale jak dla mnie ten pocałunek jest zdecydowanie za krótki.

– Co jest? – pytam.

Unosi mi odrobinę czapkę z przodu.

– Nie wiem, czy między nami coś będzie. Normalnie podobają mi się tylko łyse cizie.

– Rozumiem. A tak?

Ukrywam odrastające włosy pod czapką i naciągam ją prawie na oczy. Całuje mnie jeszcze raz. Tym razem trochę dłużej, ale i tak za krótko.

Syreny radiowozów stają się głośniejsze i bliższe, jest ich więcej. Podchodzimy do krawędzi platformy widokowej. Wspierając się na ramieniu Thomasa, nie muszę używać laski. Poniżej wjeżdżają na chodnik trzy wozy policyjne. Piesi rozpierzchają się jak gołębie, gdy policjanci wyskakują z radiowozów i wpadają na schody kościoła.

– Myślisz, że ścigają przystojnego, rudego zbiega?

– Pewnie tak. A jeśli nas tutaj złapią, to będę w jeszcze większych tarapatach. W tej chwili dopuszczam się podwójnego wykroczenia. Mam się z tobą w żaden sposób nie kontaktować.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Myślę, że chcą cię przede mną chronić.

– Myślę, że raczej w drugą stronę. Moi opiekunowie nie mogą się chyba zdecydować, czy w moim przypadku lepiej zadziała kij, czy marchewka. Ani na jedno, ani na drugie nie reaguję tak, jak by chcieli. Na pewno jest to dla nich dość irytujące.

Thomas przyciąga mnie do siebie za kłapy kurtki.

– Zanim tu wpadną, powiedz mi tylko, jak teraz wygląda twoje życie. Chciałbym wiedzieć, że u ciebie wszystko w porządku.

Opieram głowę na jego piersi, a on przyciska policzek do czubka mojej głowy.

– Mam się zupełnie nieźle. Virgil jest miłym człowiekiem. Moja matka nie myliła się co do niego. Nie powiedział jeszcze o mnie swojemu ojcu. Czekamy, aż to wszystko się trochę przewali. Hodges... twoja matka...

– Proszę, nie nazywaj jej tak.
– Dobra. Dla ojca Virgila, mojego dziadka, była praktycznie jak przybrana córka. Stał na głowie, by zatuszować tę aferę, ale nie udało mu się uchronić jej od aresztu. Nie udało mu się nawet doprowadzić do jej zwolnienia za kaucją.

– Widziałem, że przymknęli też Wilsona.

– Wilson. Nienawidzę go chyba równie mocno jak Hodges.

– Nic dziwnego. Ten cały projekt Velocius to żaden dar. Aniele, wiesz, jak to na ciebie wpływa? Powiedzieli ci, prawda?

Cofam się o krok, by spojrzeć w jego ciemnobrązowe oczy.

– Powiedzieli mi. Chyba chcieli mnie powstrzymać od posługiwania się moimi świeżo nabytymi zdolnościami. Nic równie dobrze jak perspektywa znacznego skrócenia sobie życia nie zniechęca do korzystania z supermocy. Powiedzieli mi, że za każdym razem, gdy przyspieszam pracę mózgu, zużywam organizm. Porównali to do jazdy samochodem z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. Nie da się tak w nieskończoność.

Słyszymy pokrzykiwania na klatce schodowej. Thomas ogląda się na drzwi i mówi:

– Jak w starych, dobrych czasach.

– Powiedz mi, jak się z tobą skontaktować.

– Nie mam komputera ani telefonu. Chyba będziesz musiała się posłużyć bardzo staromodnymi metodami: napisz do mnie list.

– Dobra. Napiszę. Adres?

Wyciąga z kieszeni złożoną kartkę papieru i mi ją podaje.

– Jest tutaj.

Biorę od niego kartkę i szepczę:

– Dziękuję ci. Dziękuję ci... za to, że nadal żyjesz.

Policjanci są już prawie na górze.

– Szybko. Schowaj się za tą kolumną i stój tam, kiedy będę się oddawał w ich ręce. Może uznają to za *prawie* dobre zachowanie i potraktują mnie ulgowo.

– Oj, ale przecież ty jesteś tym dobrym.

– Jasne, to właśnie ja, haker o złotym sercu. Idź już!

Całuje mnie jeszcze raz. Górną wargę, dolną, a potem obie jednocześnie. Popycha mnie w kierunku kolumny uwieńczonej szczególnie makabrycznymi gargulcami; wszystkie mają wywalone języki. Gdyby tylko odpędzanie zła było takie proste.

– Zostań tu, dopóki sobie nie pójda, dobra?

– Chcesz, żebym pomogła ci zwać? Mogę to zrobić.

– Nie mam co do tego wątpliwości, ale nie chciałbym, żebyś z mojego powodu skracała sobie życie choćby o jeden dzień.

Drzwi otwierają się gwałtownie i Thomas odwraca się na pięcie, kładąc ręce z tyłu głowy, gotów do współpracy. Czekam w cieniu, aż policja go aresztuje. Słońce wisi nisko nad horyzontem. Nie mam pojęcia, dlaczego mimo zimnego wiatru robi mi się cieplej, ale tak jest.

Po kilku minutach wychylam się przez barierkę platformy widokowej i patrzę, jak wyprowadzają Thomasa z kościoła. Dopiero dłuższą chwilę po zniknięciu radiowozów rozprostowuję kartkę, którą mi dał.

Jest czysta.

Odwracam na drugą stronę. Z drugiej strony to samo.

Przez chwilę myślę, że to pomyłka. Albo żart. Nie mam pojęcia, dlaczego mi to dał. Dopiero kiedy mam już zacząć schodzić po schodach, przychodzi mi do głowy, by sięgnąć do wewnętrznej kieszeni kurtki. Znajduję w niej drugi zwitek. Jest na nim wypisane imię i nazwisko

Thomasa, adres i dwa słowa, których nie powiedział nigdy nikomu oprócz mnie. Tylko mnie.

¹ William Shakespeare, *Hamlet*, tłum. Stanisław Barańczak.

